Marzena Bieniek

GŁUPIA KSIĄŻKA

NOVAE RES

Marzena Bieniek

GŁUPIA KSIĄŻKA

NOVAE RES

Sonce

Spis treści

HARNAŚ
LILA
DANUSIA
MŁODSZY INSPEKTOR MAZUREK
MISIEK
JA
MAJA
DETEKTYWI
OSZUST
HORPYNA
MISIEK
ALBERT
ORLI NOS
MICKIEWICZ
DUCH
WREDNA ZOŚKA
BEATKA
TOMEK
ZAMASKOWANY
POLICJANT
CAPO DI TUTTI CAPI
PANNA MARPLE
TOMEK
MAJKA

Harnaś

Harnaś pojawił się w naszym domu z bardzo prozaicznego powodu.

– I cóż my możemy pani poradzić? Kupcie sobie dużego, groźnie wyglądającego psa – powiedział jeden z policjantów wezwanych przez nas po kolejnej kradzieży.

Łupem złodziei padły nowiutka kosiarka, rower, metalowe haczyki od huśtawki i kable elektryczne, odcięte od zbyt ciężkiej dla złoczyńcy piły.

Po szczeniaka pojechaliśmy już następnego dnia. Nie wybraliśmy go – to on sobie wybrał nas. Malutka puszysta kulka podtoczyła się pod nogi mojego męża i z niemałym wysiłkiem wdrapała się na jego buty. Zwinęła się w jeszcze mniejszą kulkę, jakby chcąc pokazać całemu światu, że nigdzie nie ma zamiaru się ruszyć, bo tu jest jej najlepiej.

– Chodź, obejrzyjmy inne – zachęcałam.

– Nie.

Harnaś bardzo szybko z malutkiej kuleczki wyrósł na prześlicznego stuprocentowego owczarka niemieckiego, budzącego zachwyt dalekich sąsiadów, przyjaciół i znajomych.

Wyglądał bardzo groźnie, szczekał bardzo donośnie, a my spaliśmy o wiele spokojniej. Kradzieże skończyły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, że nasz groźny pies to w rzeczywistości czterdzieści sześć kilogramów ogromnej miłości. Prędzej zalizałby na śmierć potencjalnego złodzieja, listonosza lub panią z gazowni, niż zrobiłby im jakąkolwiek krzywdę. Sprytnie ukrywaliśmy to przed światem, wieszając na bramie tabliczkę: „UWAGA! ZŁY PIES” lub mówiąc: „Proszę zaczekać, zamknę psa”. Nasza strategia okazała się słuszna, przepłoszyliśmy złodziei.

Latem Harnaś sypia na dworze – w budzie, którą mąż inżynier wyposażył w podgrzewaną podłogę, zasłonki i bajery, o których ani Harnaś, ani ja nie mamy pojęcia. Ale dzisiaj nie. Dzisiaj jestem sama w wielkim domu. Mąż w podróży służbowej, córka Maja nad morzem. Niby wiem, że nic złego mi się stać nie może, dom zamknięty solidnie, w duchy nie wierzę, ale… bezpieczniej będę się czuła z Harnasiem przy boku.

Oczywiście, jak zawsze, gdy jestem sama, położyłam się na kanapie przed telewizorem, który dzisiaj pełni funkcję nocnej lampki. Wyłącza się automatycznie. Gdy zgaśnie, ja już będę smacznie spała. Obejrzałam trzy filmy z rzędu, powtórkę odcinka serialu, a nawet transmisję mistrzostw świata w darta. Uśpiła mnie dopiero jakaś dziwna kobieta, która wmawiała naiwnemu telewidzowi, że potrafi przepowiedzieć mu przyszłość za pomocą kart tarota.

Obudził mnie szmer. Ciemno, więc to nie telewizor. Ktoś jest w domu! Ktoś cichutko wchodzi po schodach na górę, zatrzymuje się na chwilę, po czym ostrożnie kontynuuje swój marsz. Leżę jak sparaliżowana, gapię się na sufit, którego i tak nie widzę, i boję się głośniej odetchnąć. Przecież tam jest nasza sypialnia! Ktokolwiek tam jest, kieruje się prosto do pokoju, w którym powinnam spać. Matko Boska! Morderca!

Nie potrafię nic zrobić. Mogę tylko krzyknąć, ale to bez sensu. „Panie morderco, jestem tutaj! Niepotrzebnie mnie pan szuka w sypialni! Dzisiaj śpię na dole, proszę zejść i łaskawie poderżnąć mi gardło!” Mogę się też pomodlić, ale jest mi głupio. Jak trwoga, to do Boga.

Zazwyczaj się nie modlę i myślę, że niebo nie byłoby zachwycone moim nagłym nawróceniem.

Mogę zadzwonić. Nie, nie mogę. Telefon jest na blacie w kuchni. Do kuchni trzeba dojść, a ja nie mam władzy w nogach ani zdolności telekinetycznych.

Muszę wziąć się w garść. Mam córkę i męża, nie mogę im tego zrobić. Zaraz, zaraz, czy ja mam wykupioną polisę na życie? W listopadzie mam iść z Majką do okulisty, a zimą jest już zaklepany wyjazd do Włoch na narty. O nie! Nie pozwolę, żeby jakiś podrzędny morderca pokrzyżował mi plany. Trzy głębokie wdechy (nie za głębokie, bo mógłby usłyszeć) i powolutku, powolutku podnoszę się z kanapy. Zastygam w połowie drogi. Matko z córką! Schodzi! Rzuciłam się w stronę lampy, roztrzęsionymi rękoma wymacałam przełącznik i zapaliłam ją.

Typ na schodach znieruchomiał, a ja prawie zemdlałam, gdy zobaczyłam go ubranego od stóp do głów w czerń i kominiarkę na głowie. Morderca otrząsnął się pierwszy. Przez sekundę stał jakby niezdecydowany, co zrobić, po czym ruszył w moim kierunku… i właśnie wtedy mój pies postanowił się przywitać. Zerwał się spod kanapy, jednym skokiem dopadł rzezimieszka i merdając ogonem, zaczął go oblizywać po nieosłoniętej części twarzy. Zbir stracił równowagę, zamachał rękami, szukając czegoś, czego mógłby się złapać i… runął w dół. Rumor, jaki towarzyszył upadkowi ze schodów, mógłby obudzić bliskich sąsiadów, o ile miałabym takowych. „No i po zawodach” – pomyślałam.

Lila

Lila to moja starsza siostra. Jest piękną, niezwykle elegancką kobietą, której nadmiar kilku kilogramów jedynie dodaje uroku. Jest też mądra, wykształcona i epatująca swoją erudycją. Ten idealny obraz psuje jednak kompletny brak poczucia humoru. Śmieszą ją rzeczy śmieszne w sposób oczywisty, nieabstrakcyjne i broń Boże niedotyczące jej osobiście. Nadajemy na kompletnie innych częstotliwościach, co wcale nie przeszkadza mi w kochaniu jej bardzo, bardzo.

Siedzę na schodach i palę czterdziestego drugiego papierosa. Obok Harnaś, szczęśliwy, bo jest psem i nie zdaje sobie sprawy z tego, w co się wpakowaliśmy. Jestem rozczochrana, niewyspana, z niezmytym od wczoraj makijażem. Mogłabym być inspiracją dla Munka do namalowania obrazu pod tytułem Krzyk *2*, ale niestety on już nie żyje.

Minęły ponad cztery godziny od chwili, gdy wybiegłam z domu, a ja nadal się telepię jak barani ogon. Dobrze, że mamy pełnię lata, bo skostniałabym z zimna.

Słyszę podjeżdżający samochód. W końcu!

Z volkswagena żuczka wysiada Lila. Jest jakieś dwadzieścia metrów ode mnie, a ja i tak wiem, że pachnie czymś, co jest najdroższym, najmodniejszym i nieosiągalnym dla zwykłych śmiertelników zapachem. Tym razem blondynka, wymuskana, nienagannie śliczna. Patrzę uważnie, próbując znaleźć miejsce, w którym ma sprytnie doczepione włosy. Nic z tego, nigdy mi się to nie udaje. Lila całuje powietrze po obu stronach mojej twarzy i długo przygląda mi się z miną pod tytułem: „Z tym już nic się nie da zrobić”.

– Gdzie on jest? – pyta ostro, łapiąc za klamkę u drzwi.

– Nie! Nie wchodź tam! – pisnęłam.

– Musimy wejść. Muszę to zobaczyć. Z tobą nigdy nic nie wiadomo, może to wymyśliłaś, żeby mi zrobić kolejny głupi kawał, może ci się przyśniło, a może facet leży ze złamaną nogą i czeka na pomoc. Poza tym jest tu cholernie gorąco.

– Pomoc? Miałabym pomagać mordercy? A zresztą nie ma o czym gadać, bo to trup. Trup na amen.

– No, to nic nam nie zrobi, idziemy.

Wchodzę po omacku, z zamkniętymi oczami, boję się je otworzyć.

– Hm… Trup na bank. Nie oddycha i głowę ma tak jakoś… co ty mu zrobiłaś i jak? Przecież to ogromny facet? I właściwie to po cholerę go zabiłaś? Zawsze są z tobą kłopoty. Czy ty nie umiesz tak jak normalni ludzie żyć spokojnie bez kryminalnych ekscesów? Skąd wiesz, co to za osobnik? Może zabiłaś kogoś przyzwoitego, ojca, męża? Może to tylko normalny złodziej, a ty tak od razu zabijasz?

Otworzyłam oczy, najpierw jedno. Niestety, nic się nie zmieniło. Zbir leży, jak leżał z rozrzuconymi na boki rękami i jedną nogą ugiętą w kolanie. Wygląda jak łyżwiarz figurowy wykonujący podwójnego aksla, z tą różnicą, że nie ma łyżew i – co oczywiste – wcale się nie kręci.

– Jasne! Przykładny mąż i ojciec dzieciom, tak dla urozmaicenia monotonii życia przebiera się, wkłada kominiarkę i włamuje się komuś do domu. Może biedaczek chciał tylko z kimś porozmawiać, wyżalić się, napić herbatki, a ja niewdzięczna skręcam mu kark. To był

wypadek, spadł ze schodów i założę się, że gdyby nie to, to ja byłabym na jego miejscu, zamordowana, pocięta na paseczki i zgwałcona.

– Zgwałciłaś go?! – Lila patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Nie! – Przez głowę przemknęła mi nadzieja, że jednak sobie żartuje. – Tak mi się tylko powiedziało.

– Musisz go przeszukać i zdejmij mu tę kominiarkę, może to ktoś, kogo znamy.

Czy ona zwariowała? Za nic w świecie go nie dotknę. Zemdleję, umrę, albo co gorsza zwymiotuję na te jej drogie buty.

– Ja się do tego nie nadaję, znowu coś spieprzę. Zatrę ślady, odciski czy jakoś tak. To trzeba zrobić profesjonalnie. To musi być ktoś, kto się zna i wie, jak się do tego zabrać.

– No dobrze… – Lila westchnęła głośno, podnosząc w teatralnym geście oczy (dzisiaj niebieskie) do nieba. Przycupnęła nad ciałem zbira, mamrocząc coś pod nosem, i założę się, że były to nieprzyjazne mamroty pod moim adresem. Zdjęła mu kominiarkę. – Z tym gwałtem to przesadziłaś – usłyszałam – to młody i przystojny chłopak, żaden desperat.

A niech ją gęś kopnie! Jaka wredna baba! No cóż, moja siostra. Mamy to w genach. Kiedyś byłam śliczną dziewczyną, teraz chyba jestem ładną kobietą. No, nie aż tak jak Lila – trochę inaczej, ale to nie znaczy, że młody, przystojny chłopak tylko w akcie wielkiej desperacji… Boże, co ja bredzę! Bredzę od rzeczy nad trupem mordercy! To chyba jakiś szok albo lekkie załamanie nerwowe. Muszę się otrząsnąć.

Otrząsnęła mnie Lila.

– Chyba jednak chciał cię zabić. Zobacz, co miał w kieszeni.

Zrobiło mi się niedobrze. Lila trzymała w dłoni (oczywiście przez chusteczkę – ach, te *Kryminalne zagadki Nowego Jorku*) pistolet. Prawdziwy pistolet!

– Teraz mi wierzysz? – zapytałam, kucając na podłodze, bo nogi latały mi jak galaretka.

– Oczywiście. Miałaś prawo go zabić.

– Ale ja tego nie zrobiłam! To był wypadek!

– Dobra, dobra, sprawdźmy, co jeszcze ma przy sobie… Nic – odrzekła po chwili, kompletnie zaskoczona – zupełnie nic! Przecież nikt normalny nie chodzi tylko z pistoletem!

– Normalni w ogóle nie chodzą z pistoletami, siostro.

– Usiądźmy i spokojnie zastanówmy się, co robić dalej. Zrób mi drinka, bo jestem trochę zdenerwowana.

– Drinka? Przecież przyjechałaś samochodem?! Jest ósma rano! O ósmej rano nie pije się drinków!

Popatrzyła na mnie z pobłażliwością, jakby chciała powiedzieć, że ludzie na jej poziomie mogą sobie pozwolić na picie o każdej porze dnia i nocy.

– Przyjechałam, ale nie mam zamiaru nigdzie odjeżdżać. Zrób mi tego cholernego drinka i opowiedz od początku do końca, co tu się właściwie wydarzyło. Przez telefon zrozumiałam piąte przez dziesiąte.

Usiadłyśmy w salonie. Postawiłam przed nią szklankę i karafkę, niech się obsłuży sama. Usadowiła się wygodnie i z kwaśną, zniesmaczoną miną rozglądała się po pokoju, który jej zdaniem został urządzony zupełnie bez klasy i elegancji. Ale ja tak lubię. Ma być wygodnie i przytulnie. Ja mam tu mieszkać, a nie zastanawiać się, jak wyglądam na tle kanapy. Opowiedziałam jej wszystko po kolei, przemilczałam jedynie fakt, że byłam sparaliżowana strachem. Jak znam moją siostrę, wykorzystywałaby to przy każdej nadarzającej się okazji, by mi dokuczyć i udowodnić, że ona nigdy w życiu by się tak nie bała. Oczywiście, że nie! Ona zastanawiałaby się, czy to czasami nie jest sąsiad, któremu nagle w środku nocy

zabrakło soli, albo cichy wielbiciel pragnący podrzucić jej miłosny liścik. Tak, zdecydowanie ta druga wersja pasuje do niej lepiej.

– Nie ma wyjścia, musimy zawiadomić policję. Dziwię się, że od razu po nich nie zadzwoniłaś. Jest gorąco, trzydzieści stopni w cieniu, zaraz zacznie brzydko pachnieć. Lepiej niech go zabiorą. – Wychyliła solidną porcję ze szklanki i przysunęła karafkę bliżej siebie.

– To mnie zabiorą! Zamkną i oskarżą o zabójstwo! – Oczyma wyobraźni widziałam się w ohydnym pasiaku z ogromną kulą u nogi, przykutą solidnym łańcuchem. No nie, teraz chyba tak się już nie traktuje skazańców. Dostanę twardą pryczę, pokoik dwa na dwa. Może jakoś to przeżyję. Ale co z wyjazdem na narty? Kto obudzi Majkę do szkoły? Kto wyprasuje Miśkowi koszulę? Czy w więziennej celi będę mogła grać w swoje *Runes of Magic*? – To może zniesiemy go do piwnicy? – zaproponowałam nieśmiało. – Tam jest dużo chłodniej.

– Wariatka. I jak długo zamierzasz go tam trzymać? Dzień, dwa, rok czy do końca życia?

No tak. Ma rację. Nie zakopię go w ogrodzie, bo już nigdy w życiu nie wyszłabym przed dom, wiedząc, że leżą tam zakopane zwłoki. Poza tym słodki Harnaś wykopałby go po godzinie. Nie jestem też typem mogącym kogoś poćwiartować, zapakować w worki na śmieci i wywieźć na wysypisko lub wrzucić do pobliskiego jeziora. Boże drogi! Przecież tam mogą się kąpać dzieci!

– Dzwonię po Danusię.

Danusia

Danusia jest policjantką. Policjantką na emeryturze. Nie oznacza to, że jest starą, zramolałą emerytką. O nie! Danusia skorzystała z programu wcześniejszego przejścia na emeryturę i żyje sobie jak pączek w masełku, mogąc poświęcić się swojej pasji, jaką jest motocykl. Mówiąc „pączek w masełku", mam na myśli nie tylko komfort jej życia. Danusia tak też wygląda. Jest ogniście ruda i pulchniutka. Swoją zażywnością i wiecznie śmiejącymi się oczami wzbudza sympatię u wszystkich. Kompletne zaprzeczenie stereotypu policjanta.

Ryk hondy ctx1300 oznajmił nam jej przybycie. Wtargnęła do domu niczym huragan. Omiotła wzrokiem salon, Lilę pijącą kolejnego drinka, trupa leżącego na schodach i mnie. Na mnie zatrzymała wzrok nieco, nieco dłużej.

– Wyglądasz koszmarnie. Idź się ogarnij, ja porozmawiam z Lilą.

Gdy po pięciu minutach zeszłam na dół (brrr… musiałam dwa razy przejść nad sztywnym nieboszczykiem), zobaczyłam wściekłą Danusię patrzącą na mnie oskarżycielsko.

– Co ty jej, do diabła, dałaś? Nie mogę się z nią dogadać! Mówi jakieś bzdety o tym, że w zasadzie to on nikogo nie zgwałcił, wobec czego zabicie go było bardzo nieeleganckie, prostackie i nieestetyczne. A w ogóle to ona go chyba kocha.

No tak, słynna nalewka mojego męża. Nalewka z czarnego bzu rosnącego w naszym ogrodzie, która okazała się nalewką z czeremchy amerykańskiej. W słodkiej niewiedzy żyliśmy przez ładnych kilka lat, do czasu aż pewien światły człowiek nie uświadomił nam, co tak naprawdę rośnie pod płotem ogrodu. Chwała najwyższemu, że czeremcha też nadaje się na wino i ponoć jest o wiele zdrowsza, smaczniejsza i oryginalniejsza niż czarny pospolity bez. Eksperymenty mojego męża doprowadziły do tego, że z wina zrobiła się nalewka, o mocy której zaczęły już krążyć legendy. Znajomi nazywali ją „lasso na nogi", „wysysacz energii" lub „brain killer". Patrząc na siostrę, pomyślałam, że nalewka zadziałała na każdy z możliwych sposobów. Podniosła dwa palce jak uczennica zgłaszająca się do odpowiedzi, spojrzała na nas, uśmiechając się radośnie i bezwładnie osunęła się, chwała Bogu, na kanapę.

Zapaliłam papierosa i po raz kolejny opowiedziałam wszystko, tym razem nie pomijając niczego, nawet faktu, że położyłam się spać bez zmycia makijażu.

– Zastanawia mnie jedno… – Danusia w zadumie tarła czoło. – Jak on tu dotarł? Lila samochodem, ja na motorze. Do ciebie jest kawał drogi od cywilizacji. Jakoś wątpię, że gość zdecydował się na parokilometrowy spacer. Poza tym jak tu wlazł? Zamki w porządku, okna całe. O ile cię znam, to przed zaśnięciem posprawdzałaś wszystko milion razy. Zaraz zadzwonię na policję, trzeba to sprzątnąć, ale przedtem chodź, musimy coś sprawdzić.

Zwisającą z kanapy Lilę ułożyłyśmy wygodniej i przykryłyśmy kocem. Wyglądała trochę jak drugie zwłoki. Miałam nadzieję, że nie przebudzi się podczas naszej nieobecności. Na wszelki wypadek karafkę z nalewką schowałam w bezpiecznym miejscu (w koszu na brudną bieliznę), do którego moja siostra nigdy nie zajrzy.

Nie musiałyśmy iść daleko. Kilkadziesiąt metrów od podjazdu, w leszczynowych zaroślach dostrzegłyśmy samochód. Butelkowy opel z tablicami RKR. Obcy, nietutejszy.

Danka zapisała numery w swoim notesiku, po czym zaczęła obchodzić samochód dookoła, bacznie się wszystkiemu przyglądając.

– Przynieś mi jakiś drut – rozkazała.

– Tak jest! – powiedziałam, nie wiadomo czemu, i pobiegłam do domu.

Ale jaki drut? Na wszelki wypadek wzięłam wszystkie rodzaje, jakie znalazłam. Te do robienia sweterków też. Mój mąż jest kolekcjonerem „przydasi". Nie wyrzuca niczego, bo twierdzi, że wszystko może się przydać. Garaż wypełniony jest tysiącami śrubek, nakrętek, drucików, linek, gwoździ. Muszę jednak zaznaczyć, że wszystko jest posegregowane, poukładane w poopisywanych pudełeczkach, które leżą w opisanych szufladkach. Hm, jesteśmy z zupełnie innych bajek, ale udaje nam się tworzyć bardzo fajne stadko rodzinne. Ja – zwariowana malarka, wielbicielka gier komputerowych. On – poukładany, zorganizowany, odpowiedzialny. I nasza córka – poplątanie z pomieszaniem, które dało w efekcie superdziewczynę.

Danusia oniemiała na mój widok.

– Wariatka! – To chyba ich ulubione słowo – Obrabowałaś hurtownię drutu? Chyba nie chcesz mi wmówić, że to wszystko Misiek miał w garażu?

– A jednak. Nada się któryś?

Z niekłamanym podziwem patrzyłam, jak otwiera samochód. Widocznie zauważyła moje pełne zachwytu spojrzenie, bo wzruszając ramionami, powiedziała:

– I co się dziwisz? Praca w policji.

Co my tu mamy? Na tylnym siedzeniu garnitur, nieskazitelnie biała koszula, czarne buty i krawat. Wszystko w jakości półki Lili, czyli takiej, na którą mnie nigdy nie będzie stać. Na fotelu pasażera książka *Wilk stepowy*. Ja chromolę! Myślałam, że jestem ostatnim żyjącym miłośnikiem literatury czytającym poczciwe papierowe książki. Do tego Hesse? Gość musiał być całkiem do rzeczy, skoro czytał coś takiego. Pod fotelem kierowcy elegancki portfel, a w nim amerykańskie prawo jazdy na nazwisko Max Kamynsky.

– W co ty, do diabła, wdepnęłaś? – Danuśka zaczęła dźgać mnie palcem w okolicę wątroby. – Mafia, CIA, FBI? Co tu się wyrabia? Możesz mi to wytłumaczyć? Facet leci ze Stanów Zjednoczonych po to, by cię zastrzelić? Co ty jakaś popaprana terrorystka jesteś?

– To musi być horrendalna pomyłka.

– Żadna pomyłka! W nawigacji znajduje się twój adres i komunikat, że sto metrów do celu. Do celu! Rozumiesz, to twój dom był tym celem. Koniec zabawy, dzwonię na policję i – podniosła ostrzegawczo palec – nie próbuj mnie powstrzymywać. Wolę mieć obrażoną przyjaciółkę niż martwą!

Jaką obrażoną? Nagle opuściły mnie wszystkie siły. Nie mam ich na obrażenie się. Niech przyjadą, zamkną mnie, osądzą i skażą. Mam już tego dość. Danka ma rację, to wygląda zbyt poważnie.

– Bierz tyłek w troki, wracamy do domu! – warknęła.

Młodszy inspektor Mazurek

Młodszy inspektor Mazurek wyglądał tak, jakby nie mógł się skupić na prowadzeniu czynności. Siedział na kanapie, co chwila zerkając na śpiącą i pochrapującą Lilę. Technicy policyjni uporali się ze wszystkimi obowiązkami i po moim (o rety, zaczynam mieć do niego osobisty stosunek!) nieboszczyku pozostał jedynie biały kontur, który – jak nie omieszkałam zauważyć – nawet ładnie komponował się ze ścianami w kolorze starego złota.

Inspektor wybałuszył na mnie oczy ze zdziwieniem.

– Nie przejmuj się tym, Tomek. – Danka machnęła lekceważąco ręką. – Ona tak ma zawsze. Albo jej się komponuje, albo gryzie.

Inspektor, który okazał się po prostu Tomkiem, wyciągnął plastikowy woreczek.

– Czy poznaje pani? Znaleźliśmy to pod denatem. Leżał sobie na nich, więc mogły panie nie zauważyć, o ile prawdą jest, że nie ruszałyście zwłok.

Nie wierzę. Klucze Miśka! Mają charakterystyczny, paskudny breloczek przedstawiający jakiegoś pingwina z zezem w oczach. Nie wiem, dlaczego mój mąż nie zmienił go do tej pory. Myślę, że w jakiś sposób przywiązał się do niego, bo nie podejrzewam, że mógłby go nosić tylko po to, by robić mi na złość.

– To klucze Miśka.

– Miśka?

– No, mojego męża. Ale jego nie ma i nie mam pojęcia, skąd się wzięły u tego, no, jak mu tam, tego denata – wydukałam.

– No, to teraz mamy jasność. – Danusia klasnęła w dłonie. – Już wiemy, jak się tu dostał i dlaczego nie ma śladów włamania. Sprawdziłam te numery rejestracyjne. Misiek jest na konferencji w Krakowie, a facet miał samochód z okolic Krosna. Myślę, że zaiwanił klucze, przyjechał tu do ciebie i pewnie podrzuciłby je w drodze powrotnej. Nie przewidział tylko, że skończy jako wzorek na twoich schodach.

– Co niestety nie wyjaśnia, dlaczego drań chciał mnie zabić – wpadłam jej w słowo.

Inspektor nagle zagapił się na gołą piętę Lili wystającą spod koca i trwał w takim zawieszeniu kilkadziesiąt sekund. Co mu jest? Nagły atak padaczki, mały wylew? Już miałam się poderwać z kanapy, by go w jakiś sposób ratować, lecz on nagle potrząsnął głową i głupio zapytał:

– Jest pani pewna, że chciał panią zabić?

No nie, następny.

– Raczej tak, ale pewności to ja nie mam. Całkiem możliwe, że po prostu zgubił się w środku nocy. Okolica bezludna, ciemno. Być może chciał tylko spytać o nocleg, na wszelki wypadek kradnąc klucze Miśkowi. Nie chciał mnie poczciwina budzić, gdyby się okazało, że już zasnęłam. – Nie byłam pewna, czy inspektor wyczuł ironię w moim głosie, dlatego dodałam, nie siląc się już na sarkazm: – Oczywiście, że drań chciał mnie zabić! Nie bierze się pistoletu bez zamiaru użycia go!

– Mówiły panie, że pistolet miał w kieszeni. Ktoś, kto ma zamiar zamordować, trzyma zazwyczaj odbezpieczoną broń w ręce. Według mnie jego nocne odwiedziny miały inny cel.

– Jaki? – wykrzyknęłyśmy z Danusią na trzy cztery.

Lila przebudziła się i usiadła na kanapie, rozglądając się po podłodze, prawdopodobnie w poszukiwaniu butów.

– Myślę, że on najwyraźniej po coś przyszedł. Po coś konkretnego, a pani – powiedział i wskazał na mnie palcem – powie nam po co.

– Nieprawdopodobne! – Lila wytrzeszczyła oczy, o ile możliwe jest wytrzeszczenie oczu, które zminimalizowały się do rozmiarów ziarenek grochu. Białka przybrały kolor czerwony, co nie komponowało się zupełnie z błękitem szkieł kontaktowych. Gryzło się zdecydowanie. – Więc jednak chciał cię zgwałcić? Biedny, młody człowiek! No cóż, było ciemno, nie widział dokładnie, jak wyglądasz.

Zaraz ją trzepnę czymś ciężkim!

Danusia miała naturalnie niezły ubaw. Znała nasze siostrzane relacje, które zawsze ją bawiły, lecz inspektor siedział mocno skonfundowany. Patrzył to na mnie, to na Lilę, nie wiedząc, jak się ma w takiej sytuacji zachować. Postanowił wziąć mnie w obronę, dedukując, że to ja jestem „tym słabszym”.

– Bardzo proszę nie przesadzać, droga pani. – Chrząknął, jakby chciał dodać sobie odwagi, i kontynuował: – Zastaliśmy panią na miejscu przestępstwa, a w raporcie z laboratorium, o ile się dobrze domyślam, będą ujawnione odciski palców należące tylko do pani. Z tego, co mi wiadomo, tylko pani dotykała denata, oczywiście nie liczę psa.

– Jak on śmie coś takiego powiedzieć!? – Oburzenie Lili sięgnęło zenitu. Zignorowała całkowicie jego obecność i wykrzykiwała dalej: – I kimże on jest, do cholery? Co robi w twoim domu? Co zrobiłaś z trupem i gdzie jest ta nalewka? – I nagle, jakby za naciśnięciem czarodziejskiego pstryczka, oklapła. – Chyba zaraz umrę, dobij mnie, siostro!

Przez następną godzinę doprowadzałyśmy Lilę do stanu używalności, serwując jej wszelkie genialne wynalazki. Prym wiódł inspektor Tomek, podsuwając nam pomysły typu: woda z cukrem i sokiem z całej cytryny, lody, zielona herbata, rozpuszczalne wapno z witaminą C, tabletki przeciwbólowe, no i obowiązkowy zimny prysznic.

Gdy po upływie kolejnej godziny zeszła na dół, Mazurek aż westchnął z zachwytem. W moim zwykłym T-shircie, moich normalnych dżinsach i bez makijażu wyglądała uroczo, świeżo i dziewczęco. Bladość twarzy podkreśliła tylko jej śliczny, naturalny brązowy kolor oczu. Wyglądała sympatyczniej, bardziej przystępnie i swojsko.

– I co się tak gapicie? – warknęła. Czar prysnął.

Inspektor zaczął znowu pochrząkiwać, Danuśka westchnęła głęboko, a ja nie mogłam powstrzymać się od odpowiedniego komentarza.

– Miło od czasu do czasu zobaczyć, jak naprawdę wyglądasz.

– Tak, tak! – wyrwał się Mazurek, ustępując jej miejsca na dwunastoosobowej kanapie. – Wygląda pani prześlicznie! Pani mąż jest już w drodze – zwrócił się do mnie – więc myślę, że nie będzie miała pani nic przeciwko temu, że poczekamy na niego wspólnie. Zdobyłem już pewne ważne informacje, ale pozwolicie państwo, że podzielę się nimi, jak już wszyscy będziemy w komplecie.

– A tymczasem możemy się napić! – zawołała Lila. – Żarcik! – dodała pospiesznie, widząc nasze przerażone miny.

Misiek

Misiek pojawił się niebawem, o czym poinformował nas Harnaś donośnym, radosnym szczekaniem. Patrzyłam przez okno, jak dziarsko idzie z marynarką przewieszoną na ramieniu, uśmiechając się na widok domu i Harnasia. Jego uśmiech nieco przybladł, gdy spostrzegł samochód mojej siostry. Pokręcił głową, westchnął, jakby chciał powiedzieć „trudno", poszukał mnie wzrokiem i wesoło pomachał.

– Witam piękne panie! – przywitał się, wchodząc. – O i pan inspektor Mazurek, o ile się nie mylę? To z panem miałem przyjemność rozmawiać przez telefon? – Podszedł do mnie, cmoknął w czubek głowy i zakręcił się po salonie. – Komu drinka? Myślę, że przyda się nam wszystkim.

– W zasadzie jestem już po służbie, więc nie mam nic przeciwko temu. – Inspektor niepewnie spojrzał w stronę mojej siostry. – O ile paniom odpowiada moje towarzystwo. Nie wiem tylko, czy wolno mi…

– Tomek nie pierdziel – walnęła prosto z mostu Danusia – jak w takiej sytuacji ktokolwiek może mieć coś przeciwko? Siedź i gadaj, co wiesz.

– W panu nasza jedyna nadzieja, inspektorze – dodała Lila głosem Marleny Dietrich, dotykając jego dłoni i patrząc głęboko w oczy. – Proszę mnie, o przepraszam, nas nie opuszczać w tej beznadziejnej sytuacji.

Danuśka zaczęła z zaciekawieniem przyglądać się moim obrazom, Misiek odwrócił się w stronę kuchni, czerwieniejąc na twarzy, a ja omal nie udławiłam się na amen przełykaną właśnie kawą. Oblicze inspektora Mazurka pojaśniało. Chwycił dłoń mojej siostry, przycisnął do ust i rzekł:

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by państwu jakoś pomóc.

Lila wstała, wyprostowała się i popatrzyła na nas znacząco, zapewne myśląc:„Tak to się robi, gamonie!".

– A więc tak – zaczął – właścicielem samochodu jest niejaki Stanisław Grochowski. Kontaktowaliśmy się z nim i potwierdził, że użyczył go naszemu denatowi. Mieszka w Odrzykoniu. Twierdzi, że jest przyjacielem jego ojca i gościł go w ostatnich dniach. Nasz nieboszczyk jest, przepraszam, był obywatelem USA. Przyleciał do Polski cztery dni temu, wyjaśnił panu Grochowskiemu, że ma tu do załatwienia interesy związane z prowadzoną przez niego w Stanach firmą. Na razie nie widzimy żadnego związku pomiędzy panią a denatem. Poza tym jeżeli zostanie potwierdzona wersja nieszczęśliwego wypadku, policja nic więcej, oczywiście oficjalnie, nie będzie mogła w tej sprawie zrobić.

Chryste, o co tu chodzi? To naprawdę musi być jakieś wielkie nieporozumienie.

– Naprawdę nic pani nie mówi nazwisko Max Kamynsky?

Misiek zastygł nagle w połowie drogi, między kuchnią a kanapą. Stał tam przez chwilę jak słup soli, z tacą pełną szklanek.

– Moja babcia była z domu Kamińska.

Ja

Ja chyba nigdy sobie tego nie wybaczę! To był nasz kuzyn! Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Potwierdził to pan Grochowski, z którym rozmawiałam przez telefon. Przeze mnie to wszystko. Co mi strzeliło do łba, żeby spać na dole, do tego z Harnasiem? Chodzę dookoła pokoju, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Jestem załamana, zmęczona, zrezygnowana i na dodatek jest mi niedobrze od morza wypitej kawy i setki wypalonych papierosów.

Lila z Tomkiem (no tak – od paru dni to już nie inspektor Mazurek, tylko Tomek) pojechali na zakupy, bo ja niestety nie mam takiej kawy, takiego wina, takich owoców.

Danuśka zaprzęgła do współpracy swojego męża Darka, na którego wszyscy, nawet moja córka, mówią Łysy. Łysy wcale łysy nie jest. W czasach swej bzdurnej i chmurnej młodości postanowił odmienić swój wizerunek długowłosego hipisa. Udał się do zaprzyjaźnionej fryzjerki i poprosił ją o zrobienie ponętnych fal i loczków. Jakimi preparatami kosmetycznymi dysponowali fryzjerzy w czasach młodości Darka, nie muszę chyba nikomu tłumaczyć. Darek opuścił zakład fryzjerski z największym – nie tylko w mieście, ale skłonna jestem stwierdzić, że także w województwie – afro. Młody Michael Jackson albo Lenny Kravitz mieli na głowach zaledwie namiastkę tego, co było ozdobą głowy Darka, który nic sobie nie robiąc ze złośliwych komentarzy, nosił z dumą swoją fryzurę. Wyglądał jak dmuchawiec, wielka puszysta kulka na długiej, cienkiej łodyżce. Najpierw nazywaliśmy go Kudłaty i do dzisiaj nie wiem, na jakiej zasadzie Kudłaty zmienił się w Łysego.

Łysy jest specem od wszystkiego co elektroniczne. Komputery, GPS-y, telefony to jego konik. Potrafi naprawić telewizor, choć zdarza mu się, że nie umie wytłumaczyć jak. Śmiejemy się, że jest naprawiaczem intuicyjnym.

Jak wspomniałam, Darek został wtajemniczony we wszystko między innymi po to, by Danuśka miała większą swobodę działania. Nie zaskoczyło mnie to, że Darek jest całą sytuacją zachwycony. Naczytał się Panów Samochodzików, Herkulesów Poirotów i innych Morderstw w Orient Expressie. Wydaje mu się to wspaniałą przygodą i zupełnie nie rozumie, czym ja się tak przejmuję. Z radością przyjął więc propozycję, by wybrać się do Odrzykonia. To nasz jedyny ślad. Rozejrzą się z Danuśką po okolicy, nawiążą kontakty i przygotują bazę noclegową, jeżeli zdecydujemy się też pojechać. Ja w tym czasie mam się wziąć w garść, ochłonąć, ogarnąć sytuację i przedłużyć Majce pobyt nad morzem. To ostatnie było najprostsze. Majka z wdzięcznością przyjęła wiadomość, że będzie się byczyć na plaży przez następne dwa tygodnie. Stanowczo gorzej idzie mi branie się w garść. Mimo że oficjalnie potwierdzono wersję nieszczęśliwego wypadku, targa mną przeogromne poczucie winy. Morderca niech sobie spada na łeb, na szyję, ile razy chce i z czego tylko chce, ale kuzyn męża to już inna sprawa.

Wyszłam do ogrodu poprzyglądać się, jak zdeterminowany Misiek próbuje nauczyć Harnasia aportować. Kupa śmiechu! Musieliśmy gdzieś kiedyś popełnić błąd, którego już nic nie jest w stanie naprawić. Harnaś przynosi patyk, ale za cholerę go już nie odda. Na dodatek trzeba się wykazać niezwykłą przebiegłością, aby w ogóle ten patyk móc rzucić. Harnaś bowiem uważa, że słowo „aport” oznacza „wyrwij mi patyk z ręki, zanim zdążę nim

machnąć”. Myślę sobie, że to zasługa Majki, która jako pierwsza wzięła się do tresury naszego psa.

– Wiesz co? Dopiero teraz sobie tak pomyślałem, że nasz Max był zaskoczony twoją obecnością w domu – powiedział Misiek, odkładając obśliniony kij. – Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ale przed wyjazdem miałem telefon od gościa, który przedstawił się jako organizator konferencji. Przypomniał mi, że zapewniają pobyt osobie towarzyszącej i że będzie im bardzo miło, kiedy przybędę z szanowną małżonką. Nie miałem czasu na wdawanie się z nim w dyskusję i tłumaczenie, że szanowna małżonka nienawidzi takich imprez, wobec czego ograniczyłem się do „tak, oczywiście, będzie zachwycona”. Myślę, że to jednak nie był żaden organizator, bo pani w recepcji była nieco zdziwiona, że jako jedyny uczestnik konferencji mam zarezerwowany dwuosobowy pokój.

– To znaczy, że to żaden spontan, tylko misternie przygotowana akcja. Ktoś zadał sobie niemało trudu, aby to wszystko zorganizować. Wątpię, że to był nasz poczciwy Max, który był w Polsce zaledwie parę dni. Jeżeli to, co powiedziałeś, miało mnie pocieszyć, to bardzo się pomyliłeś.

– Ech… – Misiek tracił cierpliwość. – Chcę ci uświadomić, że nie możesz rozczulać się nad nieboszczykiem. Zbir to zbir, niezależnie od tego, czy jest kuzynem moim, szacha perskiego czy kogokolwiek innego. Zbir, który skończył, jak skończył na własne życzenie. Musimy przygotować się na kolejne atrakcje. Skoro – jak właśnie ustaliliśmy – nie działał w pojedynkę. Nie wiem, po co tu przyjechał, ale z tym nie wyjechał. Nie znalazł tego, czego szukał. Olej nieboszczyka! Musisz zacząć jasno myśleć. Musimy być przygotowani!

Na podjazd zajechał samochód.

– Właśnie tak sobie rozmawialiśmy z Tomaszem – wołała Lila, idąc w naszą stronę, a za nią sunął Tomek targający torby z zakupami – że cała ta sprawa musi mieć związek z babcią Zosią!

– Geniusz – skwitował z przekąsem Misiek.

– Rozmawiałem z Danuśką. – Tomek otarł pot z czoła i z wdzięcznością w oczach przyjął podaną szklankę wody. – Rozejrzeli się już trochę na miejscu i popytali tu i ówdzie. Nikt nie zna Maxa, za to Kamińskich jest tam na pęczki. Jak to mówią, „rzucisz kamieniem, to w Kamińskiego trafisz”. A jeżeli nie w Kamińskiego, to w jego pociotka. Z kolei ten Grochowski to bardzo znana persona. Antykwariusz, historyk amator, działacz i chyba nawet założyciel stowarzyszenia miłośników Fredry czy czegoś podobnego. Dystyngowany starszy pan cieszący się szacunkiem całego miasta. Łysy mówi, że trzeba go mieć na oku, bo według niego tacy są najbardziej podejrzani. No, ale to cały Łysy.

Rozsiedliśmy się w ogrodzie. Lila wyciągała na stół zakupy, które oprócz paczki kawy i kilograma brzoskwiń składały się z wina, drugiego wina, jeszcze jednego wina i na koniec… wina.

– Może dajmy sobie spokój z tym całym „śledztwem” – zaproponowałam nieśmiało. – Jeszcze się wpakujemy w gorsze kłopoty.

– Gorsze kłopoty? Ha, ha! Jakie ty sobie wyobrażasz kłopoty gorsze od tych, które właśnie masz? Nie chciałam ci tego mówić, ale trudno. Oboje z Tomaszem uważamy, że sprawa będzie miała ciąg dalszy. I jeżeli my nie odkryjemy, o co kaman, to Majka zostanie sierotą, a ja jestem jej jedyną krewną, która wcale nie ma ochoty na zastępowanie jej mamusi. Poza tym – ciągnęła Lilka – ciesz się, że masz siostrę i przyjaciół, którzy cię wspomagają. Najpierw wysyłasz Łysych na drugi koniec Polski, a teraz „dajmy spokój”. Ogarnij się, kobieto!

– Wyjątkowo zgadzam się z twoją siostrą – dobił mnie Misiek.

– W porządku – podjęłam decyzję – to kiedy jedziemy?

Maja

Maja przyszła na świat w czasie, gdy Władca pierścieni kontynuował swój tryumfalny marsz przez kina całego świata, Harry Potter był najbardziej rozchwytywaną książką, a Adam Małysz skakał najdalej ze wszystkich. Nic więc dziwnego, że pierwsze słowa naszej córki to „FrodoBagins", mówione łącznie, a zdanie – „leć, Adaś, leć". Nasze zabawy polegały na rysowaniu elfów, przebieraniu się za nie, układaniu o nich wierszyków i piosenek oraz bieganiu z różdżkami, z okrzykiem: „Alohomora" lub „Wingardium Leviosa".

W tamtym czasie mieszkaliśmy razem z babcią Zosią, czyli prababcią Majki, i babcią Marysią, czyli moją teściową. Babcia Marysia do śmierci miała żal do mojego męża, że wziął sobie mnie za żonę, sądząc naiwnie, że niechęć do mnie ukrywa świetnie. Krytykowała mnie za wszystko – źle gotuję, źle sprzątam, źle odżywiam nasze dziecko. Skandalem było to, że nie daję Majce mleka (uczulenie), truskawek (też uczulenie) ani lizaków, które dzieci przecież tak lubią.

Prababcia Zosia była całkiem inna. Urodzona w Detroit przyjechała do Polski tuż przed wybuchem wojny. Wywieziona na Syberię, powróciła do kraju jako jedna z platerówek. Osiedliła się tu, na Zachodzie. Wybudowała dom, wychowała trzy córki, dochowała się wielu wnuków i pierwszej prawnuczki – Majki. Maja uwielbiała przesiadywać w jej pokoju, słuchać opowieści i oglądać po raz setny stare fotografie. Z fascynacją przyglądała się obrazowi wiszącemu nad łóżkiem Zosi, który przedstawiał Józefa heblującego deski i Maryję z dzieciątkiem, oprawionemu w ciężką, bogato zdobioną ramę. Z uporem maniaka twierdziła, że to młoda prababcia ze swoim mężem, a dzieciątko to tato. Codziennie tłumaczyłam jej, że tak nie jest, że to niemożliwe, lecz ona tylko patrzyła na mnie swoimi ogromnymi, jasnymi oczami, jakby chciała powiedzieć: „Nie wysilaj się, mamo, ja wiem swoje".

Pewnego letniego, słonecznego dnia bawiłyśmy się w ogrodzie. Od rana budowałyśmy domki dla elfów, pamiętając o tym, by ukrywać się przed szpiegami Sarumana, czyli wszelkim ptactwem odwiedzającym nasz ogród. Domki były kolorowe, wyklejane bibułą i ozdobione wstążkami. Chciałyśmy w ten sposób zwabić wszystkie elfy z okolicznych pól i lasów. Był to jeden z genialnych pomysłów Majki, na który ochoczo się zgodziłam. Domki porozwieszałyśmy na drzewach, wyposażyłyśmy je w łóżeczka zrobione z chusteczek higienicznych oraz płatków kosmetycznych i z poczuciem dobrze wykonanej pracy wróciłyśmy do domu. Majka poleciała do babci Marysi opowiedzieć, jak świetnie się dzisiaj bawiła. Jakież było moje zdziwienie, gdy po kilku minutach Maja wróciła, a po jej buźce spływały łzy jak grochy.

– Babcia powiedziała, że elfy nie istnieją, że to grzech wierzyć w takie bzdury, że Bozia jest na mnie zła i mam się tak nie bawić – szlochała.

Zamurowało mnie. A to małpa! To przecież tak, jakby powiedzieć małemu dziecku, że święty Mikołaj nie istnieje! Z trudem uspokoiłam Maję, mówiąc jej, że dorośli też się czasem mylą, że tylko dzieci i ludzie o wielkiej wrażliwości widzą to, czego inni nigdy nie zobaczą.

Maja zasnęła na moich kolanach, zmęczona płaczem i dniem pełnym emocji. Zaniosłam ją do łóżka i popatrzyłam na obraz, który razem malowałyśmy. Elf Misiek obejmował chudą,

wysoką elfkę (to niby ja), a między nimi mały, uśmiechnięty elfik z ogromnym kwiatem w dłoni. Kwiat był autorstwa Majki, która już wtedy zaczęła ujawniać swój talent plastyczny. „No nie – pomyślałam – nie pozwolę, aby w taki głupi sposób runął cały jej świat. Świat pełen magii, kolorów, pozwalający wyobraźni wędrować po krainach niedostępnych nam – dorosłym". Wzięłam do ręki zapalniczkę i paczkę papierosów – tak, będą się nadawać. Wyszłam po cichutku.

– Majciu, obudź się. – Delikatnie potrzasnęłam ją za ramię. – Muszę ci coś pokazać.

Półprzytomna Majka tarła oczy. Wzięłam ją na ręce i wyniosłam do ogrodu. Noc była ciepła, niebo rozgwieżdżone, cykały świerszcze.

– Popatrz – szepnęłam.

Przez chwilę nie wiedziała, o co chodzi, na co ma patrzeć, a potem usłyszałam głębokie:

– Och!

W każdym domku zawieszonym na drzewach żarzyły się maleńkie ogniki. Leciutki wiatr poruszał delikatnie listkami, co wywoływało wrażenie, że ogniki także się ruszają.

– Elfy – wyszeptała Maja z zachwytem – mamusiu, to naprawdę elfy.

Siedziałyśmy tak bez ruchu, przytulone do siebie do czasu, aż ostatni papieros zgasł. Rany Julek! Jaką wielką satysfakcję miałam, gdy rano zobaczyłam taki oto obrazek. Majka z prababcią na maleńkich, wyciętych z papieru serweteczkach rozkładają okruchy ciasta i roznoszą do elfich domków (na szczęście uprzątnęłam niedopałki), a wszystko to obserwuje teściowa przez okno. Minę ma jak kot, który wziął pustynię za kuwetę, ale nie może nic z tym zrobić, bo nawet ona nie podskoczy prababci Zosi.

Tak rozpoczęła się nasza cicha wojna podjazdowa. Wojna między mną a teściową, wojna o wrażliwość i wyobraźnię mojej córki, wojna z góry przeze mnie wygrana, bo miałam po swojej stronie potężnego sojusznika. Zosię!

– Majciu – mówiła w czasie rodzinnego obiadu – na parapecie w moim pokoju stoi kaktus. Myślę, że jego wielkie kolce nadadzą się świetnie na miecze dla tych twoich krasnoludków.

– Krasnoludków? – Teściowa o mało się nie zakrztusiła żeberkiem w miodzie.

– Ach, to ty nie wiesz, że w naszej piwnicy pojawił się znowu król szczurów, ten od dziadka do orzechów? Ale nie martw się, Majcia znalazła na niego doskonały sposób. Brakowało nam tylko broni.

– Nie będę tego słuchać! – Teściowa odkładała sztućce i wychodziła z jadalni. Zosia mrugała znacząco okiem, a my dusiłyśmy się ze śmiechu.

Pewnego dnia zapytała, czy może wziąć na parę dni obraz z pokoju Majki. Oczywiście zgodziłam się, zachodząc w głowę, co tym razem wymyśliła.

– Tak będzie lepiej – powiedziała, taszcząc go z powrotem.

Obraz oprawiony w przepiękne ramy wyglądał imponująco! Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że zostały one ściągnięte z tego, który wisiał w pokoju Zosi. „Oj, będzie się działo" – pomyślałam.

Teściowa wpadła w szał:

– To nieprawdopodobne! Straciłaś rozum? Ten obraz był z nami przez całe życie, a ty go tak po prostu zniszczyłaś? Dla jakiegoś bohomaza? Pomieszało ci się w głowie!

– Widzisz – powiedziała Zosia, gdy poprosiłam ją o przywrócenie poprzedniego stanu rzeczy, bo atmosfera w domu była nie do zniesienia. – Bardzo leży mi na sercu przyszłość Majki. Ona będzie artystką, ona ma taką duszę. Niech zawsze wie, że ja bardzo ją wspieram. Jestem starą, prostą kobietą, ale gdzieś wyczytałam, że bez wyobraźni nie ma dobroci ani

mądrości i zapadło mi to w pamięć. Chcę, żeby Maja wyrosła na dobrą i mądrą osobę. No, a artyści, wiadomo, nigdy nie dbają o rzeczy doczesne.

Była to jedna z naszych ostatnich rozmów. Zosia odeszła, przeżywszy imponujące sto dwa lata. Odeszła cichutko i spokojnie. W tym samym roku pożegnaliśmy babcię Marysię. To był bardzo, bardzo smutny rok.

*

Rozmyślam nad tym wszystkim, walcząc z coraz bardziej ogarniającą mnie sennością. Jedziemy już parę godzin. Lila z Tomkiem suną za nami żuczkiem, który dzielnie dotrzymuje nam kroku.

– Śpisz? Co tak zamilkłaś? – Misiek przyglądał mi się badawczo. – Nie mów tylko, że wciąż rozpaczasz po kuzynie włamywaczu?

– Myślałam o Zosi. Zawsze była niesamowita, ale do głowy by mi nie przyszło, że wplącze nas w jakąś awanturę, i to parę lat po swojej śmierci.

– To nie ona nas wplątała. To źli ludzie. Ale tak sobie myślę, słonko ty moje, że trafiła kosa na kamień. Cały ich misterny plan poszedł wiadomo w co. Jest remis – zaśmiał się – oni nie mają tego, czego szukali, a my nie wiemy tego, co oni wiedzą. Jedyna nadzieja w Danusce i Łysym, ponoć coś tam odkryli.

– Wiem, że gna cię głód wiedzy i ciekawość, ale ściągnij tę nogę z gazu. Jeden trup w miesiącu wystarczy. Pamiętaj, że mamy córkę! Nie ma żadnego znaczenia, czy dojedziemy o północy, czy godzinę później. Opowiedz mi lepiej o koligacjach Zosi za oceanem. Dużo jeszcze tego kuzynostwa tam mamy?

– Z tego, co wiem, to nie. Sam jestem zdziwiony. Babcia miała brata, ale myślałem, że zmarł bezdzietny. Miał chyba na imię Albert. Krążyły pogłoski o jakimś nieślubnym synu, ale byłem małym szczylem, gdy o tym rozmawiano. Widocznie syn okazał się prawdziwy, do tego noszący jego nazwisko. Dziwne to wszystko. Teraz sobie przypominam, że Zosia pytała mnie o sposób wysyłania listów do Stanów. Założyłem błędnie, że chodzi o sprawę obywatelstwa. Wymyśliła sobie, że przekaże mi w testamencie obywatelstwo USA, bo ktoś jej powiedział o takiej możliwości. Było to parę ładnych lat temu, Majka malutka, w pracy gorący czas, więc nie zawracałem sobie tym głowy.

– Nie zawracałem sobie głowy, nie zawracałem sobie głowy – przedrzeźniałam – a ja mam teraz krew na rękach!

– Jak już, to Harnaś na łapach, ale dość o tym, bo chyba właśnie dojeżdżamy.

Och! Jak miło rozprostować nogi! Stoimy przed ślicznym piętrowym domkiem, otoczonym równo przyciętym żywopłotem. Tomek taszczy komplet walizek Lili, która klnąc pod nosem, próbuje przejść po kostce na swoich dziesięciocentymetrowych szpilkach. Danusia z Łysym wybiegli nam na spotkanie. Za nimi na oświetlonych schodach pojawiła się gospodyni. Każda drużyna koszykarska byłaby zainteresowana zwerbowaniem jej w swoje szeregi. Dwa metry jak nic!

– Horpyna! – teatralny szept Lili dało się słyszeć w promieniu dziesięciu kilometrów.

– Witam i zapraszam do domu. Jest już bardzo późno, ale państwo na pewno głodni, więc jak tylko rozlokujecie się w pokojach, to proszę na kolację. – Jej głos okazał się zaskakująco ciepły i miły. – A Sienkiewicza też lubię – dodała, przeszywając Lilę pełnym wzgardy spojrzeniem.

W domku też ślicznie. Żadnych pseudoludowych ozdóbek, czyściutko i kolorowo. Przez otwarte okna pokoi dochodzi słodki zapach maciejki. Ale fajnie! Nie mogę się doczekać ranka, żeby móc rozejrzeć się po okolicy.

– Czy ta baba zwariowała! – Lila wpadła do naszego pokoju. – Ja mam spać razem z Tomaszem? Niedoczekanie! Danuśka, jak ty to załatwiłaś? Miałam mieć osobny pokój!

– Osobny pokój to możesz mieć na drugim końcu Odrzykonia. Mogę wyeksmitować Łysego i będziesz ze mną, o ile nie chrapiesz. Nie zniosę chrapania.

– No wiesz! Ja…

– Umieram z głodu, chodźmy jeść. Potem będziemy się martwić tym, czy Lilka chrapie, czy nie – przerwałam.

Jajecznica na kiełbasie, twaróg ze szczypiorkiem i masło o dawno zapomnianym smaku. Wszystko to znikało ze stołu w zastraszającym tempie. Byliśmy naprawdę głodni.

– No dobra, my jemy, a wy gadajcie, co wiecie – zarządził Misiek.

– Nie jest tego za wiele. – Danuśka wzruszyła ramionami i wydęła dolną wargę. Sięgnęła po talerz, na którym leżał twaróg, i zaczęła zjadać pozostawione okruszki. – Popytaliśmy o tego Grochowskiego, ale to człowiek bez skazy. Wiemy, że Max był u niego zaledwie parę dni. Przyjeżdżał tu już wcześniej, chyba ze swoją matką. Zabawiali tydzień, dwa, zwykły urlopowy wyjazd. Matka ledwo mówiła po polsku, za to Max biegle. Generalnie facet wzbudzał ogólną sympatię, nawet nasza gospodyni, pani Beatka, opowiadała o nim w samych superlatywach. Beatka jest nauczycielką w pobliskiej szkole. Żałowała, że Max przyjeżdża tylko w czasie wakacji, bo chętnie zaprosiłaby go na spotkanie z uczniami. Ponoć był niesamowicie elokwentnym, wykształconym i umiejącym świetnie opowiadać gościem. Do Grochowskiego mówił „wujku”, choć, jak wiemy, nie byli spokrewnieni.

– Teraz moja wersja. – Z rozbawieniem patrzyłam, jak Darek aż podskakiwał na krześle ze zniecierpliwienia, lecz bał się przerwać Dance. W końcu wypalił: – Moim zdaniem ten cały Grochowski śmierdzi mi gangsterem na odległość stu kilometrów, a jego kumpel Max jeszcze bardziej.

Uniosłam pytająco brwi.

– No nie, nie mam żadnych dowodów, ale mi śmierdzi, i tyle! Bez żony, bez dzieci. Nauczyciel, który ze swojej nauczycielskiej emerytury, a wcześniej pensyjki, utrzymuje pokaźny dom, rozwija swoją pasję kolekcjonerską, podróżuje za ocean i na dokładkę sponsoruje muzeum czy coś tam. Gdybyś go zobaczyła. Garnitur z tego, no, taki materiał biały w czarne paseczki, no tak, tenis. Kapelusz, laseczka ze złotą gałką, czarno-białe buty i na dokładkę ten pedalski wąsik. A wiesz, czym on jeździ? Nowiutkim mercedesem klasy S! A w garażu znany nam już opel.

– Porąbało cię, łysa pało! – Danuśka znacząco popukała się w czoło. – Samotny człowiek, na co ma wydawać pieniądze? Całe życie ciężko pracował po to, by teraz mógł rozwijać swoje pasje i jeździć wypasionym autem. Chociaż ja i tak wolę motocykl. Podejrzewam, że miał sponsora w osobie Maxa. Stąd ta odrobina luksusu.

– Ładna odrobina. Z doświadczenia wiem, że tacy ludzie są w najwyższym stopniu podejrzani.

– Twoje doświadczenie! Ha, ha! Twoje doświadczenie to 07 zgłoś się i Życie na gorąco!

Mogli się tak przekomarzać do białego rana, uwielbiali to. Uwielbiali też siebie nawzajem, a my uwielbialiśmy ich.

– Słuchajcie, mam coś ważnego do powiedzenia. Otóż… – Lila aż poróżowiała z emocji. – W związku z tym, że znaleźliśmy się w samym środku nieprawdopodobnej kryminalnej, z naciskiem na kryminalnej, afery, powinniśmy ustalić pewną rzecz. Wymyślmy jakieś hasło, formę szyfru, którego będziemy używać, nie wzbudzając podejrzeń osoby inwigilowanej.

– Tak, tak, oczywiście, Lilu, masz jak zwykle rację. – Spojrzenie Tomasza pełne zachwytu zdało się mówić: „Boże, jakaś ty mądra!”.

– Jasne! – wykrzyknął Misiek. – Genialne! Proponuję: „żyrafy wchodzą do szafy” albo „pawiany włażą na ściany”! A może bardziej odpowiednie będzie „najlepsze kasztany są na placu Pigalle”.

– Jakim placu? Nie, to zbyt skomplikowane.

Twarz Miśka z sekundy na sekundę stawała się coraz bardziej czerwona. Bojąc się, że za chwilę krew go zaleje, kopnęłam go „uspokajająco” pod stołem.

– Dobra, o hasłach, gangsterach i tajemnicach pomyślimy jutro. Teraz lulu! Łysy z Tomkiem, Lila z Danuśką, tak? No, to dobranoc.

Detektywi

Detektywi z nas tacy jak instrument dęty blaszany z zadka kozy. Gdy ujrzałam rano przez okno ruiny zamku Kamieniec, zapomniałam o bożym świecie. Chwyciłam szkicownik i ołówki, trampki na nogi, czerwony kapelusz.

– A śniadanie? – Lila dorwała mnie na korytarzu. – Zjemy, ogarnę się i idę z tobą, musimy pogadać.

Nasi panowie umówili się z mężem gospodyni na lekcję robienia wina, po tym jak Misiek nieopatrznie wygadał się o swojej nalewce. Danuśka z migreną została w pokoju, dogoni nas jak dojdzie do siebie.

„Matko Boska" – to jedno przyszło mi do głowy, gdy po półgodzinnym oczekiwaniu Lila pojawiła się na schodach. Oczywiście szpilki, długa biała suknia z rozpierdakiem do pępka, perełki na szyi i maleńka kopertówka. Popatrzyła na mnie z niesmakiem i pokręciła głową.

– Pasujemy do siebie jak pięść do nosa. – Skrzywiła się. – Nie ma w tobie krzty elegancji.

– Kobieto! Idziemy na wycieczkę, z buta, po wertepach, oglądać ruiny!

– Tym ruinom też przyda się trochę klasy.

Ciekawe, co powie po przejściu kilometra. Uśmiechałam się w duchu, myśląc o tym, jak bardzo różnimy się od siebie. Moje wymarzone wakacje – Bieszczady, Lili – Mauritius. Ja na urodziny walnęłam sobie tatuaż na plecach, ona funduje sobie pobyt w spa, najlepiej gdzieś za granicami Polski. Ja trampki i czerwony kapelusz, ona… ech, co tu dużo mówić.

Ale wiem jedno. Jeżeli będzie trzeba, gdy będę miała kłopoty, Lila przybiegnie do mnie z najdalszej wyspy, w najbardziej niewygodnych butach i po najpodlejszej drodze.

– O czym chciałaś porozmawiać, coś ważnego, co się dzieje? – zapytałam, siadając na trawie. Lila zrezygnowała z odrobiny wytworności, związując sukienkę po obu stronach, w całkiem ładnie wyglądające supły. Założę się, że do domu wróci na bosaka.

– Nic takiego, chodzi o Tomka. Nie wiem, co z nim zrobić. – Wyjęła z torby mój szkicownik i zaczęła się nim wachlować. Nie byłam pewna, czy rumieniec na jej twarzy był wywołany upałem, czy wzmianką o Tomaszu.

– Hm. Nie widzę żadnego problemu. Jest zakochany po uszy. Patrzy na ciebie jak cielę na malowane wrota. Hi, hi, prawie jak mała Majcia na elfy. To dobry chłopak… i do tego cholernie przystojny.

– No właśnie! – Lila podniosła się z trawy i zaczęła chodzić wokół mnie. – A ja tak nie chcę! Nie chcę: „tak, Lilu; oczywiście, Lilu; masz rację, Lilu". Ja to bym chciała faceta takiego… no, wiesz, takiego… jak Misiek.

Nie musiałam nic mówić. Wyraz największego w życiu zbaranienia, jaki objawił się na mojej twarzy, wystarczył za wszystkie słowa świata.

– Wiem, wiem – kontynuowała – nie lubimy się, ale to na zasadzie „kto się lubi, ten się czubi". Zresztą to nieważne. – Machnęła ręką. – Nie chodzi mi o to, żeby to był on, tylko żeby mnie tak kochał. Rozumiesz? Chcę mieć faceta, który będzie mnie kochał tak jak Misiek ciebie. Bez dziamdziania, nadskakiwania i tych wszystkich kizi-mizi. Tylko tak po prostu kochał.

Uśmiechnęłam się.

– Daj mu, Lilu, czas. Jesteś wyjątkowa, więc nic dziwnego, że chłopak trochę się, że tak powiem, zauroczył. Ściągnij maskę głupiej, zarozumiałej, niedostępnej blondynki, to może i on pokaże się z tej prawdziwszej strony.

– Kiedy ja już się tak do tej maski przyzwyczaiłam, że nieraz sama biorę ją za swoją prawdziwą twarz – powiedziała Lila nad wyraz smutno. Przytuliłam ją mocno. Warto było jechać sześćset kilometrów dla takiej rozmowy.

Całe szczęście, że Lila przezornie zabrała ze sobą pieniądze. Zupełnie o tym nie pomyślałam. Opłata za wstęp, a z mojego rysowania nici. Wycieczki szkolne, turyści, gwar i niezmierny upał nie sprzyjają twórczym zajęciom. Bzdurnie wyobrażałam sobie, że będę siedziała samotnie wśród romantycznych ruin, przepełniona duchem Fredry. Niestety, rzeczywistość rzadko kiedy jest romantyczna. Żałuję tylko, że nie ma tu ze mną Mai, która na pewno zachwycona byłaby tym miejscem. A gdybym tak jeszcze opowiedziała jej o duchu „małej pani" albo – jak kto woli – „zielonej karliczki", to z pewnością zakochałaby się w tym miejscu.

– Czy to tutaj rozgrywała się Zemsta? – Lila rozglądała się z zaciekawieniem dookoła.

– Nie wiem, ale historia, która była inspiracją do napisania jej, tak. W siedemnastym wieku zamek był w posiadaniu dwóch rodzin: Skotnickich i Firlejów. Darli koty jak Pawlak i Kargul. A resztki muru granicznego stoją chyba do dzisiaj, możemy go poszukać. Dopiero ślub ich dzieci, Mikołaja i chyba Zofii, zakończył ten spór. Fredro opis tej historii znalazł w dokumentach sądowych, które przeglądał po ożenku z Jabłonowską. Można by powiedzieć, literatura faktu. – Zamyśliłam się na chwilkę. – Niekiedy życie pisze fajne scenariusze. Może i ja napiszę książkę o tym, co nam się przytrafiło?

– Jeżeli w tej książce występować będziesz ty i ja, to tytuł powinien brzmieć Głupia książka – roześmiała się Lila. Nagle potrząsnęła mnie za ramię. – Jasssna dupa! Toż to chyba nasz Grochowski.

Rzeczywiście! Wprawdzie nigdy wcześniej człowieka nie widziałam, ale wypisz, wymaluj Grochowski, taki jak go opisał Łysy. Idzie sobie otoczony wianuszkiem starszych pań, które (dam sobie rękę uciąć) musiały być finalistkami wyborów miss Podkarpacia jakieś czterdzieści lat temu. Wszyscy weseli, roześmiani. Grochowski coś opowiada, a panie co chwila wybuchają śmiechem.

– Łysy ma rację, niezły z niego absztyfikant – skwitowała. – Podchodzimy?

– Nie, umówieni jesteśmy na popołudnie, zresztą, co by nam to dało? Wracajmy, już późno, Misiek pewnie zaczyna się martwić.

Tak jak myślałam, Lila jednak ściągnęła buty. Szukając skrótu, dołożyłyśmy sobie tak na oko ze dwa kilometry. Właśnie straciłam wszelką nadzieję na odnalezienie drogi do domu. Poddaję się! Gorąco jak w piekle, czterdzieści stopni jak w banku, a okoliczne komary muszą pałać do nas niewytłumaczalną nienawiścią, skoro nie przestają gryźć, mimo offów i zamaszystego machania kapeluszem.

– To ja zlazłam z łóżka i gonię na łeb, na szyję, a wy wracacie? – Danusia machała do nas uśmiechnięta. Uff, chwała Najwyższemu, jesteśmy uratowane!

– Jak tam głowa? Przeszło?

– Gdzie tam. Ale ból zelżał, da się wytrzymać. Kto to śpiewa?

Śpiewa? Rzeczywiście, gdzieś niedaleko ktoś coś śpiewał albo usiłował śpiewać. Im bliżej domu byłyśmy, tym bardziej wyraźny stawał się śpiew. Ktoś donośnym głosem zawodził, jak bardzo kombinuje, by być z ukochaną, obserwuje ją przez lornetkę i nie śpi po nocach. Drugi głos starał się doprecyzować, o kogo chodzi i dodawał po każdym refrenie słowa: „tę blondynę".

Popatrzyłyśmy na siebie pytająco, nic nie rozumiejąc. Śpiewacy jednak nie poddawali się i znowu zaczęli śpiewać, tym razem na dwa głosy. Zaczęłam coś podejrzewać i im bardziej zbliżałyśmy się, tym większej nabierałam obawy, że mogę mieć rację.

No tak, wyszli nam na spotkanie. Misiek i Tomek, objęci ramionami, z anielskimi uśmiechami na twarzy i nie do końca przytomnym spojrzeniem kontynuowali swój recital, chyba nie do końca zdając sobie sprawę z naszej obecności.

– Cholera! A gdzie jest Łysy? – Danka puściła się pędem do domu.

Z niedowierzaniem patrzyłam na Lilę. Czy to prawda, czy tylko mi się wydaje, że na jej twarzy pojawił się od dawna niewidziany przeze mnie radosny, szczery uśmiech?

*

– No, to się wpakowałyśmy. Trzy głupie baby idą na spotkanie, być może ze złoczyńcą – utyskiwałam, stojąc pod domem Grochowskiego. Byłyśmy mocno spóźnione. Zanim ułożyłyśmy spać naszych panów, minęło sporo czasu. Z żadnym nie było łatwo. Najtrudniejsze jednak okazało się znalezienie Łysego, który postanowił sam ułożyć się do snu za klatkami królików hodowanych przez sąsiadów naszych gospodarzy. Potem godzinka na „zrobienie się" i oto jesteśmy. Trzy godziny po czasie!

– Dzwoń – wydała rozkaz swoim zwyczajem Danuśka.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Pojawił się w nich uśmiechnięty Grochowski, który najwyraźniej czekał na nasze przybycie.

– Proszę, proszę, niech piękne panie wejdą. – Kłaniał się w pas, wpuszczając nas do środka.

Zapach moliny pomieszany z tanią wodą kolońską i czymś niezidentyfikowanym uderzył mnie w nos. Matko, jaki zaduch! Zemdliło mnie, ale przecież muszę jakoś wytrzymać. Tymczasem Lila bezceremonialnie sięgnęła po leżące na półce czasopismo i zaczęła się nim wachlować.

– Bardzo proszę tego nie dotykać! – głos pana Stanisława zabrzmiał nagle ostro i nieprzyjemnie. – To są kopie spisu mieszkańców Odrzykonia z siedemnastego wieku! W ogóle bardzo będę wdzięczny, jeżeli szanowne panie powstrzymają się od dotykania czegokolwiek. – Wskazał nam miejsca na kanapie obok przepięknie zdobionego stolika, na którym stał porcelanowy serwis do kawy. – Czym mogę szanownym paniom służyć? Wiem, że jedna z pań była… hm… jakby to delikatnie ująć, świadkiem wypadku Maxymiliana, ale doprawdy nie mam pojęcia, jaki jest cel tej wizyty.

– Panie Stanisławie, wie pan, że Max był naszym krewnym. Trochę to dziwne, ale jest pan jedyną osobą, która go dobrze znała. Czyż nie jest naturalne, że chciałabym dowiedzieć się o nim trochę więcej? – starałam się mówić spokojnie, powoli i grzecznie, choć tak naprawdę szlag mnie trafiał. – Nie mylę się chyba, zakładając, że znał pan Zofię i jej męża, prawda?

– Oj, myli się pani, i to bardzo. Nigdy nie miałem przyjemności poznać pani babci osobiście. Oj, zaraz, zaraz! Z tego, co jednak wiem, to nie była pani babcia. – Uśmiechnął się złośliwie, nalewając kawę do filiżanek z porcelany tak delikatnej, że ze strachem myślałam o wzięciu jej do ręki. – Dlaczego więc miałbym z panią rozmawiać? Jest pani, że tak to powiem, obca.

– Może dlatego? – Danuśka od niechcenia machnęła mu przed nosem legitymacją.

– No tak, to zmienia postać rzeczy. Szanowne panie mogą pytać, o co tylko zechcą. – Znowu powrócił przemiły, dystyngowany starszy pan.

– Mogę sobie pooglądać dom? Ma pan tu tyle wspaniałych eksponatów, a ja uwielbiam stare pamiątki, antyki, generalnie wszystko, co łączy się z historią. Mam kręćka na punkcie historii. A gdyby do tego oprowadził mnie jakiś przystojny i wytworny mężczyzna, to byłabym w siódmym niebie. – Lila sięgnęła po swoją sprawdzoną broń, zatrzepotała rzęsami i posłała mu niezbyt rozumny uśmiech.

– Ależ oczywiście! Jak to miło spotkać bratnią duszę, i to w postaci tak zjawiskowej kobiety. Tylko chwilkę porozmawiam z paniami, a tymczasem proszę oglądać sobie do woli.

– Proszę mi opowiedzieć, co pana łączy z tą całą awanturą – poprosiłam.

– Z awanturą, proszę mi wierzyć, nic a nic. Mój ojciec znał Zofię i jej męża z Ameryki. Tam się poznali, zaprzyjaźnili i razem podjęli decyzję o powrocie do kraju. Jednak w Polsce ich drogi zupełnie się rozeszły. Mój ojciec dorobił się za oceanem niezłego majątku, niestety, zgubne nałogi i słabość do pięknych kobiet sprawiły, że to co tu panie widzą na ścianach, to cudem uratowane resztki. Resztki, które w bardzo bolesny sposób uświadamiają nam, jak ulotna jest fortuna. Ach, majątek zbił, prowadząc duży sklep z bratem Zofii, Albertem, który notabene pozostał w Stanach. W pewnym okresie swego życia, już po śmierci mego ojca napisałem do brata Zofii list z prośbą o wsparcie, licząc na to, że udzieli mi go z uwagi choćby na dawną przyjaźń z moim ojcem. Rozstali się bowiem w wielkiej zgodzie. Nieraz słyszałem, jak ojciec mówił, że w razie czego może liczyć na jego pomoc. Jakież ogromne było moje zdziwienie, jakiż bolesny zawód, gdy po wielu miesiącach dostałem list. W liście tym jakaś kobieta pisała mi o śmierci Alberta, o tym jak się kochali i snuli plany na przyszłość. Napisała mi, jak została sama, w ciąży z jego dzieckiem i że ona też potrzebuje pomocy. Tak zaczęła się nasza korespondencja, którą po pięćdziesięciu latach przerwała jej śmierć. – Zatrzymał się na chwilę, jakby wracał myślami do tamtych wydarzeń. – Z czasem się zaprzyjaźniliśmy. Nawet raz odwiedziła mnie tutaj, w Polsce. Ja stanąłem na nogi i nieźle zaczęło mi się powodzić. Poleciałem do niej parę razy, poznałem jej syna, który wyrósł na wziętego prawnika, i Maxa, jej wnuka. Chłopak był zafascynowany Polską, swoimi korzeniami, historią naszego kraju. Jego bohaterem był, nie zgadną panie kto, mianowicie Jan Szczepanik. Trafił gdzieś na dwa artykuły Marka Twaina, w których pisał, o polskim Edisonie. A gdy dowiedział się, że Szczepanik uczył kiedyś w pobliskiej szkole, że szkoła pani Beatki nosi jego imię, to byłem przekonany, że tu zamieszka. Przyjeżdżał na wakacje, najpierw z rodzicami, potem z mamą, a gdy dorósł, sam. – Dolał nam kawy, która – o dziwo – smakowała wybornie, i z niepokojem poszukał wzrokiem Lili, przechadzającej się wzdłuż prawie muzealnych ścian. Uspokojony powrócił do rozmowy: – Podczas ostatniego pobytu zauważyłem w nim zmianę. Ciągle dopytywał się, czy nie znam jego żyjących krewnych, czy nie orientuję się, jak zareagowaliby, gdyby nagle się u nich pojawił i tym podobne bzdury.

– Bzdury? – Wpadłam mu w słowo. – Dlaczego według pana to bzdury?

– Dlatego, szanowna pani, że jakoś nikt z jego krewnych nic nie zrobił na wieść o śmierci Alberta. Jakoś nikogo nie interesował los biednej dziewczyny noszącej w brzuchu jego dzieciaka. Dlaczego teraz miałoby być inaczej? No pewnie, gdyby się dowiedzieli, że Max jest majętnym, wykształconym człowiekiem, to z pewnością przyznaliby się do niego. Ale gdzie byli, gdy jego matce trzeba było pomóc?

Skąd tyle złości i jadu w jego słowach? Chociaż z drugiej strony, jeżeli to, co opowiada, jest prawdą, to ma do tego pełne prawo.

– Ale w końcu zgodził się pan mu pomóc. Max nas znalazł chyba dzięki panu, prawda? Dlaczego jednak wybrał sobie tak oryginalny sposób poznania swojej rodziny? Kominiarka, pistolet? Nie wydaje się to panu dziwne?

Nagle głośne, niemodulowane „AAAAAAAAAA!” poderwało nas na równe nogi. Pobiegliśmy wszyscy w kierunku tego upiornego wrzasku. Kątem oka zobaczyłam, jak Danka sięga prawą ręką do torby przewieszonej przez ramię. Drugi trup? Rety, tylko nie to, drugiego trupa nie przeżyję!

– Ach, to nic takiego. – Pan Stanisław się zaśmiał. – Proszę się uspokoić, to tylko moja Mery. Wiecie, drogie panie, jak to jest, gdy się mieszka w domu pełnym wartościowych przedmiotów, których wartość jest jeszcze wyolbrzymiona przez zawistnych sąsiadów. Mery zdecydowanie działa odstraszająco na potencjalnych nieproszonych gości. Na noc wypuszczam ją – dodał zupełnie poważnie, bez śladu wesołości sprzed chwili.

Nie tylko ja wyglądam jak kretynka z rozdziawionymi ustami i oczami wielkości piłek golfowych. Danuśka na dokładkę zesztywniała, a Lila sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała zemdleć.

Za ogromną szybą, przedzielającą jakby na pół pokój dość dużych rozmiarów, leżało coś, co przypominało węża. Ale to nie był wąż! To coś było stokrotnie większe, grubsze i na pewno bardziej oślizgłe. Jasnobrązowe, nieregularne plamy rozdzielały żółte pręgi i gdyby nie to, że tak cholernie się bałam, mogłabym uznać, że jest śliczne. Komponowało się wspaniale.

– To pyton tygrysi. Nie chcę się chwalić, ale jest to chyba jeden z największych okazów hodowanych w Polsce. Mery ma prawie sześć metrów. Powszechnie sądzi się, że pytony królewskie to potężne węże, ale powiem paniom, że przy Mery wyglądają one jak dżdżownice. Mój wąż ustępuje wielkością jedynie pytonom siatkowym, ale z tego, co wiem, w naszym kraju takich nie ma.

– Czy jest zarejestrowany? – zapytała rzeczowo Danka.

– Ależ oczywiście! Jeżeli pani sobie tego życzy, zaraz pokażę papiery.

– Pieprznięty Voldemort – wyrwało mi się, zanim zdążyłam zasłonić ręką usta. Zastygłam z uniesioną w pół drogi dłonią i z przestrachem popatrzyłam na Grochowskiego. Wiem, że usłyszał. Uśmiechnął się prawie niezauważalnie i zmrużywszy oczy, przyjrzał mi się z zainteresowaniem.

– A co tam wisi takiego ładnego za… Mery? – Lila starała się przerwać niezręczną ciszę. Jej głos nadal drżał ze strachu i emocji.

Na ścianie, w części wydzielonej dla gadziny wisiała chyba złota moneta umieszczona w malutkiej gablotce, na czerwonym suknie, zabezpieczona szybką.

– To w zasadzie jedyna pamiątka po świetności mojego taty. – Pan Stanisław westchnął. – To jest czworak, czyli cztery dukaty austro-węgierskie. Bardzo rzadka legendarna moneta z czasów Cesarstwa Austriackiego. Oczywiście ze względu na popyt bita jest w Austrii do dzisiaj, ale ta jest bardzo, bardzo stara. Łakomy kąsek dla każdego kolekcjonera, nie mówię nawet o wartości złota, z którego została wykonana.

– Jest już późno, zabrałyśmy panu sporo czasu, więc chyba już na nas pora – zaczęłam się żegnać. Czułam się okropnie, wiedząc, że w odległości jednego metra leży obok mnie sześciometrowy pyton. Chyba zrozumiałam, skąd ten zaduch i specyficzny zapach. Cały ten dom, wraz z właścicielem, był jakimś gabinetem osobliwości. Lila najwyraźniej miała na ten temat nieco odmienne zdanie, bo ni z gruszki, ni z pietruszki zapytała:

– Ma pan piękny dom i tyle bardzo ciekawych rzeczy, że zastanawiam się, czy przypadkiem nie trzyma pan w szafie żyrafy? To tylko taki żarcik – dodała, widząc bardzo zdziwioną minę Grochowskiego.

– Ach, tak! A już myślałem, że pyta mnie pani całkiem serio. – Był najwyraźniej rozbawiony i najwyraźniej pod urokiem Lili. Danka spojrzała na mnie pytająco. Wzruszyłam

ramionami. Ja też nie wiem, o co chodzi, ale Lila na pewno chce nam coś powiedzieć.

– Ja jednak nalegam na pokazanie tych dokumentów dotyczących rejestracji węża. Wie pan, jestem bardzo czuła na punkcie ekologii, ochrony ginących gatunków i tak dalej. Nie mogłabym zasnąć, nie mając pewności, że wszystko jest w porządku.

– Oczywiście, oczywiście, szanowna pani. Proszę za mną. – Wskazał Dance drzwi do kolejnego pokoju.

– Chodź tu szybko. – Lila zniecierpliwiona przywoływała mnie ruchem ręki. – Co powiesz na to?

Na ścianie wisiało kilkanaście fotografii czarno-białych, które przedstawiały prawdopodobnie mieszkańców miasta w towarzystwie Grochowskiego. Na każdym pan Stanisław z promiennym uśmiechem. Jedno ze zdjęć przykuło moją uwagę. Ładna kobieta z chłopcem może piętnastoletnim na tle ruin kamienieckiego zamku i pan Stanisław pokazujący coś ręką. Mam ogromną pamięć do twarzy i dam głowę, że to z pewnością jest babcia naszego Maxa, a ten chłopak to jego ojciec.

– Nie tu! Patrz na to!

Zatkało mnie, to mało powiedziane. Zapowietrzyło mnie i przez dłuższą chwilę nawet nie starałam się oddychać. Na jednej z wielu wyblakłych fotografii zobaczyłam dużego fiata 125p. Z tyłu dobrze nam znane ruiny, a przed samochodem Grochowski, który uśmiechnięty od ucha do ucha obejmuje również roześmianą Zosię.

Oszust

– Oszust, kłamca i psychopata – podsumowałam, gdy po powrocie do domu rozsiadłyśmy się w kuchni. – Kto normalny trzyma w domu takiego węża? Założę się, że babcia Maxa miała na imię Mery. Tak, to pasuje do jego pokręconej psychiki. To niebezpieczny facet i musimy bardzo na niego uważać. Swoją drogą ciekawa jestem miny Miśka, gdy opowiemy mu, jak świetnie wykorzystałaś „żyrafy w szafie". – Z szacunkiem skłoniłam głowę przed Lilą.

– Nie możemy dać mu po sobie poznać, że wiemy, co to za gagatek. Musimy go podpuszczać dalej, udając głupie baby. Może w którymś momencie straci czujność i dowiemy się czegoś więcej – powiedziała, pałaszując kolejną porcję podsmażanych ziemniaków z cebulką. – A swoją drogą, co ty tam trzymasz w tej swojej torbie, Danuśka?

– Też to zauważyłaś? – Byłam coraz bardziej zdziwiona. Chyba jednak nie doceniałam swojej siostry. – No i ta policyjna legitymacja. Zajumałaś Tomkowi?

– A kto powiedział, że to legitymacja policyjna? – Danusia się zaśmiała. – Ludzie czują respekt przed każdą legitymacją, nawet jeżeli to tylko tymczasowy dowód osobisty mojego syna. Utwierdza mnie to w przekonaniu, że facet ma coś za uszami.

– Przepraszam, że się wtrącam, ale niestety sporo usłyszałam z rozmowy pań. – Beatka zeszła ze schodów prowadzących na górę.

– Jakich tam pań – przerwałam – proszę nam mówić na „ty".

– No dobrze, więc niechcący usłyszałam trochę i muszę wam powiedzieć, że macie dużo racji. Według mnie i mojego męża Grochowski to bardzo nieprzyjemny i nieuczciwy człowiek, żyjący na koszt innych. Podaje się za kolekcjonera i miłośnika historii, ale w rzeczywistości to prawdopodobnie oszust i hochsztapler. Najpierw oszukiwał tę biedną, starą Amerykankę, a potem młodego Maxa. Żal mi było patrzeć, jak mącił chłopakowi w głowie. Max to był wrażliwy, mądry i niestety naiwny chłopak. Często przychodził do mnie i rozmawialiśmy sobie o życiu i literaturze. Podsuwałam mu do czytania różne książki. Nawet ostatnio dałam mu *Wilka stepowego* Hessego. Niestety, Grochowskiego traktował jak swojego przybranego dziadka, wprost go uwielbiał. Kiedyś próbowałam mu powiedzieć coś na ten temat, ale skończyło się to tym, że Max obraził się na mnie. Jedno wiem na pewno, bardzo chciał odnaleźć swoich krewnych w Polsce.

– I jedno jest oczywiste, Grochowski nic prawdziwego nam nie powie. – Ze smutkiem pokręciłam głową. – A innego źródła wiedzy, niestety, nie mamy.

– Chyba że… – Beatka podniosła się, demonstrując nam swą imponującą postać. – Chyba że znajdziemy to inne źródło. Ale najpierw skoczę po winko mojego męża.

– Brawo, Horpyna! – wykrzyknęła Lila, puszczając do niej oko. Tym razem Beatka tylko wesoło się uśmiechnęła. Wróciła po chwili, niosąc ogromną butlę wina i jakiś przedmiot zawinięty w szary materiał, przewiązany sznurkiem.

– Muszę się wam, dziewczyny, do czegoś przyznać – powiedziała lekko speszona. – Tylko proszę o zachowanie tajemnicy. Gdyby się to wydało, to cały mój nauczycielski autorytet poszedłby się trachać. Otóż – wzięła głęboki oddech – jestem ogromną miłośniczką zjawisk paranormalnych.

– Wielkie mi halo. – Danka się roześmiała. – Na nas wrażenia to na pewno nie robi. Jeżeli przez wiele lat znosimy miłośniczkę elfów, gnomów, krasnali i innych muminków – tu wskazała na mnie ręką – to amatorka duchów jest dla nas miłym urozmaiceniem.

– No, i tak sobie pomyślałam, że skoro od Grochowskiego niczego nie możecie się dowiedzieć – nalała każdemu po szklance wina – to może zapytamy o to panią Zofię? – mówiąc to, rozwinęła z papieru oryginalną tablicę do wywoływania duchów.

Jednym haustem wypiłam wszystko, co miałam w szklance. Duchy? Czy one powariowały? Widocznie tak, bo widzę, z jakim entuzjazmem przyjęły ten pomysł. Lila co chwilę klaszcze i podskakuje jak mała dziewczynka, a Danka rzeczowo wypytuje, co należy przygotować.

– Ale trafiłam z tą Horpyną. Szkoda, że nie mamy młyńskiego koła – trajkotała Lila.

– Dobra – powiedziała Beata, gdy już ustawiłyśmy wszystkie potrzebne akcesoria z tablicą Ouija włącznie. – Teraz wytłumaczę co i jak. Dobrze się złożyło, że nasi panowie śpią jak zabici po degustacji wina, będziemy miały święty spokój. Zaraz zapalę szałwię. Przejdziesz, Lilu, z nią po kuchni, bo pomieszczenie trzeba okadzić. Potem zapalimy te zielone świece, one uchronią nas przed niechcianym gościem.

– Grochowskim? – zapytała głupio Lila, ale zaraz zreflektowała się, co palnęła, i dodała: – Wygłupiam się tylko.

– To się nie wygłupiaj, bo teraz nie jest na to pora. Z duchami trzeba ostrożnie. Niejeden raz zamiast przyjaznego ducha, sprowadzono demona. A z tym to już nie przelewki. Usiądźmy razem i proszę was o chwilę medytacji i wyciszenia się. Wyobraźcie sobie otulające was białe światło; światło, które będzie was chronić przed każdą siłą nieczystą.

Matko z córką, co tu się wyprawia? Jak mam się wyciszyć, skoro już teraz czuję zimny pot na plecach i ledwo żyję ze strachu, bo w odróżnieniu od wielu normalnych ludzi ja (no dobra, przyznaję się) wierzę w duchy! Zamiast białego światła, wyobraźnię moją zaczęły wypełniać zjawy tych, których nigdy w życiu nie chciałabym wywołać. Hitler, Kuba Rozpruwacz, Rzeźnik z Rostowa, Ted Bundy, no i proszę, nawet Gilles de Rias, uznawany za prekursora seryjnych morderców.

Beata zapaliła świecę stojącą na stole i pokazała nam, jak dotykać palcami wskaźnika. Zauważyłam, że nie tylko mi trzęsą się ręce. Wszystko wydało się nagle upiorne i straszne. Do tego ten zapach szałwii. Lila zbladła jak kreda, Danka nieudolnie udawała, że nie robi to na niej wrażenia, ja przestraszona tak, że nie pamiętam swojego imienia. Tylko Beata zachowywała spokój i opanowanie.

– Jeżeli płomień się poruszy i zrobi się zimno, to będzie znaczyło, że duch jest z nami. Ja będę rozmawiać na początku. Musimy się przedstawić i zapytać trzy razy, kim jest duch, skąd przychodzi i jakie ma zamiary. Pamiętajcie o tym, bo prawdę usłyszymy dopiero za trzecim razem. Powiem wam, kiedy będziecie mogły zadawać pytania. Teraz niech każda zmówi krótką modlitwę.

„Boże, Boże, Boże…” – tylko to mi przychodziło do głowy. Nie umiem sobie przypomnieć żadnej, nawet najprostszej modlitwy. Jednym okiem podglądam pozostałe dziewczyny. Lila już przeszła ze stanu drżenia w stan telepania, Danuśka też lekko dygotała. No nie! Wspaniała ekipa! Profesjonalny zespół do spraw magii, ezoteryki i zjawisk paranormalnych!

– Mogę już patrzeć? – zapytała szeptem Lila.

Ja też otworzyłam oficjalnie oczy, z niepokojem wpatrując się w płomień. „Niech się nie poruszy, błagam, niech się tylko nie poruszy”.

– Dotknijcie leciutko palcami wskaźnika – poinstruowała nas Beata i głębokim donośnym głosem zaczęła mówić: – My, tu zebrani, przywołujemy do rozmowy ducha Zofii. Duchu,

jeżeli jesteś z nami, daj nam znak!

Nic.

– My, tu zebrani, przywołujemy do rozmowy ducha Zofii. Duchu, jeżeli jesteś z nami, daj nam znak!

„Nie ruszaj się, nie ruszaj się” – błagałam świeczkę dalej i w tym momencie Lila cichutko pisnęła, płomień świecy leniwie przechylił się na bok, a wskaźnik przesunął się w stronę napisu „TAK”.

Włosy stanęły mi dęba, ciało pokryła gęsia skórka. Wstrzymałam oddech i już miałam zemdleć, lecz Beata zapytała znowu:

– Zofio, czy to ty? – Wskaźnik przesunął się ponownie w stronę „TAK”.

– Daj nam jakiś znak, abyśmy wiedziały, że to naprawdę ty!

Pierwsza usłyszałam kroki za swoimi plecami. Coś stanęło za mną na schodach, czułam tę obecność całą sobą, a nawet gdybym nie czuła, to miny siedzących naprzeciw mnie dziewczyn były dowodem na to, że stoi za mną zjawa. Nie miałam siły, no, może bardziej odwagi na to, by się odwrócić, powiedziałam tylko cicho:

– Babcia?

Lila wydała z siebie pisk, który dałby jej Oskara za efekty dźwiękowe w horrorach, Danka w panice trzęsącymi się rękami szukała czegoś w swej tajemniczej torbie, a nasza dzielna instruktorka spirytystyki dała susa do pokoju obok, zatrzaskując za sobą drzwi.

– Dziewczyny, dajcie trochę wody. Dlaczego siedzicie po ciemku? – zapytał Łysy, zapalając światło.

– Ty kretynie – wrzasnęła Danka – jak cię trzepnę w ten durny łeb! Co ci strzeliło do tej pustej łepetyny, żeby ubierać się w mój szlafrok! – urwała nagle i ze zdziwieniem popatrzyła na stół. Podążyłam za jej wzrokiem. Świeczka sama zgasła, a wskaźnik na tablicy pomalutku zaczął przesuwać się w stronę liter „WITAJCIE”.

Lila zemdlała.

Horpyna

Horpyna od jakiejś godziny nie przestaje mnie przepraszać. Leżymy sobie na leżaczkach w ogrodzie, popijamy zimny sok i wszystko z pozoru wygląda świetnie. Panowie pojechali do miasta na zakupy, a Tomek postanowił odwiedzić komendę policji i zasięgnąć nieoficjalnie języka.

Danka siedzi pod parasolem i po raz setny wciera w siebie krem z filtrem pięćdziesiąt. Jako prawdziwy niefarbowany rudzielec boi się słońca, które dzisiaj świeci niemiłosiernie. Lila sięgnęła po raz kolejny po Zemstę, twierdząc, że teraz, gdy zobaczyła miejsce akcji dramatu, czyta jej się całkiem inaczej. Od rana zachowuje się tak, jak gdyby nic się nie stało. W zasadzie wszyscy udawaliśmy, że wczoraj nie wydarzyło się nic szczególnego. Tylko biedna Beata nie mogła przeżyć swojej rejterady.

– Dziewczyny, wybaczcie – biadoliła ze spuszczoną głową – pierwszy raz przytrafiła mi się taka sytuacja.

– Zaraz, zaraz! Pierwszy raz uciekłaś, pierwszy raz widziałaś ducha czy w ogóle pierwszy raz wywoływałaś duchy? – Nie mogłam sobie odmówić odrobiny złośliwości. Lila odłożyła książkę i popatrzyła z zaciekawieniem. Nawet Danka przerwała nakładanie kolejnej warstwy kremu.

– Tak naprawdę, to wszystko naraz. Ale teoretycznie to ja jestem bardzo dobrze przygotowana! Wstydziłam się komukolwiek zaproponować urządzenie seansu, a mój mąż po prostu się z tego śmieje. Dlatego nie mogłam nie skorzystać z takiej okazji. Gdyby nie pan Darek, to na pewno wszystko udałoby się świetnie.

– Trzymaj mnie, siostro, bo zaraz ją zamorduję. – Lila podniosła się powoli z leżaka.

– Siadaj, kotku. – Uspokajająco podniosłam dłoń. – Po pierwsze jest dwa razy od ciebie większa, więc marne masz szanse na realizację swojego zamiaru, a po drugie odrobiłam zadanie domowe. Oczywiście ze strachu nie zmrużyłam oka, więc nie mogąc spać, pogrzebałam trochę w Internecie. Jestem w głębokim szoku, ile można tam znaleźć. Na przykład to, że podczas seansu nie wolno absolutnie być pod wpływem alkoholu albo innych używek. A dlaczego? Ano dlatego, że wywołany duch może się „przykleić”. Najczęściej przykleja się do domu, w którym odbył się seans, albo do osoby, która pierwsza opuści pomieszczenie, w którym on się odbywał. Pragnę zauważyć, że wszystkie piłyśmy wino. Dziwi mnie, że ktoś tak świetnie znający teorię przegapił ten szczegół.

– Ha, ha, ha – zaśmiała się z ulgą Beatka – na szczęście to nie był duch, tylko pan Darek, więc nic się nie przyczepi.

Danka otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. Popatrzyła tylko na nas pytająco: „Powiemy jej czy nie?”. Lila uśmiechnęła się złośliwie i przecząco pokręciła głową.

– Hej, pogromczynie duchów! – Misiek z Łysym szli przez trawnik, niosąc torby pełne zakupów. – Pani Beatko, włoży nam to pani do lodówki? Piwko, lody i jakaś ponoć fenomenalna regionalna kaszanka. Może wieczorkiem zrobimy grill? Ale gorąco! Spotkaliśmy naszego ulubionego pana Stanisława, i wiesz co – zwrócił się do mnie – zaproponował, że nas odwiedzi. Mam cię spytać o zgodę.

– Co?!

– No tak. Mówił, że zbiera jakieś materiały na temat sybiraków i byłby bardzo wdzięczny, gdyby mógł w spokoju przejrzeć pamiątki po babci Zosi, listy, dokumenty i takie tam pierdoły. Tak sobie myślimy z Łysym, że nie wiemy, co kombinuje, ale przynajmniej będziemy mieć go na oku. Facet myśli, że jest sprytny i raczej pewny tego, że go nie podejrzewamy, więc mamy przewagę. Najpierw wydawało mi się, że Łysy przegina z tym gangsterem, ale jak usłyszałem, że „szanowna małżonka" musi się zgodzić, to jakby mnie piorun strzelił. Wiem na pewno, że to Grochowski dzwonił do mnie, podając się za organizatora konferencji.

Jak ja to przeżyję? Mam dobrowolnie wpuścić do swojego domu takiego typa? Z drugiej strony, to co on może mam zrobić? Przecież to staruszek. Kłamca, oszust, być może drań, ale dziadziuś. Ktoś kiedyś widział groźnego dziadziusia? Jakoś mi się to gryzie.

– Okej, może przyjechać, ale ty bierzesz na ten czas urlop i nie zostawiasz mnie w domu samej.

– Jakiej samej? – Lila nie kryła oburzenia. – Czy ty myślisz, że opuszczę cię w takiej sytuacji? Tomasza też poproszę o większe baczenie na ciebie i wasz dom.

– A my to co? Sroce spod ogona wylecieliśmy? – zapytała Danka. – Razem zaczęliśmy, to i razem skończymy.

– Jaka wielka szkoda, że nie mogę teraz stąd wyjechać – zaczęła Beata, ale bardzo szybko jej przerwałam.

– No nie, pospolite ruszenie. Ty, kobieto, lepiej siedź w domu i pilnuj swojego ducha.

– Jakiego ducha?

– Żarcik! – krzyknęła w samą porę Lila.

*

Zamknęłam na chwilę oczy, lecz gdy otworzyłam je z powrotem, to okazało się, że moja chwila trwała ładnych parę godzin. Nieprzespana noc dała mi się we znaki. Ktoś litościwie okrył mnie kocem i podłożył pod głowę poduszkę. Musiałam spać jak kamień. Nie chce mi się wstawać, tak mi tu dobrze. Znowu pachnie maciejka. Jak wrócę do domu, to kupno nasion maciejki będzie moją pierwszą czynnością. Czuję smakowity zapach grillowanej kaszanki. Jezuuuu, ale jestem głodna!

– O, obudziłaś się. – Misiek stanął nade mną i przyglądał mi się, przechylając głowę. – Chodź, Sherlocku, zjesz coś i posłuchasz relacji Tomka. Ma jakiś durny nawyk. Wszyscy muszą być w komplecie, zanim coś powie. Nic od niego nie wyciągnęliśmy. „Poczekamy, aż wszyscy zbierzemy się razem". Co za głupi zwyczaj. Zostań w kocu, bo zrobiło się chłodno, ja ci przestawię leżak.

Z drugiego końca ogrodu dochodził wesoły gwar. Coś mi się wydaje, że gospodarz znowu hojnie dzieli się swoimi zapasami wina. Z niechęcią opuściłam swoje wygodne legowisko.

– W końcu jesteś – ucieszył się Tomek na mój widok. – Posłuchaj, jaką mam bombę! Otóż okazuje się, że wasza babcia sponsorowała Grochowskiemu wydanie książki, chociaż „książka" to za dużo powiedziane. To raczej gruba broszura traktująca o historii tej okolicy. Mamy niezbity dowód na to, że Grochowski łże jak pies. – Zadowolony z siebie powiódł po nas tryumfalnym wzrokiem.

– Sranie w banie – skwitowała Lilka bez ogródek. – Wcale nie musieli się spotykać osobiście, by coś takiego załatwić. Dowodem na ich spotkanie jest zdjęcie, które widziałyśmy na ścianie w jego popapranej rezydencji. Na szczęście ja też pstryknęłam fotkę, więc nawet jeżeli je zniszczy, to mamy dowód. – Wyciągnęła swój telefon.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. Kiedy ona je zrobiła? Myślałam, że jest przerażona obecnością węża i niezdolna do jakiegokolwiek działania, a ona wyskoczyła z „żyrafami w szafie” i na dokładkę zrobiła zdjęcie. Coś podobnego!

– Pokaż, niech się przyjrzę. – Misiek sięgnął po telefon. – No tak, babcia, co do tego nie mam wątpliwości. Nowy fiacik, więc to musiało być jakieś trzydzieści lat temu. Popatrzcie! – Zaśmiał się. – Pan Stanisław nie zmienia swojego emploi, on chyba urodził się w garniturku w paski i kapelusiku na głowie.

– Koledzy z komendy mówią, oczywiście nieoficjalnie – nieco przygaszony Tomasz postanowił znowu zaistnieć – że dawno mają na niego oko. Podejrzewają go o handel przedmiotami zabytkowymi i paserstwo. Niestety, ten starszy pan jest wielkim spryciarzem. Swoje machlojki przykrywa działalnością społeczną i charytatywną. Jak dotąd nie udało się zebrać jakichkolwiek dowodów przeciwko niemu.

– Wiecie co? Fajnie mi tutaj i na pewno będę chciała przyjechać tu znowu. Mam nadzieję, Beatko, że udostępnisz nam pokoje? Chciałabym Mai pokazać te okolice. Ale teraz nic tu po nas. Wracajmy do domu.

– Jak możesz o to pytać – zawołała oburzona Beatka. – Możecie tu przyjechać, kiedy tylko zechcecie – przerwała, jakby nagle przyszło jej coś do głowy. – Boże, ale jestem głupia! – wykrzyknęła i puściła się pędem do domu. Po chwili wróciła z dużą bąbelkową kopertą.

– Max przez nieuwagę zabrał ze sobą książkę, którą mu kiedyś pożyczyłam. Odesłał mi ją z listem, w którym bardzo mnie przepraszał. Proszę, tu jest adres nadawcy. Myślę, że może ci się przydać.

– Chodź, Horpyno! Niech cię ucałuję – zawołał Misiek. Przytulił ją mocno i dodał: – Mam nadzieję, że nie gniewasz się za tę „Horpynę”?

– Tak naprawdę to nawet ją lubię. – Uśmiechnęła się.

Misiek

Misiek bawi się z Harnasiem, który przestraszony parodniową rozłąką nie odstępuje go na krok. Hm, chyba nawet jestem trochę zazdrosna. Łażę po ogrodzie i planuję, gdzie na przyszłą wiosnę posieję maciejkę. Musi to być miejsce blisko okien Majki i tarasu. Ale będzie cudnie usiąść sobie wieczorkiem w wygodnym fotelu, pić kawę, gadać o pierdołach i czuć ten zapach. Zapach, który kojarzył mi się do tej pory z najprzyjemniejszymi rzeczami w życiu, z dzieciństwem i wakacjami. Ciekawa jestem, z czym będzie mi się kojarzyć za rok…

Postanowiłam, że dzisiaj będę leniuchować. Łysi zapowiedzieli się na grill, ale obiecali wszystko przynieść ze sobą. Lila też przyjedzie dopiero wieczorem, mam więc cały dzień na słodkie nicnierobienie. Mogę sobie poleżeć w ogrodzie z jakąś dobrą książką albo pograć w coś na komputerze. Wstyd się przyznać, ale jestem maniaczką gier komputerowych. W każdej z nich jestem oczywiście elfem, biegam z łukiem lub kuszą i strzelam do każdego, kto się rusza. Wszystkiemu winna jest moja córka, która pewnego dnia ujrzawszy, jak układam jakiegoś pasjansa, powiedziała: „Mamciś, proszę cię, nie graj w te gry dla samotnych”. Wpisałam więc w wyszukiwarkę „gry online fantasy”, no i się zaczęło. Ale dzisiaj chyba sobie odpuszczę wojny gildii i zabijanie bossów. Zbyt ładna pogoda, by siedzieć w domu.

Wyniosłam do ogrodu pudło, w którym przechowywaliśmy wszelkie pamiątkowe szpargały. Stare listy, dokumenty, pojedyncze zdjęcia, które powypadały z albumów albo z jakiegoś powodu nie zasłużyły na wklejenie. Przejrzę to wszystko, choć jestem przekonana, że niczego nie znajdę. Muszę się jednak upewnić, że spokojnie mogę to pokazać Grochowskiemu.

Poodkładałam na bok laurki i rysunki autorstwa Majki, które Zosia skrzętnie zbierała, ale i tak dużo tego było. Trudno, samo się nie zrobi, a muszę się z tym uporać jak najszybciej, bo pojęcia nie mam, kiedy pan Stanisław zaszczyci nas swoją obecnością. Misiek wyciągnął kosiarkę i zajął się trawnikiem. Kosiarka jest dla Harnasia wrogiem, który w niewytłumaczalny sposób zagraża mojemu mężowi. Wobec tego przez cały czas Harnaś szczeka, biega wokół niej i próbuje ją ugryźć. Z pewnością nie ułatwia to Miśkowi pracy, ale dla postronnego widza jest śmieszne.

Przejrzałam już ponad połowę zawartości i zniechęcona już chciałam się przeprosić z komputerem, gdy zauważyłam pożółkłą kopertę adresowaną do babci, na odwrocie której ktoś starym zwyczajem umieścił adres nadawcy. List był wysłany z Odrzykonia przez kobietę, której imię i nazwisko kompletnie nic mi nie mówiło.

Droga Zosiu, na wstępie mojego listu (rany Julek! Ale klasyka…) chciałabym Cię poinformować, że u nas wszystko w porządku. Jadzia dostała się na studia i będzie mieszkać w akademiku. Ja jestem zdrowa i Kazimierz też. Tak jak mnie prosiłaś na pogrzebie, porozmawiałam trochę z ludźmi i dowiedziałam się paru rzeczy. Młody Grochowski nie wygląda wcale na przejętego śmiercią ojca. Kupił sobie samochód. Kazik mówi, że jakiś zagraniczny, ale ja się na tym nie znam, to Ci nie powiem jaki. Co rusz jeździ nim do Krakowa i zdarza się, że przyjeżdża z jakimiś kobietami. Mówię Ci,

Zosiu, sodoma i gomora! Krukowa z poczty mówi, że wysyła listy do Ameryki i też dostaje od jakiejś kobiety. Tak jak myślałaś, on chyba coś wie o Albercie, bo przecież sam nikogo w Ameryce nie ma. Mówię Ci, Zosiu kochana, że ten cały majątek starego Grochowskiego pójdzie na zatracenie. Stach nie ma zamiaru się ustatkować i przepuszcza wszystko, co mu ojciec zostawił. Młode dziewczyny za nim latają, bo przystojny to on jest, ale on żadnej nie chce. Młoda Jaworska to nawet chciała się truć, ale cudem ją odratowali.

Dziękuję, Zosiu, za paczkę i pieniążki. Jadzia prosi, żeby Ci podziękować szczególnie, bo mogła kupić sobie parę modnych rzeczy, żeby na tych studiach nie wyglądać gorzej od koleżanek. Napisz mi, co tam u Ciebie, jak się powodzi Marysi i czy jesteście zdrowi.

Całujemy Cię gorąco – Krystyna

PS A z Tereską już się pogodziłam.

– Misieeeek! – próbowałam przekrzyczeć kosiarkę. – Chodź tu szybko!

Czytał list z wielkim skupieniem, już nie wiem który raz. Zaczęłam wiercić się niecierpliwie na fotelu. W końcu złożył go bardzo starannie i schował z powrotem do koperty.

– No i? – zapytałam.

– Znaczy się, to wszystko, co wam opowiadał Grochowski, to jedna wielka ściema? Z tego listu wynika, że to on przepuścił cały dorobek swojego ojca. Boję się, że zbyt pochopnie zgodziliśmy się na jego przyjazd. Może się okazać naprawdę niebezpieczny. – Potarł z zatroskaniem czoło. – No i z listu wynika też, że babcia wiedziała o jego kontaktach z ewentualnymi krewnymi Alberta. Cholera jasna, dlaczego nie zainteresowałem się tym wcześniej? Przecież nie raz byłem świadkiem rozmów na ten temat i wszystko puszczałem mimo uszu.

– Bez przesady, mój drogi. Jaki nastolatek interesowałby się rozmowami na temat ciotek, wujków i koligacji rodzinnych? Dziwi mnie tylko fakt, że ani babcia, ani twoja mama nie doprowadziły sprawy do końca. A może doprowadziły, tylko my o tym nie wiemy? Przecież takie kobiety jak Zosia nie pozostawiają po sobie niedokończonych spraw. Zaraz poszperam w Internecie, może znajdę coś powiązanego z tym adresem od Beaty.

No i proszę! Pięć minut z przeglądarką Google i mam! Pod tym adresem znalazłam kancelarię adwokacką, a z tego, co pamiętam, Grochowski coś wspominał o tym, że syn Alberta to prawnik. To na pewno będzie to! Moja znajomość angielskiego jest bardzo specyficzna, rozumiem niemal wszystko, ale nie odezwę się za żadne skarby. Po angielsku tylko śpiewam, najchętniej *I'll Be There For You* zespołu Bon Jovi albo *Without You* Harry'ego Nilssona. Za to Misiek mówi świetnie, więc rozmowa telefoniczna nie będzie dla niego żadnym problemem. Wziął kartkę z zapisanymi namiarami i zamknął się w gabinecie. Gabinet to w zasadzie pokój wypełniony książkami, z masywnym biurkiem, pamiętającym chyba czasy Napoleona, a także wygodnym, równie starym fotelem. Maja nazwała to pomieszczenie gabinetem i tak zostało. Jeszcze tylko posegreguję dokumenty związane z pobytem babci na Syberii. Cokolwiek sądzimy o panu Stanisławie, to nie zmienia faktu, że wykonuje kawał dobrej roboty, dokumentując losy sybiraków. Chyba z tego samego założenia wyszła Zosia, sponsorując tę jego broszurę. O! Ktoś dzwoni domofonem! Tomek?

– Co się stało? – pytam podejrzliwie, bo widzę, że minę ma niewyraźną.

– Przyjechałem was ostrzec. Chłopaki w Odrzykoniu nie próżnują i właśnie powiadomili mnie, że ten wasz Stanisław spotkał się wczoraj z dwoma podejrzanymi typami, skądinąd znanymi tamtejszej policji jako niezłe bandziory. Widzieli go też jakąś godzinkę temu

pakującego walizki do samochodu i wyjeżdżającego z miasta. Jeżeli jedzie tutaj, to myślę, że w nocy będzie na miejscu. Lepiej, żebyście o tym wiedzieli. Ja wieczorkiem zajrzę tu, wiem, że Lila przyjedzie – w tym momencie strzelił raka jak jakiś nastolatek przyłapany na oglądaniu niedozwolonych treści – a i moich chłopaków poproszę, aby mieli oczy dokoła głowy. Teraz spadam, bo mam dużo roboty, pozdrów Miśka. Pa!

I tyle go widziałam. Muszę szybko powiedzieć o tym Miśkowi, który już godzinę siedzi w gabinecie i konferuje przez telefon. No nie! Znowu dzwonek? Czuję się jak w filmie puszczonym na przyspieszonych obrotach. Przed bramą dwóch typów ubranych w drelichy z torbami na pasku przewieszonymi przez ramiona. Wyglądają z daleka jak Mario i Luigi z popularnej platformówki. No tak, z daleka, bo gdy podeszłam bliżej, ich wygląd stał się dużo mniej sympatyczny. Jednemu z nich czapka z daszkiem zasłaniała prawie połowę nieogolonej twarzy. Drugiemu mogłam się przyjrzeć lepiej. Małe, sprytne oczka; długi, orli nos; wąskie usta. Zdecydowanie podejrzana facjata.

– Dzień dobry – powiedział ten do zidentyfikowania – przepraszamy, że niepokoimy piękną panią, ale dostaliśmy zgłoszenie o nieszczelności instalacji gazowej na pani posesji i niestety musimy to sprawdzić.

Uśmiechnęłam się najsympatyczniej, jak umiałam.

– Bardzo mi przykro, ale zaszła jakaś pomyłka, u mnie się żaden gaz nie ulatnia.

– Ulatnia czy nie, to my dopiero sprawdzimy. Jest zgłoszenie, musimy wejść i upewnić się, czy nie ma niebezpieczeństwa. Szkoda by było, żeby taka dupcia wyleciała w powietrze – zarechotał.

Kiedy indziej zawrzałabym świętym oburzeniem, ale dzisiaj już nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć.

– A mogłabym się dowiedzieć, kto dokonał zgłoszenia?

– Ściśle tajne – wymruczał ten z zasłoniętą twarzą. Omal nie parsknęłam śmiechem. Ładnych pomocników sobie dobrał nasz pan Stanisław, bo co do tego, to nie miałam już wątpliwości. Być może są bandziorami, ale głupimi jak but z lewej nogi.

– Czy mają panowie jakiś dokument potwierdzający, że jesteście pracownikami gazowni, bo przyznam się, że brzmicie jakoś nieprzekonująco.

– A to dlaczego? – spytał „orli nos”.

– Dlatego że przez moją działkę nie przebiega żaden gazociąg, a w domu jedyny gaz, jaki posiadam, to gaz do zapalniczek. Wobec tego żegnam panów i informuję, że jeżeli któregoś z was zobaczę koło mojego domu, to zawiadomię policję.

O kurczę, sama z siebie byłam dumna, nie przestraszyłam się dwóch zbirów. No dobra, świetnie udawałam, że się nie przestraszyłam.

– Okej – „zasłonięty” złapał za uchwyt przy bramce – załatwimy to w takim razie inaczej.

– Harnaś! – zawołałam. Po paru sekundach pies był przy mnie, skoczył na bramkę, oparł na niej przednie łapy i starał się pyskiem sięgnąć bliższego z rzezimieszków, który odskoczył jak poparzony. Tylko ja wiedziałam, że chce go radośnie polizać.

– Takie bydlę powinno być na łańcuchu – krzyknął.

– Nie będziemy się spierać o to, kto tu jest bydlakiem i kto powinien być przykuty łańcuchem. Żegnam, chyba że chcą panowie, bym otworzyła bramkę? – Jeszcze długą chwilę patrzyłam, upewniając się, że naprawdę odeszli. – Dobry pies! – Podrapałam Harnasia za uchem.

– Kotku, nie uwierzysz! – Misiek cały czas z telefonem w ręku niemal biegł w moją stronę.

Albert

– Albert miał jednak syna? Ale nieprawdopodobna historia. Nikt by mi w nią nie uwierzył i ja sama bym nie uwierzyła, gdybym nie brała w tym udziału. Opowiadaj wszystko ze szczegółami, bo za chwilę pęknę z ciekawości. – Lila po przyjeździe nawet się nie przebrała, jak to miała w zwyczaju, tak ciekawa była tego, czego zdołaliśmy się dowiedzieć.

Misiek z Darkiem dyskutowali o czymś, stojąc przy grillu, przewracając od czasu do czasu szaszłyki i karczek. Pstrąg w aluminiowej folii powoli dochodził, wydzielając zapach, który cały czas przypominał mi o tym, jaka jestem głodna. Danka rozmawiała przez telefon z Tomkiem, instruując go, jak powinien się zająć pseudogazownikami.

– Od czego by tu zacząć – powiedziałam, przypalając sobie kolejnego papierosa. – Misiek zadzwonił pod ten adres od Beaty i po kilku rozmowach wyjaśniających, kim jest i tak dalej, w końcu połączyli go z właścicielem kancelarii, którym okazał się jego, co by nie mówić, brat stryjeczny. Albo cioteczny, Boże nigdy nie wiem, jak to z tym jest. Tak jak przypuszczałam, Zosia nie pozostawiła po sobie bałaganu. Długo szukała Alberta, a potem jego spadkobierców poprzez swoich dawnych znajomych z Ameryki, a potem prawnika. Kłopot polegał na tym, że nie był żonaty, a o jego dziecku krążyły tylko niepotwierdzone plotki. Na szczęście dziecko dostało nazwisko po ojcu, co znacznie ułatwiło sprawę. Nie wiem jak i nie wiem kiedy, Zosia jednak ich odnalazła. Spadek, jaki Albert pozostawił jej jako jedynej krewnej, scedowała na jego syna, tego właśnie, z którym Misiek rozmawiał. No i tu zaczyna się heca, której nie rozumiem. Ojciec Maxa twierdzi, że zrzekła się spadku na jego rzecz, ale pod jednym warunkiem. Mianowicie zobowiązała go do tego, by dopilnował, aby po osiągnięciu pełnoletniości Max skontaktował się z nami osobiście i przekazał nam list, który zdeponowała w kancelarii adwokackiej. I co zrobił ojciec Maxa? Oczywiście jest uczciwym i bardzo wdzięcznym babci człowiekiem, ponoć ten spadek to niezła fortuna, ale naiwniak z niego na sto dwa. Otóż pan Kamiński skontaktował się z jedynym przyjacielem, jakiego miał w Polsce, opowiedział mu wszystko i poprosił o pomoc w realizacji zobowiązania. Chyba nie muszę mówić, kto to był. Aha – dodałam, przypominając sobie coś jeszcze. – Babcia Maxa umarła, nie wiedząc o poszukiwaniach Zofii. Prawdopodobnie żywiła do niej głęboką nienawiść i nie pozostawiała na niej suchej nitki, obwiniając ją o całe zło tego świata. A na imię miała właśnie Mery – koniec dośpiewałam na znaną melodię *Siedem dziewcząt z Albatrosa*.

– A list? Gdzie w takim razie podział się ten cholerny list? Przyśle go wam czy sam przyjedzie?

– Niestety, list zabrał ze sobą Max, kopii żadnej z oczywistych względów nie ma. W rzeczach Maxa odesłanych ojcu również nie. Chyba nigdy się nie dowiemy, co w tym liście było.

– Najdziwniejsze jest to… – Misiek podszedł do nas z tacą pachnącego karczku – …że to nie my byliśmy adresatem listu.

– Już nic z tego nie rozumiem. W takim razie kto?

– Nasza córka, Maja.

– Przecież to bez sensu. Dla mnie w ogóle nie trzyma się to kupy. Dlaczego, jeżeli już bardzo chciała, nie zostawiła tego listu u polskiego prawnika? – Danka sceptycznie pokręciła głową i dalej zajęła się pałaszowaniem mięsa.

– Już ci wyjaśniam. – Misiek z lekkim uśmiechem podsunął jej kolejną porcję. – Według Antoniego, bo mój kuzyn ma właśnie tak na imię, chodziło jej o to, by młodzi się poznali. Bardzo żałowała, że nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Wiedziała też, jaki nieprzyjazny stosunek miała do niej babcia Maxa. Założyła, że młodzi ludzie pozbawieni uprzedzeń i dawnych żalów łatwiej się ze sobą porozumieją i na powrót staną się prawdziwą rodziną. Chwaliła przy tym naszą otwartość i uczciwość, zapewniała, że przyjmiemy Maxa z otwartymi ramionami.

– A o Harnasiu coś wspomniała? – zapytałam z goryczą. – Niech to wszystko szlag trafi! Oddałabym wszystko, byleby cofnąć czas.

– Wtedy jeszcze o niczym nie wiedziałaś – Lila wzruszyła ramionami – więc o co to halo. Nie ma w tym wcale twojej winy. Po co przylazł jak złodziej, dlaczego odstawił tę całą szopkę? – przerwała, bo właśnie zajechał jakiś samochód.

– Jestem – zameldował się Tomek. – Już po służbie, więc mogę nawet spróbować twojej nalewki – zwrócił się do Miśka.

– Nalewki? Ja ci dam nalewkę – zawołała oburzona Lilka, choć doskonale widziałam, jak bardzo ucieszyła się na jego widok. – Masz być trzeźwy jak niemowlak. Masz mnie pilnować i chronić przed zbirami przebranymi za elektryków.

– To nie byli elektrycy… – zaczęłam, lecz ona tylko machnęła ręką i ciągnęła dalej.

– Co było w tym liście? To jest na pewno przyczyna naszych wszystkich kłopotów. Jak się o tym dowiedzieć?

– Może kolejny seansik? – Danuśka uśmiechnęła się, puszczając do mnie oczko.

– Ani mi się waż wspomnieć o tym kiedykolwiek – warknęła Lila. – Tak na chłopski rozum, to nie wydaje mi się, żeby Zosia ot tak sobie pozbawiła Majkę jakiegokolwiek majątku. Okej, fajnie, że pomyślała o rodzinie brata, ale ona przecież kochała Maję najbardziej na świecie. Nie gryzie ci się to?

– Trochę gryzie, ale wiesz. Mai niczego nie brakuje. Odziedziczyliśmy dom i kawał ziemi, może uznała, że to nam wystarczy. Maja jest jedna, więc to wszystko kiedyś będzie należało do niej.

– A ja wam mówię, że to coś więcej. Nie zdziwię się, kiedy się okaże, że sprytna Zośka zakopała w ogródku skarb, a list to mapa do tego skarbu. Tak – roześmiała się, wskazując palcem na Miśka – to bardzo podobne do twojej babci.

– Ogród odpada, Harnaś by to zaraz wykopał. – Miśka najwyraźniej rozbawił ten pomysł.

– Ale to przecież było na długo przed Harnasiem. Skąd miała wiedzieć, że zafundujecie sobie takiego psa? Kurczę, szkoda będzie przekopywać ten ogród, ale jak nie przekopiemy, to się nie dowiemy.

– Ty tak na poważnie? – Naprawdę byłam zdziwiona. – Chcesz brać łopatę i przekopywać taki kawał ogrodu? Porąbało cię?

– A widzisz inne wyjście?

– Może by się znalazło… – Tomek wyglądał na równie przejętego. – Pogadam z chłopakami, pożyczą mi wykrywacz metali.

– Super – zawołał Łysy – ja się zgłaszam na ochotnika. Kiedyś z kolegami łaziliśmy po plaży z takim. Nawet nie wiecie, ile dziwnych rzeczy można dzięki niemu znaleźć.

Zgłupieli do reszty. Całkiem na poważnie wzięli brednie mojej siostry i opracowują taktykę przeszukiwania ogrodu. Danka wyjęła ze swojej torby notesik i zaczęła kreślić jego

plan, dzieląc go na sektory i ustalając kolejność grzebania w nim. Może coś w tym jest? Schowanie czegokolwiek w domu odpada. Zrobiliśmy generalny remont z burzeniem ścian włącznie i nie znaleźliśmy nic. Zresztą nie wyobrażam sobie babci z kielnią w ręce i wiadrem cementu zamurowującą skrzynię ze skarbem. Z łopatą – prędzej.

– A co jeżeli „skarb" jest na przykład papierowy? – zapytałam, by nieco ostudzić ich gorące głowy. Miałam wrażenie, że Lila zaraz pobiegnie po łopatę, tak się zapaliła do swojego pomysłu. – Jeżeli to są jakieś stare obligacje albo przedwojenne akcje? O ile założymy, że w ogóle istnieje.

– A masz jakieś inne wytłumaczenie tego całego galimatiasu?

– Czego? – zdziwiła się Danusia.

– No, tego zamieszania. Chociaż jedną dobrą stronę tej historii już widzę. – Lila znowu się roześmiała. – Maja ma prawdziwych krewnych z Ameryki, a nie tylko wyimaginowaną babcię Tinę.

Głowy wszystkich, z wyjątkiem głowy Miśka, odwróciły się w moją stronę i wszyscy popatrzyli na mnie pytająco.

– Wiecie – zaczęłam trochę speszona – gdy Maja była malutka, jedną z naszych ulubionych płyt był album Tiny Turner *Simply the Best*. Nie wiem, jak to z wami było, ale mnie Tina zawsze wydawała się stara, może dlatego że karierę zaczęła robić już jako dojrzała kobieta. W każdym razie mówiliśmy o niej „babcia Tina". Jadąc samochodem, zwracałam się do Miśka: „puść babcię Tinę" albo oglądając telewizję: „daj głośniej, babcia Tina śpiewa". Pewnego dnia planowaliśmy wyjazd na urlop, nagle Majka rzuciła: „Jedźmy w końcu do babci Tiny! Zawsze jedziemy do babci Krysi (to moja mama), a do babci Tiny nigdy nie pojechaliśmy, ja tak za nią tęsknię". Zatkało nas. To Misiek podjął się wytłumaczenia, że tak naprawdę to nie jest jej babcia. Maja przepłakała cały dzień, a my czuliśmy się okropnie, tak jakbyśmy zamordowali jej kogoś bliskiego. Teraz się z tego śmiejemy, ale wtedy, uwierzcie, nie było nam do śmiechu.

Zadzwonił telefon Tomasza. Rany Julek! Jak można mieć taki dzwonek? Deszcze niespokojne… rozniosło się po ogrodzie. Tomek odebrał szybko, jakby zawstydzony faktem, że wszyscy to usłyszeli, i odszedł od nas na chwilę. Widziałam, że prowadzi z kimś bardzo ożywioną rozmowę. Gdy wrócił, minę miał nieciekawą.

– Nie wiem, czy uda nam się przeszukać ogród. Grochowski właśnie pojawił się w mieście.

– Już moja w tym głowa, żeby nam się udało – mówiąc to, Lila posłała nam wszystkim złowieszczy uśmiech.

Nie czekaliśmy długo. Po kilkunastu minutach reflektory zajeżdżającego samochodu oświetliły dom i kawałek ogrodu. Podnieśliśmy się z foteli i wyszliśmy na spotkanie przybyszowi. Lila w okamgnieniu przybrała postać blondynki idiotki. Matko! Ona nawet zaczęła inaczej się poruszać! Pierwsza podbiegła do wysiadającego Grochowskiego.

– Nasz kochany pan Stanisław – wołała – nawet pan nie wie, z jakim utęsknieniem na pana czekałam! Specjalnie przyjechałam do siostry, żeby móc się z panem spotkać. No, ale w końcu pan jest. – Wzięła go bezceremonialnie pod ramię i poprowadziła do domu.

Grochowski na chwilę oniemiał zupełnie, ale bardzo szybko ochłonął i zaczął się witać z każdym po kolei.

– Widzę, że państwo mają gości, a ja tak bez zapowiedzi. Być może przeszkadzam? Jeżeli tak, to szybciutko znajdę sobie jakiś pokoik w przytulnym hoteliku. – I nie czekając na ewentualną odpowiedź, dodał: – Ale myślę, że znajdzie się tu miejsce dla zmęczonego,

starszego pana – powiedział, po czym pocałował mnie szarmancko w dłoń i uwodzicielsko popatrzył prosto w oczy.

No nie! Zaraz pęknę ze śmiechu. Facet tak długo bawił się w filmowego amanta, że zapomniał, ile ma lat. Być może działa to na kobiety z kółka różańcowego, ale nie na mnie. Hm, Lila chyba świetnie go wyczuła, dlatego udawała, że jest pod jego wątpliwym urokiem.

– O, i kogo ja widzę, nasza pani policjantka. – Danusię uraczył również mokrym całusem w rękę. – Wobec tego nie zagraża nam żadne niebezpieczeństwo.

– A dlaczego jakiekolwiek niebezpieczeństwo miałoby nam zagrażać? – Z udawanym zdziwieniem spojrzałam na niego badawczo. On jednak nawet na chwilę nie speszył się moim wzrokiem ani pytaniem, roześmiał się tylko głośno.

– Ach, to tylko takie żarty z mojej strony. Proszę nie brać wszystkiego tak bardzo poważnie. Taka młoda kobieta, a taka poważna… – Popatrzył na mnie lodowato i już wiedziałam. Oj, nie lubimy się. On będzie na mnie uważał, a ja nie spuszczę go z oka. On postara się mnie przechytrzyć, lecz ja będę bacznie śledzić jego poczynania i zrobię wszystko, by uchronić siebie i swoich najbliższych. Wystarczyło to jedno spojrzenie, by powiedzieć sobie to wszystko, bez zbędnych słów i owijania w bawełnę. No, to dobra – przedstawienie czas zacząć!

Orli Nos

Orli Nos i Zamaskowany znowu pojawili się koło naszego domu. Wprawdzie przebrali się tym razem za zwykłych wędkarzy, których wabi pobliskie jezioro, ale poznałam ich natychmiast. Siedzieli sobie w pewnej odległości, jedli kanapki, a wędki, których zapewne nigdy nie używali, oparte były o drzewo. Od czasu do czasu jeden z nich, ten zamaskowany, brał do ręki lornetkę i obserwował okolicę.

„Co za matoły" – pomyślałam, patrząc przez kuchenne okno, ukryta za zazdrostkami. Nie mam pojęcia, co oni chcą wypatrzeć. Lili i Grochowskiego nie ma. Wczesnym rankiem zabrała go na wycieczkę do zamku Czocha. Pan Stanisław zupełnie niepotrzebnie próbował się opierać, bo jeszcze nigdy żadnemu mężczyźnie nie udało się oprzeć mojej siostrze, bez względu na to, ile ma lat, jaki jest jego status społeczny i stan cywilny. Ogród przesłonięty jest wysokim żywopłotem, drzewami i znajduje się po drugiej stronie domu. Jedyną rzeczą, jaką mogą zobaczyć, to jakie samochody zajeżdżają na nasz podjazd. Nie widzą więc Miśka, Tomka i Darka, którzy wyposażeni w wykrywacze metalu już czwartą godzinę przeczesują trawnik. Idę ich pogonić, bo przed chwilą Lila zadzwoniła z wiadomością, że zaraz wracają. W piekarniku dochodzi pieczeń z szynki, a w garnku gotuje się pięć kilogramów ziemniaków. Zupełnie nie wiem, jakie ilości jedzenia gotuje się dla tylu osób. Mam nadzieję, że to wystarczy.

Wyszłam na taras i omal nie usiadłam z wrażenia. Na stole w kartonowym pudełku po butach leżały skarby znalezione przez moich kochanych saperów. Trzy widelce, dwie łyżeczki, w tym jedna srebrna, klamerka od weków i tak zwane pazurki, których babcia Marysia używała do pielenia grządek. Sztućce to oczywiście sprawka córki, która będąc dziecięciem, używała ich jako łopatek. Szczęście moje jednak nie miało granic, bo srebrna łyżeczka była pamiątkowa, bardzo stara, z prześlicznym grawerunkiem, i stanowiła komplet z ulubioną cukierniczką. Szukałam jej bardzo długo, nie mogąc się pogodzić z jej stratą. A tu proszę bardzo!

– Chodźcie moi dzielni poszukiwacze skarbów, zaraz obiad, Lila i pan Stanisław już wracają.

– Biedny Grochowski… – Łysy sięgnął po ręcznik i otarł spoconą twarz. – Niedługo zabraknie zamków do zwiedzania. Ta Lila chyba raz na zawsze zniechęci go do tego. Facet na widok ruin będzie spieprzał, gdzie rośnie pieprz i wanilia. I jak on wytrzymuje w tym swoim garniturze? Przecież mamy ze trzydzieści stopni.

– Nie narzekaj na moją siostrę. Gdyby nie ona, to nigdy w życiu nie uwolnilibyśmy się od czujnego wzroku pana Stanisława i nigdy nie odzyskałabym swojej ukochanej łyżeczki. Powiedzcie mi lepiej, jak pozbyć się tych dwóch drabów.

– Olać ich – poradził Tomek. – Niczego nie zobaczyli, a zresztą gdyby nawet, to co im to da? Cały czas zastanawiam się, po co właściwie oni tu są?

– Może to nie nas pilnują? – Misiek z rezygnacją pokręcił głową. – Cholera, zaczynam się gubić w tym wszystkim. Do tego ten Grochowski. On naprawdę dokumentuje losy sybiraków. Obserwuję go od tych paru dni i nie zauważyłem nic, co mogłoby mnie zaniepokoić.

Przegląda dokumenty, zdjęcia, kataloguje wszystko, a jego notatki, które „przypadkowo” wpadły mi w ręce, to rzetelna robota historyka.

– Nie rozpędzaj się tak, bo jeszcze go polubisz. Nie widziałeś jego węża. O, chyba o wilku mowa, już są, chodźmy jeść.

Na szczęście ziemniaków wystarczyło dla wszystkich. Lila w czasie obiadu trajkotała bez przerwy, opowiadając nam historię zamku i związane z nim legendy. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że naprawdę jest tym wszystkim zafascynowana. Grochowski też wyglądał na zadowolonego, a gdy po obiedzie wręczył mi przepiękną rycinę przedstawiającą zamek, zatkało mnie i z trudem wykrztusiłam słowa podziękowania.

Łysy pojechał już, przy okazji odwożąc Tomka. Misiek wziął Harnasia na spacer i od razu skierował się w stronę drzewa, pod którym Orli Nos i Zamaskowany mieli punkt obserwacyjny. Z kolei pan Stanisław obiecał nauczyć mnie i Lilę gry w mariasza. Zaparzyłam więc dzbanek kawy i przenieśliśmy się do ogrodu. Usiedliśmy pod altaną, bo upał był nieznośny.

– Mariasz to gra – zaczął tłumaczyć, bawiąc się talią kart – o której sam Mickiewicz pisał w Panu Tadeuszu. Z tego, co pamiętam, to grali Sędzia z Bernardynem. Zasady są prościutkie, więc myślę, że najpierw zagram z jedną z pań, bo gra się we dwie osoby, i będę tłumaczył co i jak. Druga pani niech się przygląda, a potem zagracie ze sobą.

Lila zgłosiła się na ochotnika, zagra jako pierwsza.

– Nazwa gry wzięła się od zgłaszania mariasza, czyli króla z wyżnikiem, najstarszą kartą jest pamfil, czyli wyżnik kozerny, a trzynasta wyświęcona to kozer. Najwięcej punktów ma tuz, potem kralka, król, wyżnik, niżnik. Ostatnia lewa ma dziesięć, mariasz zgłoszony dwadzieścia, a kozerny – czterdzieści.

– Pieprzę to! – Lila rzuciła karty na stół. – Gramy w tysiąca.

Odetchnęłam z ulgą. Przez chwilę wyobraziłam sobie, że Lila chwyta wszystko w lot, a ja głąb, jako jedyna, nie rozumiem, o co chodzi. Oj, chyba nieprędko nabiorę ochoty na poznanie tej historycznej gry w karty. Na razie zadowolę się pewnie równie starym tysiączkiem.

– Pani była chyba w bardzo dobrych stosunkach z Zofią – zwrócił się do mnie Grochowski ni stąd, ni zowąd, odkładając karty na stolik. – Proszę mi o niej opowiedzieć. Ale niech mi pani powie o Zofii takiej, jaką pani zapamiętała. Nie chcę laurki.

„Dlaczego nie?” – pomyślałam i zaczęłam opowiadać. Opowiedziałam o tym, jak do końca swojego życia tryskała humorem i energią. Jak nie mogła bezczynnie spędzić ani minuty. Jak wzbudzała przerażenie w swojej córce, gdy w wieku prawie stu lat, nie mając innego zajęcia, plewiła trawnik. „Co ludzie powiedzą, jak zobaczą, że starowinka pracuje w ogrodzie? Jeszcze pomyślą, że my jej każemy”. Ale ona musiała, i myślę, że gdyby nie to, to odeszłaby od nas dużo, dużo szybciej. Opowiedziałam, jak wrzucała mi grzyby do rosołu, twierdząc, że całe życie tak gotowała, a ja nie mówiłam jej, że ma sklerozę, tylko dziękowałam, że przypomniała mi o tym. Wspominałam jej ostatnie chwile, gdy już nie zdawała sobie sprawy z tego, gdzie jest, i wydawało jej się, że jesteśmy razem nad morzem. Była taka szczęśliwa.

– No i co najlepszego zrobiłaś – spytała Lila, pociągając nosem, a ja się uśmiechałam. Zawsze się uśmiecham na myśl o babci Zosi.

– Dziękuję pani. – Pan Stanisław popatrzył na mnie i również się uśmiechnął.

Szczekanie Harnasia oznajmiło nam jego powrót ze spaceru. Aby uniknąć spotkania z nim (podczas witania się z nami Harnaś oczywiście wykonywał skok, by móc polizać nas po

twarzy, opierając swe potężne łapska na naszych barkach) i pobrudzenia garnituru, pan Stanisław bardzo szybciutko wrócił do domu, zapominając o swoim wytwornym kapeluszu.

– Nie ma ich, wynieśli się już. – Zasapany Misiek klapnął na fotel. – Obeszliśmy z Harnasiem kawał terenu. Poszliśmy do jeziora i z powrotem. Nie spotkaliśmy nikogo oprócz grupki dzieciaków, chyba z tego obozu harcerskiego. Idę po coś zimnego, przynieść wam coś?

Nim zdążyłam odpowiedzieć, rozległ się krzyk. Krzyk Grochowskiego.

Misiek pierwszy wpadł do domu, ja za nim, a za mną Lila, która prawie mnie przewróciła, nie mogąc wyhamować.

– To skandal i barbarzyństwo! Kto mógł coś takiego zrobić? – wydzierał się Grochowski, stojąc w drzwiach gabinetu. Powoli wyjrzałam zza framugi z obawą, co tam zobaczę.

Szuflady w biurku zostały wyłamane. Ktoś musiał użyć jakiegoś ostrego narzędzia, bo politura była zmasakrowana. Stojący obok fotel chyba popełnił harakiri. Wybebeszony i przewrócony na bok wyglądał żałośnie.

– Muszę się czegoś napić – powiedziałam – bo inaczej kogoś zamorduję.

– Jak pan mógł? – Oczy Lili zwężone w cieniutkie szparki patrzyły z pogardą na Grochowskiego. Potrząsnęła z niedowierzaniem głową i nalała sobie kolejną solidną porcję alkoholu. Siedzieliśmy wszyscy w salonie na kanapie, od czasu do czasu smętnie spoglądaliśmy w stronę gabinetu.

– Dzwonię na policję – stanowczo oznajmił Misiek.

– Proszę się wstrzymać – poprosił pan Stanisław. W ciągu paru minut z butnego, pewnego siebie cwaniaka zmienił się w zmęczonego i bezsilnego starszego pana. – Zapewniam państwa, że nie mam z tym nic wspólnego. Nigdy bym nie śmiał nadużyć państwa gościnności, a zniszczenie tak cennych przedmiotów napawa mnie obrzydzeniem i przepełnia bólem.

Boże, co za patos! Nie wierzę w ani jedno jego słowo! Dobrze, że nalewka ma błyskawiczne działanie, bo nawet gdybym chciała go udusić, to nie mogę, nie mam już kolan.

– Jestem wstrząśnięty – kontynuował – ale myślę, że dzięki swoim kontaktom mogę rozeznać się w sprawie dużo lepiej i szybciej niż, za przeproszeniem, nasza policja.

Misiek spojrzał na mnie pytająco, a ja podniosłam szklankę i wskazałam palcem, ile ma mi nalać.

Mickiewicz

Mickiewicz musiał mieć niezłego kaca, pisząc: „Nazywam się Milijon – bo za miliony kocham i cierpię katusze”. Ja dzisiaj też tak mam na imię. Wydaje mi się, że głowę mam wielkości piłki lekarskiej. Jej waga też musi być do niej zbliżona, bo od pięciu minut nie mogę jej podnieść z poduszki. A podnieść muszę, bo czuję, że jeśli natychmiast nie polecę do łazienki, to może się zrobić bardzo nieciekawie. Jest mi niedobrze. Co ja takiego wczoraj zjadłam? Musiałam się czymś nieźle zatruć. Ale czym, nie pamiętam. Właśnie, dlaczego nic nie pamiętam? Chęć pozbycia się treści żołądka okazała się silniejsza od problemów z uniesieniem głowy.

– Ostrzegałem. – Misiek patrzył ze współczuciem, jak próbuję wyrwać sedes z podłogi w łazience. – Prosiłem i tłumaczyłem, ale ty byłaś mądrzejsza. „Nic mi nie będzie, kochanie”. No i mamy to nic. Wyglądasz jak śmierć na drzeworytach Holbeina. Lila już do siebie doszła, też była nieźle trachnięta. Wy, dziewczyny, nie umiecie pić, więc nie pijcie. – Podał mi zwilżony ręcznik. – Jak już wyrzucisz z siebie wszystko, zejdź na dół. Ugotowałem rosołek, który powinien postawić cię na nogi. Zaprosiłaś Łysych i Tomka na wieczór, więc dobrze by było, gdybyś ożyła.

Jak on może! Ja tu umieram, a ten prawi mi kazania. Przecież wypiłam tylko… Na rany koguta! Ile ja wypiłam? Zaczęłam przypominać sobie mgliście wydarzenia wczorajszego wieczora. Byłam wściekła na Grochowskiego, to na pewno. Potem rzucałam z Lilą jego kapeluszem. Aha, kapelusz przyniósł z ogrodu Harnaś. Już i tak był zniszczony, pogryziony i obśliniony, więc chyba nie będzie o to zbyt wielkich pretensji. Ostatnie, co pamiętam, to Dumka na dwa serca, którą odśpiewałam i odtańczyłam (a jakże!) razem z siostrą. Ale plama!

Gdy po dwóch godzinach zeszłam na dół, Lila z Miśkiem krzątali się w kuchni, przygotowując dzisiejszy grill.

– Mój sokole… – przywitała mnie śpiewem.

Misiek przewrócił oczami, zrobił kretyńską minę i ochoczo podjął się roli Mietka Szcześniaka.

Ha, ha, ale śmieszne. Wyszłam na taras i podjęłam heroiczną próbę zapalenia papierosa. Niestety, zakończyło się to kolejną wizytą w łazience. Hmm, niezły sposób na rzucenie palenia, o ile ktokolwiek przeżyłby permanentnego kaca giganta. Wróciłam do kuchni po rosołek. Kuchenne zapachy drażnią mój wyczulony dzisiaj węch, ale robię dobrą minę i udaję, że czuję się świetnie.

– A gdzież to nasz wandal Grochowski?

Co by nie mówił, ja nadal uważałam, że to jego sprawka. Jeżeli nie jego osobiście, to na pewno tych zbirów, których wynajął. Dom był otwarty, Misiek na spacerze z psem, my, zajęci mariaszkiem i rozmową, nie zwracaliśmy uwagi na odgłosy płynące z domu. Grochowski był z nami, więc wydawało mi się, że mam wszystko pod kontrolą. Och, jak bardzo mi żal tych zniszczonych mebli, w zasadzie jedynej pamiątki po przodkach. Czuję, jak ciśnienie mi wzrasta, a to w moim powczorajszym stanie chyba nie jest wskazane.

– Jaką zalewę zrobić do szaszłyków? Może dodać czerwonego wina?

Lilka nie doczekała się odpowiedzi, bo znowu wylądowałam w łazience.

– Pan Stanisław – poinformował mnie Misiek, gdy wróciłam – od godziny siedzi w ogrodzie. Parę razy do kogoś dzwonił, ale niestety nie udało mi się nic usłyszeć. Zadbał o to, by być poza moim zasięgiem. Parę razy pytał się o twoje samopoczucie, a potem łaził tam i z powrotem bez celu. Teraz siedzi pod altanką, wpatrzony smętnie w zniszczony kapelusz. Chyba będziemy musieli mu ten kapelusz odkupić.

– Zdurniałeś do reszty? Mam mu go odkupić? On niszczy nam wartościowe, zabytkowe meble, a ty każesz mi płacić za jego zafajdaną czapkę? Niech się cieszy, że lasso na nogi zadziałało w porę, bo chyba bym go udusiła!

– Co racja, to racja. – Lila była po mojej stronie. – Nawet jeżeli to były te dwa draby, to wiemy, że są razem i prawdopodobnie działają na jego polecenie.

– Odpuście mu trochę, zawzięte babska. Widać, że przejął się tym naprawdę. To mnie martwi, bo znaczy, że facet nie ma kontroli nad tym, co robią ci dwaj. Albo działają na własną rękę, albo jest jeszcze ktoś w tej całej awanturze, kto pociąga za sznurki.

– Ruska mafia albo sycylijska – zakpiłam. – Nie dorabiajmy niestworzonych teorii i nie róbmy ze zwykłych bandziorów międzynarodowej siatki przestępczej.

Rosołek najwyraźniej zaczął działać, bo poczułam napływ nowej siły. Zabrałam się do pomocy w kuchni i nawet widok butelki wina nie zrobił już na mnie wrażenia. Jak się okazało, w samą porę. Danuśka z Łysym zajechali z głośnym rykiem, strasząc okoliczne ptaki, zające i krety. Wyglądali jak członkowie słynnych nocnych wilków, którzy na chwilę urwali się z kawalkady motocyklowego gangu. Oczywiście nie byliby sobą, gdyby nie przywieźli czegoś swojego do jedzenia. Tym razem był to drożdżowy placek z rabarbarem, upieczony osobiście przez Łysego.

– Co zrobiliście panu Stasiowi? – zaniepokoił się Łysy. – Zaniosłem ciasto do ogrodu, a tam on sobie siedzi. Witam się, coś tam paplam, a ten nic, ledwo mnie zauważa. Dobra, nic nie mówcie, wiem! Zakochał się w naszej ponętnej Lili!

– Nic z tych rzeczy. Chodźcie, musimy pogadać. – Misiek zagarnął ramieniem Danuśkę i Darka. – Ale nie tu, na górze. Lepiej niech nikt nas nie słyszy.

Gdy wrócili, na ich twarzach nie było już beztroskiej wesołości. Darek wciąż z niedowierzaniem kręcił głową, a Danka minę miała tak bojową, że nie radziłabym nikomu nadepnąć jej teraz na odcisk.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby nie zawiadamiać policji. Przecież to wtargnięcie i zniszczenie mienia o dużej wartości. Przeszukaliście wszystko, nic nie zginęło?

– Prawdę mówiąc, nawet o tym nie pomyśleliśmy. – Zdziwiony Misiek rozejrzał się dookoła. – Ale na pierwszy rzut oka, to nic.

– Tomek już wie o wszystkim. Bierzcie talerze, Danka, weź sałatkę – zarządziła Lila. – On mówi, że zrobimy, jak chcemy. Ale jeżeli nie mamy zamiaru przepłoszyć drani, tylko wyjaśnić sprawę do końca, to lepiej nie zawiadamiać.

– Może to i racja. – Danka zaczęła wyżerać z miski sałatkę, aż miałam obawę, czy cokolwiek doniesie. – Ale zaczynam się o was naprawdę bać. Co innego bawić się w podchody z emerytowanym pseudohistorykiem, a co innego zadrzeć z groźnymi bandytami. Uwierzcie mi, że głupi bandyta to bardzo niebezpieczny bandyta – urwała, bo zbliżyliśmy się do pana Stanisława, który drzemał w fotelu, trzymając na kolanach wymiętoloną karykaturę kapelusza.

Chłopaki rozpaliły grill i zajęły się sztuką pieczenia mięsa. Przebudzony, ale trochę zdezorientowany pan Stanisław przepraszał, że nie przywitał się, jak należy. Głaskał przy

tym cały czas swój kapelusz, jakby to była rzecz najbliższa jego sercu. Nawet zrobiło mi się trochę głupio, że sprofanowałam go w pijackiej zabawie.

Przyglądałam się temu wszystkiemu. Sielankowy obrazek. Grupa przyjaciół bawiąca się, roześmiana i z pozoru beztroska. Czy tylko ja czuję ten niepokój i napięcie? Nie, nie tylko ja. Pan Stanisław też udaje spokój i równowagę. Widzę, jak wciąż przeczesuje wzrokiem ogród, cały czas zerka na ogrodzenie i nasłuchuje z charakterystycznie przechyloną głową. Czeka na kogoś czy się boi?

Lila wybiegła na spotkanie Tomkowi, który właśnie przyjechał. Gdy przyszli do nas, wzbudzili ogólną radość. Tomek przywiózł ze sobą gitarę! Ale będzie fajnie, jak za dawnych studenckich czasów.

Zaczęliśmy od Schodów do nieba, a teraz jesteśmy na etapie Córki grabarza. Jeszcze chwila i zajmiemy się repertuarem disco polo. Nikt oprócz mnie nie ma dzisiaj wstrętoholu, więc bawią się wyśmienicie. Lila puściła się z Miśkiem w tany, a pan Stanisław klaszcze im do rytmu. Nawet ja zapomniałam o problemach całego świata. Tomek okazał się świetnym gitarzystą i wcale nie gorszym śpiewakiem. Jego czysty i dźwięczny głos z pewnością był słyszany nad jeziorem. Nasze wydzieranie się chyba też. Harcerze muszą mieć niezły ubaw, o ile mają poczucie humoru. Jest to jedna z tych chwil, w których cieszę się, że w promieniu kilometra nie mam żadnych sąsiadów. Dom od frontu zamknięty na cztery spusty, Harnaś biega wokół, mogę być spokojna. Zresztą, chyba taka liczba ludzi odstraszy amatorów włamań i dewastatorów mebli.

Tomek zaczął śpiewać ballady Leonarda Cohena. Zrobiło się spokojnie i nastrojowo, każdy siedział zasłuchany i skupiony, bo trzeba przyznać, skubaniec robił to wyśmienicie. Zagapiona w ciemność za ogrodem słuchałam jego ciepłego, niskiego głosu. Światło jakiejś latarki przebiegło po krzewach czeremchy amerykańskiej. Zaraz, zaraz. Jakiej latarki? Nie ufając samej sobie, przeliczyłam wzrokiem wszystkich obecnych i znowu spojrzałam w tamtym kierunku. Wszyscy są w ogrodzie, więc to musi być ktoś obcy. Światło znowu ślizgnęło się po krzakach, ktoś tam jest. Podnosić alarm czy czekać na rozwój wypadków? A co, jeżeli okaże się, że to na przykład dzieciaki z obozu nad jeziorem? Będą się ze mnie śmiali do końca życia. Nie jestem sama, są ze mną dwoje, no dobrze, prawie dwoje policjantów, dwóch nieźle zbudowanych chłopów, no i pan Stanisław. Z tym że nie wiem, po której stronie stanie ten ostatni, gdy dojdzie do jakiejkolwiek konfrontacji. Na wszelki wypadek podeszłam do Danuśki i przyciszonym głosem powiedziałam jej o – być może – nieproszonych gościach. Danka zarzuciła swoją torbę na ramię i leniwym krokiem poszła w kierunku źródła tajemniczego światła. Latarka zgasła natychmiast. Danka jeszcze kilkakrotnie powtórzyła swój patrolowy spacer, ale nic więcej się nie wydarzyło.

Lila jest już w stadium „baletnicy”. Wyrzucając na boki raz jedną, raz drugą rękę, z uniesionym podbródkiem biega wokół nas drobnymi kroczkami, które według niej przypominają *pas de bourrée*. Tomek wodzący za nią oczami, pokrzepiony Miśka wynalazkiem, śpiewa już znacznie gorzej. Danuśka kawałkiem chleba wyskrobuje z miski resztki sałatki. Co ona się tak uparła na tę sałatkę? Stół ugina się od jedzenia, bo jak zwykle jest wszystkiego za dużo, a ta skrobie miskę, jakby nie jadła ze trzy dni. Pan Stanisław dzielnie walczy z sennością. Nie wiem, czy to wiek, zmęczenie, czy nalewka, pewnie wszystko naraz. Jest lepszy od telewizora. Mam niezłą zabawę, patrząc, jak opada mu głowa, po czym pan Stanisław drga, unosi ją, rozgląda się pospiesznie, sprawdzając, czy nikt nie widzi i za chwilę powtarza procedurę zjeżdżania beretu. Mnie też oczy zaczynają się kleić, z trudem ukrywam ziewanie. Chyba jednak przeproszę wszystkich i położę się spać. Snop światła rozświetlił pobliskie drzewa i kawał ogrodu. „Takie latarki nie istnieją” – pomyślałam

półprzytomna i po sekundzie zdałam sobie sprawę z tego, że to jakiś samochód zbliża się do naszego domu.

– Oho! Goście jadą! – wykrzyknął radośnie lekko znalewkowany Misiek.

Wszyscy jak jeden mąż ruszyliśmy przed dom, gnani ciekawością. Maja wraca dopiero za cztery dni, więc to nie może być ona.

Samochód zatrzymał się przed bramą i po chwili ktoś z niego wysiadł. Oświetlona od tyłu światłami reflektorów potężna sylwetka odezwała się znajomym głosem:

– Dziewczyny, jeżeli mi nie pomożecie, to ja chyba zwariuję!

Duch

– Duch?! – wykrzyknął po raz dziesiąty Misiek. – Duchy nie istnieją!

Przyjrzałam się Beatce – czy też Horpynie, jak ktoś woli – i muszę przyznać, że wygląda koszmarnie. Włosy związane byle jak, w dziwnego, bo umiejscowionego za lewym uchem, kucyka. Oczy podkrążone, twarz poszarzała i zmęczona, jakby nie kładła się spać od naszego wyjazdu. Na kolanie dziura w rajstopach. Fakt, że w taki ukrop włożyła rajstopy, świadczył niezbicie, że z nią jest coś nie po kolei. Dość ładna, ale krzywo zapięta bluzeczka w siarczyście zielonym kolorze gryzła się okropnie z równie jaskrawą różową spódnicą. Szklanka w jej ręce drżała tak, że bałam się o mój dywan. Plamy po nalewce schodzą bardzo ciężko.

– Jak tylko wyjechaliście, zaczęły się dziać te wszystkie okropne rzeczy – próbowała mówić Beatka ze spokojem i opanowaniem, lecz z marnym skutkiem. Wszyscy słyszeliśmy w jej głosie panikę i przerażenie. – Zaczęło się, nie podpowiadaj mi, sama wiem, od dupereli. Coś mi zginęło, a potem znajdowało się w jakimś absurdalnym miejscu. Możesz na chwilę przestać? Daj mi opowiedzieć! Potem doszło przesuwanie mebli, kroki na schodach i trzaskanie drzwiami. Wiem, że to ty! Nie zwalaj na przeciągi. Może w tym twoim zamku były przeciągi, ale w moim domu ich nie ma! – Wypiła duszkiem zawartość szklanki i gestem poprosiła mnie o dolewkę.

– Proszę, ale z tym trzeba ostrożnie – ostrzegłam. Wszyscy patrzyli na nią z ogromnym współczuciem. Zwariowała, co do tego nie ma wątpliwości. Bredzi, a na dokładkę ma rozdwojenie osobowości. Potrzebna jest jej pomoc specjalistów, a nie nasza. Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia. Ja już szukałam w głowie znajomych psychiatrów, a Misiek rozglądał się za telefonem.

– Czy ona jest tu z panią? – odezwał się niespodziewanie pan Stanisław.

– Tak! Jest tu ze mną! Jest ze mną, kiedy śpię, kiedy się budzę, kiedy siedzę w kiblu! Wstrętna zołza! Tak, jesteś wstrętną, starą zołzą! Jest ze mną cały czas i wciąż ględzi mi coś do ucha. Poucza mnie, jak mam się zachowywać i co mam robić. Nie dociera do kretynki, że mamy dwudziesty pierwszy wiek. Uważa, że powinnam się zachowywać, jak na prawdziwą damę przystało, ale damę z tego jej pieprzonego średniowiecza.

– Jak to się mogło stać? – Lila nie kryła zdziwienia.

– To przez to cholerne wino przed seansem. Co mi strzeliło do głowy, żeby je przynieść. Miałyście rację, przykleiła się do mnie jak, nie powiem co, do buta.

– To oczywiste. – Lila machnęła ręką. – Dziwi mnie co innego. Dlaczego babcia Zosia ględzi ci, jak to ujęłaś, o średniowiecznych konwenansach. Może i była trochę staroświecka, ale na pewno nie średniowieczna.

– Bo to jest Zofia, ale nie wasza babcia, to jedno jest pewne. A że wredna z niej baba, to nie chce mi powiedzieć, kim jest. Ze średniowiecza też nie jest, datowałabym ją na późniejsze lata, jakiś siedemnasty, osiemnasty wiek. Ale ja chemiczka jestem, więc tak do końca na tym się nie znam. O! Chyba nie lubi, jak jestem pod wpływem, bo nie słyszę jej od dłuższej chwili.

– Nie zostaje nam nic innego, jak podtrzymywać cię w tym stanie do czasu znalezienia rozwiązania. A że znalazłam, jak się duch klei, to i znajdę, jak się go odkleja. – Uspokajająco poklepałam ją po ręce.

– Wy tak poważnie? – Tomek, który nie był we wszystko wtajemniczony, wytrzeszczał na nas oczy.

– Nie, jaja sobie z ciebie robimy. Oczywiście, że bardzo poważnie i nie mów mi czasami, że ty, jak każdy światły człowiek, podchodzisz do takich spraw sceptycznie, bo palnę cię w ucho. Czy Horpyna wygląda na kogoś, kto sobie coś takiego wymyślił? Zresztą, jak ci się wydaje, dlaczego wtedy zemdlałam, bo zobaczyłam pająka albo mysz? Nie, to był prawdziwy, najprawdziwszy duch! Widziałam to ja, widziała Danuśka, moja siostra i Łysy, choć nie wiem, czy akurat on się do tego przyzna. – Lila z powątpiewaniem spojrzała na Darka.

– Dlaczego miałbym się nie przyznać? – Darek wyglądał na lekko oburzonego. – Widziałem… ale do końca nie jestem pewien, co to tak naprawdę było.

– Właśnie o tym mówię. – Lila z politowaniem machnęła na niego ręką.

– Zaraz, zaraz… – Do Horpyny dotarło nareszcie to, co miałam nadzieję, że przeoczy. – To wy, małpy wstrętne, wiedziałyście o tym? Wiedziałyście o duchu i o tym, że może mnie nawiedzać? I nic mi nie powiedziałyście? – Powoli zaczęła się podnosić.

– A co by to dało?

– Jak to co? Nie wypuściłabym was do czasu, aż nie pozbylibyśmy się go!

– Ano właśnie.

Na nasze szczęście zadziałały lasso na nogi i wysysacz energii, bo w starciu z rozjuszoną Horpyną żadne z nas nie miałoby szans. Jeszcze raz podjęła desperacką próbę wstania z kanapy, ale w końcu zrozumiała, że tym razem została pokonana.

– Okej. Ja idę szukać sposobu na odklejenie średniowiecznej albo raczej romantycznej Zośki. Ty, Misiek, pilnuj Beaty. Ma być pod wpływem, a nie ululana w nieboszczyka – zarządziłam. – Dzisiaj i tak już nic nie zrobimy, więc myślę, że umówimy się na jutro. Niech nikt mi się nie waży nawet spojrzeć w kierunku jakiegokolwiek alkoholu, mamy być trzeźwi!

– Ja postaram się zidentyfikować, co to za Zofia – zaoferował się pan Stanisław, znowu zaskakując nas wszystkich. – Myślę, że może się to udać.

Gdy po prawie dwóch godzinach wróciłam do salonu, zastałam tam tylko Miśka, który na mój widok przyłożył palec do ust, nakazując mi być cicho. Na kanapie spała Beatka. Nie chcieliśmy jej budzić, wiedząc, że to jej pierwszy od paru dni spokojny, głęboki sen. Misiek znowu na migi pokazał mi drzwi od tarasu, wyszliśmy więc do ogrodu, w którym siedziała Lila z Tomkiem. Łysy już spał na ogrodowej huśtawce, a Danusia, tak na wszelki wypadek, spacerowała sobie z Harnasiem wzdłuż ogrodzenia.

– Niewiele tego jest, ale co nieco udało mi się znaleźć. – Skinęłam na Dankę, aby do nas podeszła. – Pierwszy, najłatwiejszy sposób, to po prostu się pomodlić do Anioła Stróża, ale coś mi się wydaje, że Horpyna modliła się już z tysiąc razy. Drugi jest nieco bardziej skomplikowany. Należy siebie i otoczenie skropić wodą święconą i powtórzyć seans. W każdym rogu pokoju trzeba położyć pieniążek albo kamyk. Ponieważ nie ma zgodności co do tego, proponuję położyć i to, i to. Nie zaszkodzi porozwieszać czosnek, gdzie się tylko da. Jeżeli już uda nam się nawiązać ponowny kontakt, to musimy ducha najnormalniej w świecie wygonić. Najpierw poprosić, a jeżeli to nie przyniesie skutku, to każemy mu iść w stronę światła. Ponoć duchy – tak wynika z tego, co wyczytałam – to barany, które tego światła nie widzą, jeśli się o nim nie powie. Aha, duchy nie znoszą zwierzątek domowych, które prawdopodobnie wyczuwają ich obecność, dlatego nie wyganiajmy z chałupy Harnasia, jeżeli wleci przez ogrodowe drzwi.

Misiek podszedł do basenu po napoje chłodzące. Co roku rozstawiamy w ogrodzie dość duży basen, który teraz z braku chętnych do kąpieli (Majka prawie z niego nie wychodzi, jeżeli jest w domu) służy nam jako chłodziarka i źródło wody pitnej dla Harnasia. Misiek wrócił, niosąc butelki coli.

– Czegoś tu nie rozumiem. Przecież z tego, co widzimy, Beatka ma cały czas kontakt z tym duchem. Jak więc mamy go przywołać z powrotem, skoro nie jest odwołany? Coś mi tu te twoje teorie nie pasują.

– To nie są moje teorie – zaperzyłam się – to jest wszystko to, co udało mi się znaleźć i co na ten temat wiedzą inni. Oczywiście zawsze można wezwać egzorcystę, ale wtedy ryzykujemy, że na miejscu upierdliwego ducha pojawi się upierdliwy demon. Mamy niezbity dowód na istnienie duchów, więc skoro duchy istnieją naprawdę, to dlaczego demony nie miałyby istnieć. Nie chcę mieć w domu demonów ani opętanych przez nich przyjaciół.

– Musimy jutro pogadać z Horpyną i wypytać ją o szczegóły, bo mam wrażenie, że ta Zośka może i jest męcząca, ale wcale nie taka wredna – powiedziała Danka, która przed paroma chwilami wróciła z ponownego obchodu i przysłuchiwała się naszej rozmowie. – Masz czosnek w domu? Bo jak nie, to mogę ci jutro przywieźć.

– Mam, mam, ale z wodą święconą już gorzej. Chociaż… czekaj, czekaj, teściowa przywiozła dużą butelkę z pielgrzymki do Fatimy. Jutro jej poszukam.

– A ja powiem coś, co nie spodoba się naszym mężczyznom. – Lila znacząco spojrzała na Tomka i Miśka. – Uważam, że w naszym jutrzejszym seansiku też powinni brać udział. Wszystko jest ładnie, pięknie, jak sobie tu siedzimy i gadamy, ale jak przyjdzie co do czego, to założę się, będziemy mieć powtórkę z rozrywki. Ja zemdleję, a Danuśka w końcu wyciągnie ten pistolet z torby i zastrzeli naszego ducha. Nie patrz tak na mnie, wszyscy domyślamy się, co ty tam nosisz. Potrzebny jest więc ktoś, kto się nie spietra, jak tylko wskaźnik drgnie. Rany! Czy Horpyna przywiozła tablicę?

– Tego nie wiem, ale w razie czego szybko ją zrobię. Jak się domyślacie, w Internecie jest wszystko, nawet instrukcja, jak zrobić tablicę do wywoływania duchów. Oczywiście ta Horpyny byłaby lepsza, ale poradzimy sobie i bez niej.

– Bardzo chętnie wezmę w tym udział – powiedział Tomek z wyrazem szczęścia na twarzy. Co go tak uszczęśliwiło? Aha, Lila pozwoliła się złapać za rękę. – Wszystko to wydaje mi się tak nieprawdopodobne, że z przyjemnością na własnej skórze sprawdzę, czy to dzieje się naprawdę.

Na tarasie pojawił się pan Stanisław. W jednej ręce trzymał jakieś notatki, w drugiej polarowy kocyk. Zimno mu?

– Przepraszam, że pozwoliłem sobie go zabrać. – Podniósł rękę, tę z kocykiem. – Ale pan Darek, widzę, zasnął, a jak się śpi na dworze, to można niestety zmarznąć – powiedział i podszedł do huśtawki, by okryć pieczołowicie Darunię.

No nie! Chyba zemdleję z wrażenia. Cwaniak udaje troskliwego dziadka! Może inni dają się na to nabrać, Misiek najwyraźniej go lubi, ale ja swoje wiem. Danka też uniosła ze zdziwieniem brwi i popatrzyła na mnie, jakby chciała zapytać: „Co ty na to?”. Wzruszyłam tylko ramionami, bo co niby mam zrobić?

– Oj, z tymi Zofiami to mamy niezły bałaganik. – Grochowski dosiadł się do nas i rozłożył na stole swoje notatki. – Założyłem, że skoro pani Beatka wspominała coś o zamku, to tam należy właśnie ich szukać. Pierwsza Zofia, jaka przyszła mi do głowy, to Zofia Boner, ale ona zmarła w szesnastym wieku, więc to chyba nie ona. Odpada chyba też jej córka, nosząca to samo imię. Wydana za Potockiego, straszyłaby raczej na swoich włościach, ale kto wie? Teraz przejdźmy do tych bardziej prawdopodobnych. Zofia Skotnicka, pierwowzór Klary

z Zemsty Fredry. To dopiero ciekawa osóbka! Przeżyła ponad osiemdziesiąt lat, pochowała trzech mężów, ale z tego, co wiem, to raczej nie moralizowałaby, bo damą była dość frywolną. Skłaniałbym się raczej w stronę Zofii Jabłonowskiej, żony Aleksandra Fredry. Tu już mamy dziewiętnasty wiek, więc język niezbyt archaiczny, no i wspomniana pani znana była ze swojego poczucia humoru. Sądzę, że nasz duch ma niezłą zabawę, nękając naszą biedną panią Beatkę. Jak możecie się, moi mili państwo, domyślić, córka państwa Fredrów to też Zofia. Malarka i pisarka, po prostu artystka, nie wykluczałbym jej zbyt pochopnie. Radzę się więc państwu skupić na tych dwóch ostatnich. Być może jutro dowiemy się więcej na temat charakteru naszego ducha, o ile nie przesadzimy z dawkowaniem nalewki.

– Ja pierdzielę… – Udawanie przez Lilę słodkiej idiotki zafascynowanej panem Stanisławem nie miało już sensu, tym bardziej że stosunki łączące ją z Tomaszem były aż nadto widoczne, a pan Stanisław głupcem nie jest. – Czy w tamtych czasach jedynym żeńskim imieniem była Zofia?

– Nie – roześmiał się – ale tradycją było nadawanie jednej, przeważnie najstarszej z córek imienia matki. U mężczyzn wyglądało to podobnie. Pierworodny syn nosił imię po swoim ojcu.

– Ta ostatnia Zośka według mnie odpada. Widziałam jej obrazy, które przeważnie są kopiami innych religijnych obrazów albo portretami rodzinnymi. Moim zdaniem coś krucho było z jej wyobraźnią, a już kompletnie nie widać w tym, co malowała, żadnego poczucia humoru. Poza tym była tak religijna, że nie wyobrażam sobie, aby po śmierci nie trafiła prosto do nieba – dodałam.

– Ja to bym zrobiła całkiem inaczej. – Danka, o zgrozo, znowu zajęła się miską po sałatce. – Ja to bym sobie ją, to znaczy tego ducha, wychowała. Zaprzyjaźniłabym się z nim i ustaliła regulamin kontaktów. Kiedy może się odzywać, a kiedy nie. Fajnie byłoby mieć takiego niewidzialnego przyjaciela.

– Jasne, a duch, jak to duch ma w zwyczaju, potulnie zgodziłby się na to i służyłby ci wiernie jak pies, a odzywałby się tylko o określonej godzinie, najlepiej trzeciej dwadzieścia siedem, bo wtedy przeważnie śpisz – ironizował Misiek. – Nikt z nas tak naprawdę nie wie, co ta kobieta przeżywa. Wyobraźcie sobie, jak bardzo musi być zdesperowana, skoro przejechała całą Polskę, by u nas szukać pomocy. A pomóc jej jakoś trzeba, bo gdyby nie my, to nie spotkałoby ją to.

– Już nie obwiniaj nas tak. – Poczułam się nieco pochopnie oskarżona. – To nie był nasz pomysł, tylko Beaty. To ona wyskoczyła z tymi paranormalnymi historiami, ona przyniosła tablicę i namówiła nas na seans, ona przyniosła wino. Gdzie tu nasza wina? No, może tylko ta, że nie powiedzieliśmy jej wszystkiego, ale gdyby nie dała drapaka, to sama by wszystko zobaczyła. Mnie też jest jej szkoda, ale nie lubię niesprawiedliwych oskarżeń.

– Ale gdyby nie nasze śledztwo, to nie doszłoby do żadnej z tych sytuacji – upierał się Misiek i dopiero gdy skończył, zorientował się, że powiedział trochę za dużo. Niestety, o parę sekund za późno.

– Śledztwo? – Pan Stanisław podchwycił natychmiast temat. – Opowiedzcie państwo o tym. To musi być bardzo wciągająca historia.

– E tam, zaraz wciągająca. – Lilka jako pierwsza odzyskała rezon. – Moja durna siostra, która jak pan zauważył podczas pobytu w jej domu, ma lekkiego bzika na punkcie wszystkiego, co tak naprawdę nie istnieje. Elfów, krasnoludów, wróżek, południc i innego tego typu badziewia. Założę się, że jest zachwycona tą historią z duchem. Nie wspomnę o jej córce, która ma takiego samego hopla, o ile nie większego. Otóż moja siostra – plotła dalej,

a ja zastanawiałam się, jak daleko zabrnie. – Ubzdurała sobie, że wytropi zjawę nawiedzającą zamek Kamieniec i udokumentuje to wszystko dla Majki.

Matko! Ale bredzi! Ciekawe, dokąd ją to zaprowadzi.

– Tłumaczyłam jej, że żadnej zjawy nie ma, ale nie zna pan mojej siostry. Jak wbije sobie coś do głowy, to nawet wołami tego się nie wyciągnie. Nawet zabrała ze sobą te wszystkie kredki i ołówki, bo chciała ją narysować. – Lilka wyraźnie się rozkręcała. – Zaplanowała nawet nocną wycieczkę, ale okazało się, że tam nie można tak po prostu wejść.

Spojrzałam na Grochowskiego i ze zdziwieniem stwierdziłam, że łyka to wszystko albo tylko tak genialnie udaje.

– Trzeba było z tym zwrócić się do mnie – zawołał – ja wiem wszystko o Małej Damie, inaczej zwanej Zieloną Karliczką! A i dzięki swoim znajomościom, nie chwaląc się, mógłbym załatwić zwiedzanie zamku nawet o północy. Jaka szkoda, jaka wielka szkoda, że nie powiedzieli mi państwo wszystkiego od razu. Ale wszystko przed nami. Na kolejne wakacje zapraszam wszystkich do siebie. Wytropimy Karliczkę Kasię!

Chyba jednak uwierzył w brednie Lilki. Albo jest taka przekonująca, albo to ja wyglądam na świruskę ganiającą za duchami po zrujnowanych polskich zamkach.

– Chodźmy spać, jutro czeka nas odprawianie egzorcyzmów, trzeba nabrać sił – bezceremonialnie rozgonił towarzystwo Misiek.

Wredna Zośka

Wredna Zośka, czyli duch, którego zaczęliśmy tak wszyscy nazywać, okazał się naprawdę wredny. Ponieważ Beatka musiała uczestniczyć w seansie, nie mogliśmy jej znieczulać. Początkowo obserwowanie jej wydawało się wszystkim zabawne. Co jakiś czas mamrotała coś do siebie, pokrzykiwała i wymachiwała rękami jak osoba odpędzająca natrętną osę. Ale gdy okazało się, że w mleku przeznaczonym do płatków śniadaniowych znalazł się kilogram soli, jajka przygotowane na jajecznicę pospadały z blatu na podłogę, a pan Stanisław przez godzinę szukał swoich butów, które znalazły się w zmywarce, miny nam nieco zrzedły. Dlatego też z niezwykłym zapałem przygotowywaliśmy się do wieczornego odklejania. Odnalazłam butelkę wody święconej przywiezionej wprost z Fatimy i zajęłam się rozwieszaniem warkoczy czosnku. Misiek wybrał się na codzienny spacer z Harnasiem, ale obiecał mi, że znajdzie cztery śliczne kamyczki. Tomasz wyjechał wcześnie rano, więc Lila wraz z panem Stanisławem siedzieli nad notatkami, sprawdzając, z kim mamy do czynienia. Danka krzątała się w kuchni, a Darek spał sobie w najlepsze na huśtawce w ogrodzie.

Trzeba jednak sprawiedliwie dodać, że Beatka mimo oczywistych niedogodności próbowała nam w tym wszystkim pomóc. Na szczęście Lila dopilnowała, aby jej fryzura i strój nie powalały tak jak wczoraj. Wprawdzie omal nie straciła zębów, zręcznie uchylając się przed wymachującymi rękami, ale efekt mógł zadowolić największych koneserów damskiej urody. Teraz śliczna Beatka siedziała z Lilą i panem Stanisławem, starając się przekazać im, co duch mówi i jaką polszczyzną się posługuje. Nie wiem, czy duchy mają coś takiego jak intuicja, ale nasza wredna Zośka chyba czuła, że chcemy jej się pozbyć, bo nie ułatwiała nam zadania. Raz mówiła staropolszczyzną, drugi raz cytowała Pana Tadeusza, co jednak było dla nas wskazówką, że żyła już po roku tysiąc osiemset trzydziestym czwartym i znała tę książkę na tyle, by móc ją cytować. Gdy zrozumiała, że niechcący się wygadała, zamilkła na kilka godzin. Odetchnęliśmy z ulgą. Beata przestała mamrotać i machać, a ja mogłam z Danką spokojnie przygotować obiad.

– To nie może być jakaś nudna kobitka, mimo że cały czas uderza w taki moralizatorski ton. Widać, że ma dobrą zabawę, skoro nie chce być odwołana. – Danka podała mi kolejną obraną marchewkę.

– No jasne… – Nawet nie zauważyłam, kiedy Beatka weszła. – Wiecie, kiedy ją usłyszałam śmiejącą się jedyny raz? W sytuacji sam na sam z mężem. W momencie… no wiecie jakim, zaczęła mnie małpa łaskotać pod podeszwami. To was bawi? – Popatrzyła z wyrzutem.

Skręcałyśmy się z Danuśką ze śmiechu, wyobrażając sobie minę jej męża. Ja na szczęście nie mam łaskotek, przynajmniej w tym względzie czuję się niezagrożona, ale Misiek śmieje się na samą myśl o nich. Mam nadzieję, że wredna Zośka ograniczy swoją działalność do sypialni Horpyny.

– Ona miała też niezły ubaw. Mówiła, że mimo urodzenia dwójki dzieci to takich figli nie widziała.

– Co? – Rzuciłam marchewkę i wbiegłam do pokoju, w którym urzędowała Lila z panem Stanisławem. – Która Zośka miała tylko dwójkę dzieci?

Unieśli głowy znad notatek. Pan Stanisław w zadumie popatrzył w sufit.

– Pomyślmy… Zofia artystka, przepraszam, tak sobie ją z panią Lilą roboczo nazywamy, miała siedmiu synów. Dwójkę, córkę i syna, miała chyba tylko żona wielmożnego pana Fredry, czyli Zofia Jabłonowska.

– Mamy ją! – wykrzyknęłam i prawie ucałowałabym pana Stanisława, gdybym tylko go tak bardzo nie znosiła.

Duchy chyba słyszą wszystko, o czym się mówi w domu, bo nagle nasza potępiona duszyczka uaktywniła się na nowo. Przezorna Danka szybko przykryła garnek z zupą, na wypadek gdyby ktoś chciał ją przesolić, a ja dla pewności odsunęłam przygotowaną zastawę stołową od brzegu kuchennego blatu. Beatka wybiegła do ogrodu, wracając do zwyczaju mamrotania pod nosem i wymachiwania rękami.

Dobrze, że Misiek już wrócił ze spaceru, bo zaraz podajemy obiad. Harnaś obudził Darka, wskakując na huśtawkę i liżąc go namiętnie. Mamy też cztery prześliczne kamyczki, bo Misiek dotrzymał słowa.

– Pod naszym ogrodzeniem – powiedział, odciągając mnie na bok – znalazłem miejsce, które wygląda tak, jakby ktoś stał tam bardzo długo, obserwując dom i ogród. Wczoraj po południu tego jeszcze nie było. Wygląda na to, że ktoś podglądał nas w nocy. Zostawił mnóstwo niedopałków, więc pewnie robił to parę ładnych godzin.

– Spokojnie, widziałyśmy to z Danusią. Głupek świecił latarką, więc od razu się zdradził. Mam tylko nadzieję, że będzie nas śledził w czasie seansu i wredna Zośka przyklei się do niego.

Obiad, o dziwo, przebiegł spokojnie. Jedliśmy w ogrodzie i cała moja uwaga skupiała się na tym, by nikt nie karmił przy stole Harnasia. Oczywiście nie zwracali uwagi na to, co mówię, i najlepsze kąski lądowały w pysku psa. Tylko Beatka siedziała rozkojarzona, cały czas jakby nasłuchując i nie wierząc, że jednak na czas obiadu Zośka jej odpuściła.

Tomek przyjechał w czasie poobiedniej kawy. Przywiózł Lili ogromny bukiet kwiatów, który i tak wylądował w moim wazonie, na moim stole. Trochę to bez sensu. Podzielił się też z nami informacją, że nasze dwa oprychy mieszkają sobie w wypasionym hotelu, niedaleko, nad brzegiem jeziora. Przedstawili się jako dwaj biznesmeni, co jak powiedziała recepcjonistka: „jest bardzo podejrzane, bo mają zakazane mordy”. Zapłacili za tydzień z góry, więc możemy się ich jeszcze spodziewać.

Przygotowałam już wodę święconą i świeczki. Za cholerę nie wiem, jak wygląda szałwia, wobec tego użyjemy torebek z ekspresową herbatką ziołową, na opakowaniu jest wymieniona w składzie. Cztery monety i kamyki… zaraz, a co z tablicą?

– Beata! Przywiozłaś tablicę?

– Jasne, jest w samochodzie, zaraz przyniosę.

Po chwili wróciła, taszcząc znajomo wyglądające zawiniątko oraz wielki wiklinowy kosz.

– Na śmierć zapomniałam… – Z niemałym wysiłkiem postawiła go na stole. – To od mojego męża, z gorącymi pozdrowieniami.

W koszu znajdowało się pół sklepu nabiałowego. Jajka, ser, chyba śmietana w butelce, dwa słoiki miodu i oczywiście parę butelek wina. Podziękowałam, usiłując go podnieść, by przenieść do kuchni, i aż jęknęłam. Kosz ani drgnął. Jak ona go przytargała? Zawołałam na pomoc Miśka, który przyjrzał się uważnie, szacując jego ciężar.

– Łysy! Chodź, pomożesz mi.

Wszyscy z podziwem spojrzeli na Beatę. No, no! Ta tylko wzruszyła ramionami i podsumowała:

– Cieniasy.

– Kolacja, a potem seansik czy seansik, a po nim kolacja? – zapytałam.

– Najpierw seans, chcemy przecież mieć to jak najszybciej z głowy – zadecydował Misiek. – Może kolację uda nam się już zjeść w spokoju.

– Dobra, ale ducha odwołujemy pod altanką, nie chcę, by odklejony od Beaty przykleił się do naszego domu.

– Nigdzie nie spotkałam informacji, że tak można – zaprotestowała Beata. – Nikt nigdy tak nie robił.

– No, to my będziemy prekursorami plenerowej spirytystyki. Wszystkie akcesoria są, tablica jest, okrągły stół też. Tylko trochę wody święconej nam pójdzie, bo chyba trzeba skropić cały ogród. Zaryzykujmy, najwyżej jeszcze raz powtórzymy zabawę od początku. Wywołaliśmy po twojemu, ale odwoływać będziemy po mojemu. Koniec, kropka.

Jeżeli dwa draby obserwują nas, to mają niezłe przedstawienie. Danuśka z kropidłem i plastikowym wiaderkiem łazi po ogrodzie, skrapiając go obficie święconą wodą. Nawet Harnasiowi się nie upiekło. Lila podąża za nią jak tajemniczy Don Pedro, z miską, w której tlą się ekspresowe herbatki. Tomek z Darkiem rozstawiają świeczki, co rusz jednak podchodzą do mnie z prośbą o instrukcje, gdzie i jaka ma stanąć. Nawet Misiek, chcąc nie chcąc, bierze w tym udział. Rozkłada w rogach ogrodu kamyki i monety. Biedny Harnaś został aresztowany i zamknięty w ogrodowej szopie, nie chcemy, by przeszkadzał w czasie seansu.

– Czy wszyscy możemy brać w tym udział? – zaciekawił się Łysy. – Czy jest jakieś ograniczenie?

– Możemy wszyscy, im więcej, tym lepiej.

– Ja jednak podziękuję. – Pan Stanisław wyszedł na taras i przyglądał się całej aranżacji z niemałym zainteresowaniem. – W moim wieku niepotrzebne emocje mogą mi tylko zaszkodzić.

Dziwne. Miłośnik i znawca historii regionu przepuszcza okazję kontaktu z Zofią Jabłonowską? Wierzy w całą tę przygodę z duchem, bo inaczej nie zareagowałby tak rzeczowo na sensacje Beaty. Nie zmarnowałby całej nocy i połowy dnia na ustalenie tożsamości Zośki. Na własne oczy widziałam, jaki był tym wszystkim podekscytowany.

– Okej – zawołałam – chodźcie tu wszyscy. Robi się ciemno, więc myślę, że możemy zaczynać. Usiądźmy przy stole, a ty, Beatko, wytłumacz panom, co należy robić.

Cholera, ten cały Stanisław nie daje mi spokoju. Nie mogę się skupić na słowach Beaty, a głowa bezwiednie odwraca mi się w stronę domu. Nie! Nie zostawię go w nim samego. Znowu znajdę coś zniszczonego i zdemolowanego.

– Wiecie co? – łgałam jak najęta. – Ja też sobie odpuszczę. Boję się jak diabli. No dobra – poddałam się, widząc ich miny. Nie wierzyli w ani jedno moje słowo. – Mam przeczucie, że on – kiwnęłam głową w stronę, w którą oddalił się Grochowski – coś kombinuje.

– Leć – powiedział Misiek – damy sobie radę.

Po cichutku niczym Indianin z plemienia Siuksów skradam się po domu. Na dole go nie ma, muszę zajrzeć na górę. Na górze też nic. „Gdzie on polazł?" – zastanawiam się, stojąc na środku sypialni. Wyszłam na balkon, lecz natychmiast cofnęłam się z powrotem. Lampy zapalone w domu rzucały światło na przednią część podwórka, zatem mój cień byłby od razu widoczny dla kogoś stojącego pod balkonem, a najwyraźniej ktoś tam był, bo słyszałam przyciszony głos. Udając nadal Siuksa, kucnęłam i już na czworakach zaczęłam zbliżać się do barierek balkonowych. Głos należał do Grochowskiego i z każdym przebytym przeze mnie centymetrem stawał się bardziej wyraźny. Wygląda na to, że pan Stanisław rozmawia z kimś przez telefon.

– Rozumiem cię doskonale, ale to już wymyka się spod kontroli. Miałem tylko zorientować się, ile wiedzą. Tak, wiem… Wiem… Nie, nie mogę. Nie, nie wiedzą, jak wyglądasz. Skąd masz pewność, że to jest tutaj? To są bardzo mili i przyzwoici ludzie… Z tego, co wiem, to na rynku nic się takiego nie pojawiło. Może to są tylko twoje przypuszczenia? Tych dwóch musisz odwołać. Wystarczy nam jedno nieszczęście, nie prowokuj drugiego. To bandyci, a nie pomocnicy, i tylko dzięki mnie nie ma tu jeszcze policji. Skąd ty tych durni wytrzasnąłeś? Kto ci polecił? Ano tak, rozumiem. Nie znasz ich i nie widziałeś, lecz uwierz mi, że to gatunek najgorszego sortu… Po co chcesz się z nimi spotykać? Nie, nie zrobię tego. Nic nie jest tego warte… Opowiem im o wszystkim i zawiadomię policję. Śmierć Maxa niczego cię nie nauczyła? Nie straszę, tylko uprzedzam. To ty mnie straszysz. Rozczarowujesz mnie… Halo? Halo?

Pan Stanisław zakończył rozmowę. Wycofałam się pomału, cały czas na czworakach, usiadłam pod ścianą w sypialni i zaczęłam analizować to, co przed chwilą usłyszałam. Nie myliłam się co do Grochowskiego, to kawał drania, pomyślałam w pierwszej chwili, lecz przypomniałam sobie jego ciepłe słowa o nas. Jednak nie do końca drań. Wplątał się w jakąś hecę, w którą i nas wplątano, i nie wie teraz, jak się wyplątać. Z jego słów wynika także, że heca zmienia się niepokojąco w o wiele groźniejszą awanturę. Słyszałam w jego głosie panikę i determinację, by jakoś nas ochronić. Skoro on się boi, to co ja mam powiedzieć? Jezu! W co my wdepnęliśmy?

Zeszłam zamyślona do ogrodu i stanęłam jak wryta. Przecież tam odchodzi przeganianie ducha, całkiem o tym zapomniałam. Powoli wycofałam się na schody tarasu. No! Teraz to wygląda jak profesjonalny seans. Panowie spisują się na medal, dotykając w skupieniu wskaźnika, który lata po tablicy jak szalony. Nikt nie mdleje i nikt nie zwiewa, wszystko tak, jak być powinno. Najwidoczniej miejsce seansu w zupełności zadowala naszego ducha. Obok mnie pojawił się pan Stanisław. Podszedł tak cicho, że w porównaniu do tego moje skradanie się na balkonie to totalna amatorka.

– I co? Nie żałuje pan teraz? – zapytałam szeptem.

– Żałuję, i to bardzo, tyle pytań chciałem zadać.

– Ja też… ale nie naszej wrednej Zośce.

– Wiem, kochanie, wiem. – Pan Stanisław westchnął i położył mi rękę na ramieniu.

– Koniec! – Usłyszałam głos Miśka. Podbiegłam do nich szybko.

– I co, udało się?

– Nie mamy pewności, ale pogadaliśmy sobie z panią Zofią. Całkiem sympatyczna jejmość, chociaż na niektórych zadziałała piorunująco. – Wskazał mi brodą Tomasza, który siedział blady i sztywny, powtarzając w kółko: „Nieprawdopodobne”.

– Jak to nie macie pewności?

– Nie mamy, bo Zośka na koniec powiedziała nam: „MOŻE”, więc może się udało, a może nie. – Lila bezradnie rozłożyła ręce.

Horpyna siedziała z nieszczęśliwą miną, jakby skłaniała się bardziej do tego drugiego. Chyba nie do końca wierzyła w dobre intencje ducha.

– Chodźmy do domu na kolację. Zanim tu uprzątniemy, to połowa z nas umrze z głodu, a ty, Tomek, otrząśnij się, bo nie mogę patrzyć na twoją debilną minę. – Potrząsnęłam go za ramię. – Aha, Misiek, wypuść Harnasia.

– He, he, debiutant – z politowaniem powiedział Łysy do Tomka.

– Znalazł się pogromca duchów! – Danka nie byłaby sobą, gdyby tego nie skomentowała. – Tak się trząsłeś, że bałam się, że te wszystkie świeczki pospadają. Wiem, bo siedziałam obok ciebie.

– Ale tylko na początku – bronił honoru Łysy – zresztą wszyscy się trzęśli – przekomarzali się w drodze do domu.

W końcu zasiedliśmy do kolacji. Przyglądałam się przygaszonej i zmęczonej Beacie. Zauważyła to.

– Cały czas tu jest – powiedziała smutno.

Gdzie się podziała nasza dawna Horpyna? Co się porobiło z tą przebojową herod-babą, którą poznałam parę dni temu? Oj, duchu, nie lubię cię!

Przez otwarte drzwi tarasu wbiegł Harnaś. Cholera, mówiłam, żeby nie karmić go przy stole! Teraz będzie problem z oduczaniem go tego.

Harnaś zrobił kółko wokół stołu. Nagle zatrzymał się, najeżył i zapatrzył w przestrzeń tuż nad ramieniem Beaty. Wszyscy umilkli jak na komendę, a Harnaś zaczął szczekać na niewidzialnego wroga tak przeraźliwie, że bałam się o szyby w oknach.

– Harnaś, wynoś się do ogrodu! – zawołał Misiek i wstał, by mu pomóc, gdyby ten chciał się ociągać z wykonaniem polecenia.

– Masz niewychowanego psa – rzuciła Lila.

– Sama jesteś niewychowana. Po co podkarmiacie go przy…

– Odeszła – cicho wtrąciła Beata.

– Co? – zapytałam, bo nie byłam pewna, czy dosłyszałam.

– Odeszła – powiedziała nieco głośniej. – Odeszła, odeszła! – ostatnie słowo wykrzyczała. – Nie ma jej! Poszła sobie! Boże święty, nie ma jej! – Zerwała się z krzesła i zaczęła odstawiać jakiś indiański taniec, wybuchając głośnym, szczerym śmiechem.

– To dobra okazja, żeby napić się wina – podpowiedział uprzejmie pan Stanisław.

Beatka

Beatka wyjechała wczesnym rankiem. Nie obudziła nikogo oprócz mnie. Siedziałam w kuchni z kubkiem świeżej kawy, gapiłam się w okno i zastanawiałam, co przyniesie dzień. Wszystko dzieje się tak szybko, że mam wrażenie uczestniczenia w jakimś głupim przedstawieniu. Wczoraj wieczorem już w sypialni rozmawiałam z Miśkiem o podsłuchanej rozmowie. Tak jak i ja uznał, że to już nic śmiesznego. Ściągnął z łóżek Łysych i Lilę i urządził piżamową naradę. Przegadaliśmy prawie całą noc. A wyciągnęliśmy wspólnie jeden wniosek. Najwyższa pora przyprzeć pana Stanisława do muru, porozmawiać z nim i wydusić z niego wszystko, co wie. Gdy oni spokojnie odsypiali zarwaną noc, ja gapiłam się w okno. Horpyna już pewnie pod Wrocławiem. Ma zadzwonić, gdy dojedzie na miejsce. Fajna dziewczyna, i dobrze, że się poznaliśmy. Okazuje się, że ta historia ma też i dobre strony. Tomek, który być może okaże się miłością życia mojej siostry, też się pojawił w związku z nią. Hm… Jak to się wszystko potoczy?

Pan Stanisław już nie śpi. Wyszedł sobie chyba na spacer, widziałam go, jak kieruje się w stronę jeziora. On też ma dużo do przemyślenia, bo wie, że chcę mu zadać parę pytań. Musi opowiedzieć się, po której jest stronie. Oho! Słyszę poruszenie na górze, wstają, muszę przygotować im śniadanie. Łysi nocowali u nas, bo po winie od męża Beatki nie mogli wsiąść na motory. Tomek odpuścił sobie świętowanie wygnania ducha, dlatego jako jedyny mógł wrócić. Poza tym tylko on jeden nie ma urlopu i nie może sobie pozwolić na „zawalenie obowiązków”.

– Nie zawracaj sobie głowy śniadaniem dla nas. – Danka z Darkiem zbiegli po schodach. – Zjemy już w domu. Jakby co, to jesteśmy prz telefonie.

Cmok, cmok, i już ich nie było. Jeżeli do tej pory ktoś jeszcze śpi, to ryk motorów z pewnością go obudził.

Śniadanie przygotowane. Lila i Misiek obsłużą się sami. Przejdę się też na spacer, może po drodze spotkam pana Stanisława. Śliczne okoliczności przyrody mogą nam ułatwić rozmowę, na którą chyba obydwoje jesteśmy gotowi. Wezmę tylko ze sobą Harnasia, zawsze to bezpieczniej. Nie wiadomo, co tym dwóm oprychom może przyjść do pustych łepetyn.

Za ogrodzeniem spuściłam Harnasia ze smyczy, niech sobie pobiega. Ruszyłam w kierunku, gdzie widziałam pana Stanisława. Szedł w stronę jeziora. Aha, w stronę jeziora, tam przecież stoi hotel, w którym zatrzymały się te dwa draby. Może poszedł się z nimi spotkać? A może to pułapka? Grochowski doskonale wie, że go obserwuję. Może specjalnie sprowokował mnie, żebym za nim poszła, a tam czekają już na mnie ponure typy. No i co? Jeśli nawet, to przecież mnie nie zabiją, bo nic złego im nie zrobiłam. Ale ze mnie kretynka! Od kiedy to ponure typy zabijają tylko tych, którzy zrobili im krzywdę? No tak, ale jakiś powód musieliby mieć, nawet głupi, ale jednak. Nie zabija się bez powodu. Chyba mam zbyt bujną wyobraźnię, bo doszłam do brzegu jeziora i nadal żyję. Harnaś brodzi po wodzie. Ma głupi psi zwyczaj otrzepywania się z niej tylko w pobliżu mnie. Wbiega do wody, wybiega, podlatuje do mnie i z radością pryska na wszystkie strony. Oblepiony wodorostami wygląda jak Wodnik Szuwarek. Co jakiś czas wyławia z jeziora patyki i patrzy na mnie błagalnie: „Porzucamy?”. Wybacz, Harnaś, ale nie mam dzisiaj ochoty na zabawę z tobą. Posiedzę sobie

i pomyślę. Ale on ma to wszystko w swoim psim nosie. Stoi teraz nade mną, trzymając w pysku jakiś czarno-biały but, i ma nadzieję, że jednak dam się przekonać do zabawy. CZARNO-BIAŁY BUT?! Matko Nazareńska! Czarno-biały but. Tylko jedna osoba w województwie nosi czarno-białe buty!

– Daj, Harnaś, daj. No, proszę cię, Harnasiu kochany, daj. No dobra, szukaj, Harnaś, szukaj.

Udało się, upuścił but i poleciał w kierunku chaszczy porastających brzeg. Podniosłam go i pobiegłam pędem za nim.

Pan Stanisław leżał sobie jak gdyby nigdy nic, na lewym boku. Obok niego laseczka, a nieopodal wymiętolony kapelusz. Na lewej nodze rzeczywiście nie miał buta. Harnaś podbiegł i – jak to miał w zwyczaju – zaczął pana Stanisława z zapałem lizać po twarzy. Stałam jak słup soli. Nie docierało do mnie jeszcze, co mogło się stać, ale wiedziałam, że to nic dobrego. Nikt nie wytrzymałby takich pieszczot mojego psa, dodatkowo w całkowitym bezruchu, a Grochowski nigdy by nie naraził na szwank swojego garnituru, leżąc na błotnistym brzegu jeziora. Bliska omdlenia wyjęłam telefon z kieszeni spodni.

– Misiu, jak dobrze, że już nie śpisz. Musisz tu szybciutko przyjść. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale… chyba mamy drugiego trupa.

Usiadłam na trawie, podciągnęłam kolana pod brodę i rozpłakałam się jak dziecko.

Musiało minąć kilkanaście minut, bo ujrzałam z daleka biegnącego Miśka. Za nim zziajana i ledwo łapiąca oddech Lila, w spodniach od piżamy i bluzce na lewą stronę. Boże! Jak ja mogę w takiej sytuacji dostrzegać tak nieistotne rzeczy. Jak się ma strój mojej siostry do leżącego obok trupa? Jestem nienormalna?!

Z drugiej strony jeziora nadjeżdżały dwa samochody policyjne. Skąd one się tu wzięły?

– Zadzwoniłem od razu na policję. – Misiek musiał zauważyć moje zdziwienie. – Głupia jesteś!? – wydarł się nagle. – Dlaczego nie przybiegłaś do domu? Przecież morderca mógł tu jeszcze być! Może siedział w krzakach? Jezu, mógł cię zabić! – Chwycił mnie i mocno przytulił.

Z pierwszego radiowozu wysiadł Tomek i szybko do nas podbiegł. Za nim wysypała się grupka policjantów.

– Nic ci nie jest? – spytał Lilę z troską w głosie.

– Mnie nic, ale tobie chyba totalnie odbiło. Nad brzegiem leży trup i to, że tak powiem, trup dobrego znajomego, obok siostra, która go znalazła i chyba jest w szoku, jej mąż martwiący się o nią, a ty mnie pytasz, czy nic mi nie jest. Ogarnij się, Tomek.

Tomek z pokorą przyjął słowa krytyki i się ogarnął. Ogarnął w zasadzie całą sytuację. Miło było patrzeć, jak sprawnie prowadzi całą akcję. No tak, przecież to poważny policjant, inspektor Mazurek. Jakoś zapomniałam o tym. Nas ma zaraz odwieźć do domu jakiś funkcjonariusz, czekamy tylko na Harnasia, który gdzieś się niedaleko szwenda. Misiek już go zawołał i usłyszeliśmy jego wesołe poszczekiwanie. Przybiegł, niosąc znowu jakiś patyk.

– Co on tam ma? – Tomek przyglądał się przez chwilę. – Chłopaki! Nie dajcie mu z tym uciec, zabierzcie mu to, ale tak, żebym miał nienaruszone odciski palców!

No i się zaczęło. Harnaś w siódmym niebie, bo zabawa na sto dwa. Chyba nigdy nie był taki szczęśliwy. Bawi się z nim dziesięć osób, dziwne tylko, że nikt mu nie wyrywa patyka. W końcu jeden z policjantów doznał olśnienia, poświęcił swoje drugie śniadanie, rzucając nim w górę z okrzykiem „aport”. Harnaś bez żalu rozstał się z tym, co trzymał w pysku, by złapać kanapkę. Policjanci błyskawicznie zabezpieczyli drewnianą pałkę, którą przyniósł nasz pies.

– Dobry Harnaś! – Tomek tarmosił go za uszami. – Kto wie, jak długo musielibyśmy tego szukać i czy w ogóle by się znalazło. Jedźcie teraz do domu. Ja postaram się przyjechać jak najszybciej. Oczywiście zostanie wszczęte dochodzenie, dlatego musicie być do naszej dyspozycji, weźcie to pod uwagę, planując cokolwiek. – Zapakował nas do furgonetki i pocałował Lilę w policzek. Nim odjechaliśmy, usłyszeliśmy oklaski, gwizdy i wesołe komentarze policjantów: „Brawo, panie inspektorze”.

Tomek

Tomek zdążył jeszcze zadzwonić po Dankę i Darka. Dobrze wiedział, że w takiej sytuacji powinno się mieć przyjaciół u swego boku. Czekali już na nas pod bramą, mimo że była ona otwarta na oścież. W domu usadzili mnie na kanapie, przykryli kocem, a do ręki wsadzili szklankę. Co zdziwiło mnie najbardziej, rozmawiali ze sobą szeptem.

– Dlaczego traktujecie mnie jak osobę chorą? Dlaczego przykrywacie mnie kocem, chociaż na dworze plus trzydzieści, i dlaczego rozmawiacie szeptem?

Popatrzyli na siebie skonsternowani.

– A jak się, kochanie, czujesz? – zapytał Misiek.

– Jak? Sama nie wiem, chyba dobrze, no, może trochę niewyspana i jest mi smutno.

– Czyli żadnego tam szoku nie masz? Pewna jesteś? – dociekała Lila.

– Wydaje mi się, że nie. Zresztą, nie mam pojęcia, jak się czują ludzie w szoku, ale jeżeli jest im zimno… – odrzuciłam na bok koc – to znaczy, że szok mnie ominął.

– Jedno jest pewne na sto procent. – Darek z uśmiechem podsunął mi paczkę papierosów. – Ciebie, żabciu, nie wolno zostawiać samej, bo kolejny trup jak w banku.

– Na szczęście giną tylko ci, którzy jakoś sobie na to zapracowali. – Lila chyba starała się mnie pocieszyć. – Chociaż wydaje mi się, że pan Stanisław był bliski przejścia na dobrą stronę mocy.

– Błagam cię, nie mów „pan Stanisław”. Mów „Grochowski”, bo wtedy jakoś mniej mi go szkoda.

– Najprawdopodobniej załatwili go ci dwaj. – Danka rzeczowo podeszła do sprawy. – Na zlecenie tego, o którym nic nie wiemy. Prawdopodobnie chcieli go uciszyć, bo jak nam wspomniałaś, groził im zawiadomieniem policji. Pewnie zwabili go pod byle pretekstem nad jezioro i najnormalniej w świecie dali w łeb. Tak, to by pasowało do tych dwóch. Dać w łeb bezbronnemu staruszkowi.

– Matko, to brzmi strasznie, jak tak o tym mówisz – stwierdziła nieco rozlatana Lila.

– A jak ma brzmieć? Taka jest prawda. Jeżeli nie mają skrupułów zabić staruszka, to nie będą mieli ich w stosunku do każdego z nas. Dlatego, do cholery, musimy zacząć coś robić, bo poginiemy jak muchy.

– W zasadzie to tylko mnie i Miśkowi coś grozi – wybąkałam.

– W zasadzie tak, ale ani my, ani Lilka nie zostawimy was z tym samych. Wobec czego tkwimy w tym, nie powiem czym, tak samo głęboko jak wy.

– A policja? Od czegoś przecież są.

– Policja, policja. Nim uporają się z papierami, może się bardzo dużo wydarzyć. A my nie możemy sobie pozwolić na czekanie. Kiedy twoja Majka wraca? I w ogóle wie cokolwiek o tej sprawie?

– Nic a nic. Dzwonię do niej parę razy dziennie, by upewnić się, że nic dziwnego się wokół niej nie dzieje. Podejrzewa, że coś jest nie tak, ale chyba myśli, że tak bardzo boję się jej ewentualnego wkraczania w dorosłość.

– No i dobrze, niech tak myśli. Ale jeżeli wróci, to może być narażona najbardziej. To ona przecież jest adresatką tego przeklętego listu.

– Boże! Zupełnie o tym nie pomyślałam! Niech no tylko któryś zbliży się do mojej córki, to zobaczy, czym jest moja wściekłość!

– Nie krzycz. – Misiek spojrzał na mnie jak rodzic na niesforne dziecko. – Nie usłyszą cię.

– Ale być może poczują mój gniew!

Darek usłużnie znowu podsunął mi papierosy. Powoli się uspokajałam. Do tej pory wszystko było tylko awanturą, przygodą, tajemniczą historią. Teraz zmieniło się w realne niebezpieczeństwo, do tego zagrażające mojej córce. Czas na konfrontację! Niech te cholerne zbiry przygotują się na wojnę z rozwścieczoną matką!

– Zastanówmy się, z kim mamy do czynienia. – Misiek jak zwykle rzeczowo podszedł do sprawy. – Dwóch, jak zdążyliśmy się zorientować, niezbyt bystrych, ale brutalnych rzezimieszków i ten trzeci, według mnie najgroźniejszy. Nie znamy go, nigdy go nie widzieliśmy i jak to mówił Grochowski przez telefon, nie wiemy, jak wygląda.

– Czyli to jednak ktoś, kogo znamy – powiedziała zdziwiona Lila, jakby zaskakując samą siebie. – Po co by w innym wypadku upewniał się, że nie wiemy, jak wygląda?

– Niezbyt rozumiem – przyznał się Darek. – Mogłabyś mówić jaśniej?

– A co w tym niejasnego? Ktoś, o kim nie mielibyśmy pojęcia, wiedziałby, że nie możemy znać jego wyglądu, bo i skąd. Ten, który rozmawiał z panem… sorry, z Grochowskim, uważał, że istnieje ryzyko rozpoznania go przez nas, bo po cholerę by się upewniał? Jest to więc ktoś, kogo spotkaliśmy albo o kim słyszeliśmy – zakończyła z tryumfem.

– Ktoś z Odrzykonia? Może któreś z nas natknęło się na niego w Odrzykoniu, nie zdając sobie sprawy, że to wspólnik Grochowskiego? – zastanawiał się głośno Darek.

– Wtedy Grochowski odpowiadałby przez telefon: „Nie wiedzą, że to ty”, a ja wyraźnie słyszałam: „Nie wiedzą, jak wyglądasz”. Lila, masz rację, ktoś z nas musi go znać ze słyszenia. Ale wiecie co? Ten tajemniczy gość też nie wie jednej rzeczy.

– Że mu powyrywam z d… nogi? – zapytał niewinnie Misiek.

– Tego też – roześmiałam się – ale on nie wie, jak wyglądają jego dwaj zafajdani pomocnicy. Wynajął ich za pośrednictwem Grochowskiego albo kogoś innego. Nie miał z nimi bezpośredniego kontaktu. Możemy to jakoś wykorzystać?

– Zabić ich, a potem przybić za uszy do bramy, żeby odstraszyć potencjalnych amatorów wchodzenia nam w drogę. – Lila najwyraźniej zapałała żądzą krwi.

– Nikt nie będzie nikogo mordować, wystarczą nam dwa trupy.

Zapadła cisza, wszyscy pogrążyliśmy się w zadumie, rozmyślając nad tym, co nas spotkało. Czytamy książki, oglądamy filmy, słyszymy o niewiarygodnych historiach i przeważnie traktujemy je jak fikcję. „To się nie mogło wydarzyć” – myślimy. Lekceważąco podchodzimy do nieszczęść, które przytrafiają się anonimowym ofiarom, gdzieś tam, daleko. Inaczej sprawa zaczyna wyglądać, gdy tragedia dotknie nas osobiście. Wszystko nabiera wtedy innego wymiaru, jest stokroć bardziej przerażające.

Niby wiem, że uczestniczę w czymś, co dzieje się naprawdę, tu i teraz, ale cały czas mam idiotyczną nadzieję, że nagle otworzą się drzwi, ktoś wejdzie i powie, że to tylko głupi kawał. Widziałam kiedyś taki film. Za to dawno nie widziałam takiego przejętego Miśka. Jako jedyny nie siedzi z nami, tylko krąży po pokoju, trąc palcami czoło, zatrzymuje się na moment, patrzy na mnie i znowu rusza dookoła kanapy.

– Siadaj na tyłku, Misiek, bo zaraz zakręci mi się w głowie i puszczę pawia. – Łysego wyraźnie to irytowało.

– Moment, myślę. – Pochodził jeszcze z minutę, usiadł wyprostowany, położył obie dłonie na kolanach i głęboko westchnął.

– Aleś wymyślił – zakpił Łysy.

– Musimy podjąć decyzję. – Misiek zignorował przytyk. – Albo skupiamy się na wyjaśnieniu zagadki listu, której rozwiązanie wskaże nam sprawcę tych wszystkich nieszczęść, albo na złapaniu zbirów, którzy być może powiedzą, kto jest ich zleceniodawcą.

– Jak chcesz ich łapać, lassem na nogi?

– Nie wiem jeszcze jak, do cholery! Ale zagrażają mojej rodzinie i muszę coś wykombinować! To nie są Niewiarygodne przygody Marka Piegusa, to się dzieje naprawdę! Nie uczestniczymy w jakimś evencie miłośników kryminałów, którzy przebierają się za rzezimieszków, a tak naprawdę to poczciwi ludzie! Daj mi chwilę na to, bym spokojnie pomyślał, to coś w końcu wymyślę.

– Event? – Ogromne oczy Lili stały się (choć wydaje się to nieprawdopodobne) jeszcze większe. – Wiem, co musimy zrobić!

– Przebrać się? – Moja ironia chyba jej się nie spodobała, bo zrobiła minę obrażonego bachora, a przecież wie, jak tego nie cierpię. – Misiek za Sherlocka Holmesa, Tomek będzie doktorem Watsonem. Łysy to oczywiście Kojak, a my wcielimy się w role Aniołków Charliego.

– Możesz sobie ze mnie kpić do woli, a ja uważam, że to świetny plan. Połączymy dwa w jedno! Misiek, ty jesteś genialny po prostu!

Misiek zbaraniał, nie wiedząc, o co jej może chodzić, a Łysy ponownie zwrócił jej grzecznie uwagę:

– Lilka, kurde, albo ja jestem taki niekumaty, albo ty dzisiaj gadasz zagadkami. Mów, kobieto, jaśniej, bo mnie szlag zaraz trafi.

– Uspokój się, Łysy. – Danka właśnie zajęła się serwowaniem kawy. Robiła to w takim skupieniu, jakby zależało od tego życie jej, nasze albo nawet ludzi na całej ziemi. Na rozlanej do kubków kawie tworzyła ze śmietanki wzory, które chyba miały być listkami. Nie chciałam się pytać, co to jest, bo wystawiłabym naszą przyjaźń na bardzo ciężką próbę. – Lila wie, co mówi, tylko ty jesteś wolnomyśliciel. Masz rację, Lilu, to może się udać. Musimy tylko zastanowić się nad techniczną stroną tego przedsięwzięcia. No, ale po coś tych facetów mamy.

– Jasne! – W końcu do mnie dotarło, o czym mówią. – Że też nie wpadłam na to od razu. Musimy jednak wykluczyć z akcji Tomka. W końcu jest policjantem, a to co planujemy, chyba nie jest tak do końca legalne. Powiedziałabym nawet, że w ogóle legalne nie jest.

– No, to oficjalnie nie będzie o niczym wiedział, a nieoficjalnie musi nam pomóc, bo te nasze dwa orły mogą sobie same nie poradzić. Tomek to fajny chłopak i, jak wiemy, dla naszej Lili zrobi wszystko, nawet przebierze się za babę.

– Misiek! One nam kompletnie ocipiały! – Łysy był w wyraźnym szoku. – Każą nam się za baby przebierać!

– Przebiorę się nawet za Harnasia, jeżeli to w jakiś sposób pomoże, mówcie szybko coście tam wykombinowały.

– Przecież cały czas o tym mówimy – zdziwiła się Lila, sięgając po kubek z kawą. – O, jaka ładna rybka!

Jak dobrze, że wzrok Danusi nie ma mocy spopielania, bo zamiast siostry na kanapie leżałaby kupka proszku. Lila na szczęście należy do osób, które nie zważają na takie pierdoły jak wyraz czyichś oczu, i niezrażona ciągnęła dalej:

– Trzeba tych dwóch młotków złapać, podszyć się pod nich i skontaktować ze zleceniodawcą. Musimy ich tylko wyśledzić i podsłuchać, czy czasami już się z nim nie spotkali. I tu właśnie potrzebna jest pierwsza przebieranka. Koniecznie należy się do nich zbliżyć, a gnojki nas obserwują, więc wiedzą, jak wyglądamy.

– Tu może się nam przydać Tomek. Wspominał coś o recepcjonistce z hotelu. – Misiek już załapał, o co nam chodzi. – Wy, dziewczyny, odpadacie, bo jesteście zbyt charakterystyczne. Jedna kurdupelkowaty rudzielec, druga lalka Barbie, i ta trzecia, która wygląda jak wokalistka Closterkeller. Nawet jak się przefarbujecie i przemalujecie, nic to nie da. A my co? Wąsów sobie nie przykleimy.

– Uważaj, bo my cię zaraz opiszemy, Bohunem to ty nie jesteś… – Danusię najwyraźniej zabolał kurdupel.

– Ale ze mnie kobitka byłaby niezła – chlapnął Łysy i natychmiast przeraził się tym, co powiedział. Niestety dla niego decyzję podjęliśmy błyskawicznie.

Gdy po południu odwiedził nas Tomek, przeprowadziliśmy próbę generalną. Misiek zamówił pizzę, więc mogłam się skupić na charakteryzacji Dareczka. Gorzej jednak było z dobraniem garderoby. Jestem wysoka i szczupła, ale nie jak grochowa tyczka, którą przypominał Darek. W poczuciu bezsilności chciałyśmy nawet wysłać Danusię na zakupy, ale w końcu udało nam się wykombinować niezłą kreację z połączenia ciuchów moich, Majki i Lili. Szkoda, że Horpyna nie zostawiła swoich. Nierozwiązanym problemem pozostały buty. Żadna z nas nie ma stopy jak podolski złodziej, wobec tego Łysy wystąpi na bosaka, a buty dokupimy.

Łysy miał rację, całkiem niezła z niego laseczka, a metamorfozę przetrwał bohatersko, udzielając nam rad typu „nie, w tym się źle czuję, spróbujmy, jak będzie z tamtą spódniczką”. Poprawiłam na nim granatową bluzeczkę Majki, na biodrach przewiązałam błękitną koszulę Miśka, żeby ukryć niektóre mankamenty, i czekamy na znak, by zejść na dół. Jest strzałka na telefonie, możemy schodzić.

Łysy, udając damski krok, ruszył w kierunku schodów. Niestety, nie jest to Dustin Hoffman z filmu *Tootsie* ani Robin Williams z Pani Doubtfire. Wygląda pokracznie i śmiesznie, po prostu jak koleś przebrany za kobietę. Prezentuje się fajnie tylko wtedy, gdy się nie rusza, ale trudno, idziemy.

– Cześć, Tomek – zawołałam, zbiegając ze schodów – poznaj kuzynkę Miśka. – Wskazałam ręką Darka schodzącego za mną.

Jak na komendę towarzystwo na dole gruchnęło takim śmiechem, że chwilę stałam ogłuszona. Misiek wył jak wilk, Lila tarzała się na kanapie razem z Danuśką, a Tomek chichotał i wycierał cieknące łzy. Po sekundzie, kiedy sama obejrzałam się na Darka, również wybuchnęłam śmiechem, przyłączając się do kolektywnego chichrania. Tylko Darek stał na schodach jak obraz siedmiu nieszczęść, co prowokowało nas do jeszcze większej wesołości. Ten śmiech tak nas wymęczył, że parę minut dochodziliśmy do siebie, ale chyba był nam dzisiaj potrzebny. Wszyscy poczuliśmy, jak opada z nas napięcie i przygnębienie.

– Dobra… – Odrobinę uspokojony Tomek wziął głęboki wdech. – Mówcie, co jest grane.

W czasie gdy Lila tłumaczyła mu nasz plan, my zabraliśmy się do pałaszowania pizzy. Musieliśmy być mocno wygłodzeni, bo rzuciliśmy się na nią jak Majka na krówki po miesięcznym szlabanie na słodycze. Misiek przyjrzał się Łysemu, który siedział w spódniczce z rozstawionymi nogami jak typowy facet. Przeproszony i udobruchany wcinał razem z nami, rozmazując sobie przy tym szminkę na brodzie.

– Gdyby ci tak zasłonić te brzydkie owłosione nogi i wytrzeć szminkę z brody, to jakiś kretyn mógłby się nabrać – zawyrokował – pod warunkiem że nie będziesz próbował chodzić. Może udałoby się wsadzić cię za kontuar w recepcji hotelu. Tomek, jak myślisz?

– Może się udać. – Tomek z trudem powstrzymywał się od śmiechu. – Pogadam z menedżerem, to mój kumpel i jakby to powiedzieć… cichy współpracownik.

– Szpicel po prostu albo wtyka. – Lilka nie bawiła się w konwenanse. – Co się tak pieścisz?

– No dobra, nieważne, jak go nazywamy. Jak da Łysemu hotelowy uniformik, to od razu nabierze klasy. Czasu jest mało, bo jutro musicie jechać do komendy złożyć zaznania, więc poczekajcie chwilę, zadzwonię.

Wyszedł do ogrodu i rozmawiał z kimś przez dłuższą chwilę. Domyślam się, że ze swoją wtyczką. Co jakiś czas spoglądał na Łysego z rozbawieniem, kiwał głową, coś cierpliwie wyjaśniał, a po chwili wrócił wielce zadowolony.

– Dziewczyny, macie godzinkę na przygotowanie Darka, zabieram go do hotelu. Nasi podejrzani właśnie jedzą obiad w hotelowej restauracji. Im szybciej się uwiniecie, tym lepiej.

Łysy zbladł momentalnie, a Danka jakby tylko na to czekała, chwyciła kask z podłogi i po sekundzie słychać było oddalający się ryk motoru.

– A tej co? – zdziwił się Misiek.

– Jacy faceci są niedomyślni – westchnęłam – przecież to oczywiste, pojechała po buty. Chodź, Darunia, popracuję jeszcze nad tobą.

Nie ma wyjścia, jeżeli chcę nadać mu bardziej wiarygodny wygląd, muszę namówić go na wyregulowanie brwi. Zabrałam z lodówki kostki lodu i poprosiłam Miśka, by trzymał mu głowę.

– Przecież to tylko brwi, nie będziesz mi wyrywać zębów, wytrzymam, po co ten Misiek?

– Siedź cicho i nie marudź. – Z uśmiechem sadysty chwyciłam za pęsetę.

Uff! Jakie szczęście, że wzięłam Miśka do pomocy. Gdyby nie jego żelazny uścisk, Łysy dałby drapaka po pierwszej sekundzie. Tak wydzierali się chyba tylko średniowieczni złoczyńcy, których łamano kołem. Na domiar złego Lilka i Tomek znowu dostali histerycznego napadu śmiechu, co udzieliło się i mnie, i Miśkowi. Parę razy niechcący uszczypnęłam Łysego, ale to tylko dlatego, że trzymający go Misiek trząsł się i rżał jak koń.

Ale efekt był piorunujący. Nawet Łysy pokiwał głową z aprobatą, gdy przejrzał się w lusterku.

– Dobrze, że nie było Danuśki – zaśmiał się – bo darłaby ze mnie łacha do końca życia. Dawno tak fajnie nie wrzeszczałem.

Skończyliśmy w samą porę, bo Danka właśnie przyjechała, przywożąc śliczne czerwone baletki, rozmiar czterdzieści dwa.

– Uuuuu! – podsumowała wygląd Darka.

– Chodź, moja droga, porywam cię ze sobą. – Tomek szarmancko podał Łysemu ramię i znowu zaniósł się głośnym śmiechem.

Zamaskowany

– Zamaskowany puścił do mnie oko! Wyobrażacie to sobie?! Ślepy albo bardzo wyposzczony. Szkoda, że tego nie widzieliście! Siedzę sobie, noga na nogę, buźka w ciup i liczę tylko na to, żeby mnie nikt o nic nie zapytał. Zresztą Tomek tak załatwił, że była ze mną ta babka z recepcji i w razie czego ona obsługiwała gości. Myślała, że jestem przebranym policjantem, bo mówiła do mnie „panie komisarzu".

Łysy był tak rozemocjonowany, rozlatany i rozwibrowany, że nawet nie usiłowaliśmy mu przerwać. Niech się wygada.

– Chociaż wydaje mi się, że nie do końca wiedziała, czy to moje robocze przebranie na potrzeby śledztwa, czy takie hobby, wiecie, o czym mówię. Co tam jej Tomek nagadał, to nie moja sprawa, ale babka była bardzo przejęta swoją rolą. No i tak sobie siedzę i myślę, że zaraz umrę z nudów. Udaję, że coś czytam, żeby zasłaniać twarz, bo jedna babka omal się nie przewróciła, jak na mnie spojrzała. Dziwne to jest, ale babki od razu rozpoznają przebranego faceta, a powinno być na odwrót. Po nogach mi cholernie wieje, ale nic, siedzę dalej. A tu nagle podchodzi tych dwóch. Ten z nosem gada z recepcjonistką, drugi gapi się na mnie. Pomyślałem, że na bank mnie rozpoznał, a jeśli nawet nie rozpoznał, to widzi, że jestem przebierańcem. I co? Ani jedno, ani drugie! Gość chciał mnie ordynarnie poderwać! Puścił do mnie oko i spytał się, o której kończę pracę. Powiedział do mnie „kotku"! Ale jaja, mówię wam, zgłupiałem, i gdyby nie babka z recepcji, to nie wiem, jak by się to skończyło. Usłyszała to i walnęła, że jestem stażystką i nie wolno mi się umawiać z klientami.

– No dobrze, „kotku". – Danusia jednak straciła cierpliwość. – Ale czy podczas tego flirtowania zdołałeś się czegokolwiek dowiedzieć? Zaobserwowałeś coś ciekawego?

– To właśnie jest najśmieszniejsze. Wcale nie musiałem! Ten z nosem z marszu powiedział, że teraz ich przez parę godzin nie będzie, że wrócą dopiero wieczorem, ale czekają na znajomego. Nie wiedzą tylko, czy przyjedzie dzisiaj, czy dopiero jutro, więc jeżeli ktoś będzie o nich pytał, to proszą uprzejmie o poinformowanie go, że będą późno.

– W życiu bym nie pomyślał, że taki głupi pomysł może przynieść taki skutek. – Tomek też nie krył zadowolenia. Nie wiem, czy był bardziej zdziwiony, czy ucieszony.

– No, to teraz wy zastanawiajcie się, co robimy dalej, a ja zajmę się mniej przyjemną sprawą. Pomyślałem, że powinienem zawiadomić Antoniego o śmierci Grochowskiego. Idę zadzwonić – powiedział Misiek i zniknął za drzwiami gabinetu.

– Chodźcie do ogrodu, tam mi się lepiej myśli – zaproponowałam. – My weźmiemy jakieś chipsy, a chłopaki niech zadbają o napoje. Został chyba jeszcze placek z rabarbarem, leży w spiżarce, weźmiesz go, Lilu?

– Jasne, z przyjemnością, tym większą, że trzymasz tam też nalewkę – zaśmiała się.

– Ale z nas Brygada Tygrysa – chlubił się swoim sukcesem Łysy. – Przestępcy wszystkich krajów, bójcie się! – wołał, rozstawiając leżaki.

– Widzę, że awansowałeś z kotka na tygrysa – zaśmiał się Misiek, wchodząc do ogrodu – ale może byś się tak przebrał, bo nie mogę na ciebie patrzyć.

– I jak Antoni zareagował na wiadomość? W końcu byli przyjaciółmi – zapytałam z troską.

– Nijak, nie ma go, wyjechał. Rozmawiałem krótko z jakąś kobietą. Nie wiem nawet, czy to była żona, czy sekretarka. Ja się przedstawiłem, ale niestety nie zrewanżowano mi się tym samym.

– Mnie tylko zastanawia, czy ten jego pyton nie zdechnie z głodu, znaczy się wąż Grochowskiego. – Lila aż wzdrygnęła się na wspomnienie o Mery.

– Przecież podczas jego nieobecności ktoś się nim chyba opiekował. Chociaż nie wiem, jak długo taka gadzina może wytrzymać bez żarcia. A co w ogóle pytony jedzą? – zastanawiałam się. – Muszę zadzwonić do Horpyny, może czegoś się dowiem. Na pewno miał dużo znajomych i przyjaciół, mieszkał tam całe życie.

Wyciągnęłam się wygodnie na huśtawce. Położyłam nogi na kolanach siedzącego obok Miśka. Kochany jest, masował mi stopy, wprowadzając w stan błogości i spokoju. Łysy przebrany w swoje ciuchy znowu wyglądał jak człowiek, a Danka wybierała z dna miski okruchy chipsów. No, nie mogę! To nie jest normalne. Dlaczego ona zawsze wyjada resztki z moich misek? Będę musiała z nią o tym pogadać. Zaczęło się powoli ściemniać. Harcerze znad jeziora mają chyba ognisko, bo słychać ich śpiew z daleka. Dzisiaj to my słuchamy ich. Właśnie, muszę się upewnić.

–Ej! To, że nas podglądają, to wiemy, ale czy zza ogrodzenia słyszą, o czym rozmawiamy?

– Bez pomocy aparatury na pewno nie. – Tomek był bardzo pewny tego, co mówi. – Oczywiście, jeżeli mówimy normalnie, a nie wydzieramy się. Ale na wszelki wypadek proponuję o istotnych sprawach mówić przyciszonym głosem.

– To dobrze, bo właśnie chcę wam powiedzieć, że dosłownie przed sekundą miałam wrażenie, że coś błysnęło, zapałka albo zapalniczka.

Danka odstawiła miskę na bok i swoim zwyczajem zaczęła przechadzać się leniwym krokiem w kierunku ogrodzenia.

– Przysuńcie się bliżej huśtawki, musimy ustalić, co robimy, bo czasu mało i okazja może się nie powtórzyć.

– To wy przesuńcie huśtawkę. – Lili nie chciało się ruszyć tyłka. – Tu będziemy bliżej jedzonka – na pewno miała na myśli nalewkę. – Mam nadzieję, Łysy, że nie widzieli cię przebranego w ogrodzie i nie skumali twojej metamorfozy, bo Zamaskowany dostanie stresu pourazowego.

Umościłam sobie z powrotem legowisko na przestawionej huśtawce. Miskę po chipsach postawiłam pod stołem, bo trafiłoby mnie coś w końcu, jeżeli Danka znowu zaczęłaby ją wylizywać. Sięgnęłam po wino od Beatki, jest dużo bezpieczniejsze od Miśkowej nalewki. Nagle pomyślałam o czymś, co początkowo wydało mi się absurdalne, lecz prawdopodobne. Ostatnio wiele rzeczy, które nas spotykały, były z pozoru niedorzeczne.

– Misiek? Czy ta kobieta mówiła ci, dokąd Antoni wyjechał?

– Nie. – Po chwili dotarło do niego, dlaczego pytam. – O czym ty myślisz? Zakładasz, że każdy potomek Alberta to przestępca? Czy ty nie przesadzasz?

– Jak to mówią: „jaki ojciec, taki syn; jaka córka, taka matka”. Chociaż nie do końca się to sprawdza. – Lila nie przepuściła szansy na odrobinę złośliwości. – Maja jest ładną i mądrą dziewczyną – zachichotała.

– Albo cię trzepnę, albo dostaniesz szlaban na nalewkę. Ja mówię całkiem poważnie, to wydaje mi się możliwe. Zna się z Grochowskim. Ba! Nawet możemy tu mówić o przyjaźni. Wie o liście i na dokładkę akurat teraz go nie ma.

– Przekonamy się, jak złapiemy tych dwóch. – Lila przysunęła do siebie karafkę z nalewką, jakby bała się, że spełnię swoje groźby. – Tylko jak my coś z nich wyciągniemy? Wątpię, że trzymasz w apteczce serum prawdy, a na torturowaniu też się nie znamy.

– Nie chcę słuchać o żadnych torturach – szepnął Tomek. – Zgodziłem się na tę całą szopkę, ale warunek jest jeden. Nikomu nie może włos spaść z głowy i jak jeden mąż musicie w razie czego mówić, że mnie tu w ogóle nie było.

– Dlaczego szepczesz? – spytała zdziwiona Lila. – Przecież mówiłeś, że nas nie słyszą? A to, czy im włos z głowy nie spadnie, to zależy od ciebie, Miśka i Darka. Musicie ich złapać i wasza w tym głowa, żeby nikomu nic nie poleciało.

– Są dwaj – zameldowała Danusia, podchodząc do nas – widziałam wyraźnie, bo jeden drugiemu przypalał papierosa. Co robimy? – Schyliła się, podniosła miskę, pośliniła palucha i zaczęła nim wybierać niewidzialne okruchy. To jest już niepokojący objaw, jakaś obsesja albo nerwica natręctw. Chyba zacznę się o nią bardzo poważnie martwić. Choć z drugiej strony lepsze to od… na przykład palenia papierochów albo masochistycznego wygryzania sobie policzków od wewnętrznej strony. Robię jedno i drugie. Pierwsze nałogowo, drugie w chwilach napięcia, więc też nierzadko. Lila obgryzała paznokcie do czasu, aż nie wymyślono akrylowych, a potem żelowych. Misiek potrafi godzinami przekładać śrubki z jednego pudełeczka do drugiego zupełnie bez sensu, przynajmniej dla mnie. Dlaczego więc nie wylizywać misek?

– Poczekamy jeszcze z godzinkę, niech się znudzą i stracą czujność. Potem dziewczyny muszą narobić jakiegoś zamieszania, żeby odwrócić ich uwagę. My w tym czasie wyjdziemy przez dom i bramę wjazdową. Musimy ich zajść od tyłu, czyli od strony, z której nie spodziewają się zagrożenia. Zresztą z tego, co widzę, oni czują się tak pewnie, że nietrudno będzie ich podejść.

Tomek najwyraźniej dobrze się odnajduje w roli stratega i przywódcy. Widać, że lubi dowodzić. Lili też się taki podoba, widzę, jak na niego patrzy, dumna ze swojego mężczyzny. O tak, teraz jest dla mnie jasne, że to jej mężczyzna. Chyba myśli o tym samym, bo ni z gruszki, ni z pietruszki zapytała:

– Tomek, czy to jest normalne, że policjanci śmieją się, biją brawo i gwiżdżą, gdy parę metrów obok nich leży trup?

Zaczerwienił się po czubki włosów, chrząknął jak zawsze, gdy jest zakłopotany, ale spojrzał jej dzielnie w oczy.

– Z taką sytuacją spotkałem się po raz pierwszy, ale też pierwszy raz na oczach kolegów pocałowałem dziewczynę. I to taką dziewczynę. Nic dziwnego, że wywołało to aplauz.

Widocznie odpowiedź ją zadowoliła. Przechyliła się w jego stronę, uśmiechnęła i nim zdążyliśmy zorientować się, o co chodzi, zademonstrowała nam taki pocałunek, że ręce same złożyły mi się do oklasków. Łysy zagwizdał, Danka zawołała: „Brawo”, a Misiek westchnął: „Biedny Tomek, polubiłem go”.

– Długo jeszcze? – spytałam po godzinie, która dłużyła mi się jak nigdy.

Misiek popełnił kardynalny błąd. Powiedział: „Zachowujmy się normalnie”. No tak. Wszyscy postanowili tak właśnie się zachowywać, gorliwie wypełniając jego polecenie. Czułam się jak w podupadającym teatrze, w którym grają najmarniejsi aktorzy. Tyle było w nas naturalności, ile w Harnasiu agresji… Nienaturalnie głośno i sztucznie mówiliśmy do siebie pełnymi zdaniami. Wszyscy czuli się z tym dziwnie, wobec czego po chwili zapadła kompletna cisza. Mam nadzieję, że tych dwóch niegrzeszących inteligencją zbirów nie połapie się, że coś jest nie tak. A może zasnęli z nudów?

– Zróbmy coś, bo zaraz zasnę. – Lilka też traciła cierpliwość. – Albo się ubzdryngolę.

– Dobra, chłopaki, powoli się zbieramy – zakomenderował Tomek.

Lila podniosła się chwiejnie z leżaka, udając – jak sama stwierdziła – „ubzdryngoloną” i wymachując ręką, zawołała:

– Panowie, ja chcę jeszcze wina! Przynieście mi wino! – Siadając z powrotem, zapytała mnie już normalnym, trzeźwym głosem: – Jak my, do cholery, mamy odwrócić ich uwagę?

– Wiem. – Wstałam, odczekałam chwilę, upewniając się, że chłopcy już wyszli z domu, i zaczęłam ściągać bluzkę.

– Co ty? Striptiz chcesz urządzić?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Ostatnia w basenie zmywa naczynia! – zawołałam, ściągając w biegu spodenki. Pierwsza skoczyłam do wody, szczęśliwie nie trafiając w butelki, które Misiek włożył do schłodzenia. Szybko przesunęłam się tak, by żadna z dziewczyn nie nadziała się na którąś z nich. Lilka wbiegła druga, a Danusia powolutku z ociąganiem zdjęła ubranie, ułożyła je w kosteczkę i podeszła spacerowym krokiem.

– Masz zmywarkę. – Uśmiechnęła się i dołączyła do nas. Spojrzała na Lilę z udawanym zdziwieniem. – Czy te trzy sznurki, które masz na sobie, to jest bielizna?

Nie wiem, co Lila chciała jej odpowiedzieć. Zgaduję, że byłoby to coś złośliwego, ale tego się już nie dowiemy. Z zarośli po drugiej stronie ogrodzenia dobiegły nas okrzyki, odgłosy szarpaniny i jedno siarczyste przekleństwo: „Ku…”.

Danka wyskoczyła z wody jak z procy, w biegu złapała swoją bezcenną torbę i pognała w stronę odgłosów, przeskakując przez ogrodzenie jak kaskader. Patrzyłyśmy na to jak oniemiałe. Ja nie zdążyłam się odezwać, a ta już za płotem. Niebywałe!

Nie tracąc czasu na ubieranie się, owinięte w ręczniki pobiegłyśmy do domu, zostawiając na podłodze mokre ślady stóp.

W otwartych drzwiach frontowych coś stękało, sapało i kotłowało się przez długą chwilę. W końcu pojawili się nasi panowie trzymający Zamaskowanego za kołnierz. Chociaż tak naprawdę to Zamaskowany ubrany był w podkoszulek, więc żadnego kołnierza nie miał.

– Przynieście jakiś sznurek! – krzyknął któryś z nich.

Sznurek? Jaki sznurek? O Boże, głupia jestem, jasne, że sznurek! Tylko skąd ja mam go wziąć? Garaż! Tak, na pewno będzie w garażu.

Gdy przybiegłam z naręczem trzydziestu rodzajów sznurka, Zamaskowany siedział na podłodze przytrzymywany przez Tomka i Miśka. Łysy wziął ode mnie sznurki, pokiwał głową z podziwem i zaczął wiązać milczącego draba. Musi mieć w tym wprawę, bo po minucie Zamaskowany wyglądał jak szynka przygotowana do pieczenia.

– Gdzieś ty się tego nauczył? – zapytała Lila, dalej ociekając wodą, która utworzyła już niezłą kałużę.

– Wakacje pod żaglami. – Wyszczerzył zęby, odszedł parę kroków i krytycznie przyjrzał się swojemu dziełu.

– A nie trzeba go zakleić? Przecież może krzyczeć.

– Niech się wydziera, kto go tu usłyszy. Zresztą wie o tym, bo cicho siedzi. Prawda? – Misiek spojrzał na zbira. Ten tylko głupio się uśmiechnął.

– Co z drugim? Uciekł? – zapytałam, na co Zamaskowany uśmiechnął się jeszcze bardziej głupio.

– No, niestety, zwiał nam. Zaraz z Tomkiem pojedziemy do hotelu. Może tam go dorwiemy. Łysy, ty popilnujesz tego. Podobasz mu się, więc może się dogadacie.

– Walnę cię, Misiek – zagroził Łysy, sprawdzając solidność swoich węzłów, a ja patrzyłam, jak Zamaskowany próbuje myśleć. Coś mu nie pasowało, coś wzbudzało niepokój, marszczył brwi i marszczył czoło, ale po chwili dał za wygraną i jego twarz znowu przybrała naturalny, czyli głupi wyraz.

Nagle otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Orli Nos. Zamaskowany zarechotał, Misiek sprężył się do skoku, Łysy wstał, Lila pisnęła, a Tomka nie było, bo w łazience chyba mył ręce.

– O niego wam chodzi? – Zza pleców bandyty wyjrzała mokra ruda głowa Danuśki. – Siadaj grzecznie obok kolegi. – Dźgnęła go czymś w plecy, a ten potulnie przysiadł na podłodze. – I nie waż mi się ruszyć, bo znowu cię trzepnę!

Na co Orli Nos skulił się, wyraźnie przestraszony.

Misiek z Łysym zabrali się do wiązania. Zamaskowanemu obleśny uśmiech spełzł z twarzy, a ja w końcu mogłam zobaczyć legendarny pistolet Danuśki, który teraz pospiesznie chowała do torby.

– Widzę, że trochę mnie ominęło. – Tomek wrócił z łazienki. – Brawo, Danka!

– Moja kobieta. – Łysy pękał z dumy. – Tylko dlaczego prawie goła?

– No, to teraz sobie porozmawiamy. – Nie wiedziałam, że Tomek potrafi się złowieszczo uśmiechać. – Chłopaki, bierzemy ich do piwnicy.

*

– Te dwa cymbały niczego nam nie powiedzą! A dlaczego? – zapytał Misiek retorycznie. – Bo nic nie wiedzą! Ktoś ich wynajął, nie wiedzą kto. Mają się spotkać, nie wiedzą z kim. Mieli nas obserwować, nie mają pojęcia po co. Grochowskiego mieli uciszyć, uciszyli na amen. Tłuki takie, że aż przykro. Za hotel ktoś zapłacił. Pieniądze mają dostać po wykonanej robocie, ale nie są pewni, o jaką robotę chodzi.

Siedział zniechęcony w kuchni, dłońmi podpierał głowę, czekając, aż się zagotuje woda na kawę. Kawa należy się nam wszystkim, jesteśmy zmęczeni, a przed nami długa i chyba nieprzespana noc. Pogłaskałam go i przytuliłam mocno.

– Coś wymyślisz, zawsze coś wymyślasz.

– Teraz mam pustkę w głowie. Lilka! Może ty idź z nimi pogadać, umiesz rozmawiać z facetami. Zrób te swoje maślane oczka, poudawaj idiotkę, może któryś się na to nabierze?

– Miło mi usłyszeć, kochany, że twierdzisz, iż idiotkę tylko udaję. Ale niestety, to się nie uda, nie w tych okolicznościach. To działa tylko na tych nieświadomych, a te dwa draby, mimo że zakute z nich pały, doskonale wiedzą, kim jestem i po co chciałabym z nimi rozmawiać. Jestem z wrogiego obozu, a to niestety ustawia mnie na straconej pozycji. Proponuję tortury, my zatkamy uszy, a wy możecie drzeć z nich pasy – zaśmiała się – albo niech Łysy wskoczy w spódnicę i zagrozi, że ich pocałuje. Tacy jak oni nie są otwarci na różnorodność związków seksualnych. Ciekawe, czy Zamaskowany zorientował się, że Darek to damulka z recepcji?

Z piwnicy wyszedł Tomek z Darkiem, miny mieli identyczne jak Misiek. Podałam każdemu po solidnym kubku kawy.

– Danusia, zrób nam te śliczne rybki ze śmietanki – poprosiła Lila. – Żartowałam! – krzyknęła, widząc, jak Danka rusza w jej stronę.

– Nie igraj z moją żoną, bo kiedyś się doigrasz. – Darek pogroził jej palcem. – Ona może z kogoś drzeć łacha, ale z niej nie wolno. Wiem coś o tym.

– Co mi zrobi? Zastrzeli mnie?

– Zdziwiłabyś się, co ona może zrobić.

Popatrzyłam na Dankę, ale ona w ogóle ich nie słuchała. Patrzyła z ogromnym skupieniem na przeciwną ścianę, a wiem, że wielką miłośniczką malarstwa nie jest. Nie podziwiała więc moich obrazów, lecz myślała nad czymś intensywnie. Podeszłam do niej z kawą. Wzięła ją ode mnie, przerzucając swoje zapatrzenie na kubek.

– Wiecie co? – Podeszła do nas, odstawiła kubek na blat i powiedziała: – Oni wcale nie muszą nam nic powiedzieć.

– Mów dalej – poprosiłam.

– Chłopakom tak dobrze wychodzą przebieranki, że pomyślałam…

– Za nikogo nie będę się przebierał, nie ma mowy! – wykrzyknął Łysy.

– Żeby poudawać, nie trzeba się przebierać. – Uśmiechnęła się łobuzersko. – Tomek i Misiek, jedziecie do hotelu. Bierzecie klucze od pokoju naszych przyjaciół z piwnicy i czekacie, aż ktoś o was zapyta, to znaczy o nich. Pan X nie wie, jak wyglądają ci dwaj, co do tego mamy już pewność, więc wy się pod nich podszyjecie. Udawać dwóch buraków chyba potraficie, co nie? Ten twój menedżer pójdzie na to?

– Nie ma wyjścia, zgodzi się, a pani z recepcji jest przekonana, że bierze udział w szpiegowskiej aferze, więc z nią też problemu nie będzie. Do dwunastej ma dyżur, musimy się pospieszyć. Misiek, włóż białe skarpetki i sandałki, będziesz wiarygodniejszy – powiedział to całkiem poważnie. – Jeżeli do rana gość się nie pojawi, to ty, Łysy, będziesz musiał mnie zmienić, ja mam na ósmą do pracy. Teraz pilnuj tych dwóch, wszystko może się zdarzyć. Tylko się z nimi nie całuj – krzyknął na odchodne, zwinnie odskakując przed kopniakiem.

– Mam ochotę zejść tam na dół i skopać im tyłki za tego Grochowskiego – powiedziała niezbyt wyraźnie Lila, przeżuwając ostatni kawałek zimnej pizzy. Powoli zaczynamy wyjadać resztki jedzenia, jakie pozostały w lodówce. Nikt nie pomyślał o zakupach, a ludzi w domu jest sporo.

– Wprawdzie był szują i oszustem, ale całkiem sympatycznym. Jeszcze parę dni, a poprosiłabym, żeby został moim dziadkiem. Ten cholerny wąż też nie daje mi spokoju. Dzwoniłaś do Horpyny?

– Dzwoniłam. Jak tylko powiedziałam jej, co się stało, to chciała wskoczyć w samochód i przyjechać, ale poprosiłam ją, żeby lepiej sprawdziła, czy jest ktoś, kto zadba o dom i jego lokatorkę. Obiecała, że to zrobi. – Popatrzyłam na zegar. – Już po drugiej, a ich ciągle nie ma. Nie chcę dzwonić, bo mogę im tylko zaszkodzić tym telefonem, ale się martwię.

– Nic im nie będzie. – Danka leżała na kanapie z zamkniętymi oczami, myślałam, że śpi. – To mądre chłopaki, a o ile znam Tomka, to zadbał o asekurację. Musimy cierpliwie czekać.

Usiadła i podkuliła nogi. Zajrzała do pustego kubka z nadzieją na łyk kawy i z głębokim westchnieniem wstała.

– Robię kawę, komu czarną, a komu z rybką? – zażartowała. – Sprawdzę też, co na dole, założę się, że Łysy śpi.

Łysy nie spał, też z niepokojem czekał na wieści, nie wiedząc, czy ma się przygotowywać na ewentualną zmianę Tomka. Delikwenci byli solidnie związani, więc przyszedł do nas na kolejną porcję kofeiny.

– Wiecie, że te gamonie nie zdają sobie sprawy z tego, co zrobili. Próbowali ze mną negocjować. Podobno ten tajemniczy „szef” ma na oku sporą kasę, którą ma się z nimi podzielić. Mają dostać po dziesięć procent. Mnie proponowali pięć. Powiedziałem, że z mordercami nie negocjuję, a oni na to, że mordercami nie są, tylko dali Grochowskiemu za mocno w łeb. Jezu! Nie chce mi się w to wierzyć.

– Głupich się nie sieje, niestety – podsumowała Lilka. Przechyliła głowę na bok, jakby nasłuchując, zmarszczyła brwi i podeszła do drzwi. Ja też usłyszałam ciche kroki, poszłam za nią. Lila spojrzała przez judasza i z wyraźną ulgą sięgnęła do klamki.

– Są nareszcie!

– Dlaczego nie słyszeliśmy samochodu? – spytała, nim weszli do domu.

Tomek cmoknął ją w policzek, otoczył ramieniem i razem przeszli do salonu. Spojrzałam pytająco na Miśka.

– Zaraz wszystko opowiem, nalej mi czegoś – poprosił. Nalałam wszystkim, bo wszyscy czuliśmy, że coś jest nie tak, jak być powinno. Patrzyliśmy w ciszy na ich zmęczone i niewesołe twarze.

– Mówcie, do cholery! – nie wytrzymałam.

– Parę minut po dwunastej zadzwoniła pani z recepcji, która zgodziła się wziąć jeszcze jeden dyżur. – Pokiwał głową. – Nie wiem dlaczego, niektórzy uważają, że to fajna przygoda. Zadzwoniła z informacją, że jest ten pan, pytał się o nas, to znaczy o nich, i zgodnie z instrukcją skierowała go do naszego pokoju. Pan okazał się dżentelmenem około pięćdziesięcio-, sześćdziesięcioletnim, nie znam się, ale chyba przystojnym i eleganckim, w drogim garniturze. Wszedł bez słowa przywitania, położył na stoliku skórzaną aktówkę i bez żadnego wstępu zaczął nas opierniczać. Z tego, co zrozumieliśmy, to według niego jesteśmy gamonie, niedorajdy i *bunglers and fools*.

– Nie możesz mówić po polsku? – zirytował się Łysy.

– To był cytat.

– Matko! – tylko tyle byłam w stanie powiedzieć. Potrząsałam głową z niedowierzaniem i nic mądrego nie chciało mi do niej przyjść. Czułam przecież, że tak może być, nawet wspominałam im o tym, a mimo wszystko byłam jak ogłuszona. Wszyscy inni też milczeli, wpatrując się w Miśka. Tomek siedział z opuszczoną głową.

– Pierdzielić to! – postanowiła jakoś zareagować Lila. – Zapominamy, że to twój kuzyn. Tyle lat żyłeś bez świadomości jego istnienia, to i drugie tyle przeżyjesz bez niego. Olej to! Może to jacyś oszuści podający się za twoją rodzinę? Może ten cały Albert wcale nie miał dziecka? Kto to wie?

Popatrzyłam na nią z wdzięcznością. Kochana Lila. Tak bardzo zmieniła się w ciągu tych kilku dni, że nieraz wydaje mi się inną osobą. Co ja bym bez niej zrobiła?

– Wiecie? Misiek zachował się jak prawdziwy zawodowiec, nawet przez moment nie dał po sobie poznać, że odgadł, kto to jest. A jak się odezwał tym głosem cwaniaczka ze wschodnim akcentem, to myślałem, że padnę z wrażenia – opowiadał Tomek.

Wiedziałam, że pomaga Lili w zagadaniu sprawy, dlatego uśmiechnęłam się do niego i z aprobatą pokiwałam głową. Zauważył to i kontynuował ze zdwojoną energią:

– Jak go zaczął przepraszać i płaszczyć się przed nim, to tamten nawet na chwilę złagodniał. Ja tak nie umiem, więc siedziałem cicho i grałem tego głupszego. Facet mówi słabo po polsku, trzeba się skupić, żeby go zrozumieć. Najbardziej był zły za zniszczenie tych mebli. Powiedział, że wcale im nie kazał tego robić i przez to musiał pozbyć się Grochowskiego. Misiek próbował go podejść, że przeprasza, ale to wszystko przez to, że nic nam nie mówi. Tamten na to, że nie musimy nic wiedzieć, tylko podsłuchiwać, obserwować i o wszystkim go informować. No, to Misiek, że po historii z meblami nie da się podsłuchać, bo wszyscy się pilnują i że to nudne, bo nic się nie dzieje. A on, że mamy to robić, i już. Aha, Misiek powiedział, że Grochowski mówił coś o jakimś liście, wtedy gość tak na nas popatrzył, że mi się zrobiło gorąco, i stwierdził: „Nic o tym nie wiem”. Na koniec, jak wyszedł, zawołał Miśka na korytarz i powiedział mu, że mamy tu wrócić i dalej obserwować. Dlatego jesteśmy bez samochodu, bo przecież wyszliśmy na przeszpiegi.

– Cholera, więc cała przebieranka na nic. Dalej niczego nie wiemy.

– Wieczorem wybiera się do nas w odwiedziny. Powiedział, że mamy być blisko, bo może nas potrzebować, to znaczy wydaje mu się, że nas. Boże, rozumiecie coś z tego, co mówimy? – Misiek był bliski płaczu.

– Jasne, że rozumiemy. Rozumiemy też, że tych w piwnicy musimy przytrzymać co najmniej do wieczora. Nie możemy ich oddać policji, bo zrobi się tu taka zadyma, że nasz Antoni da drapaka. – Łysy pierwszy raz wymienił imię Antoniego.

Zapadła cisza, a potem nagle wszyscy naraz mieli coś do powiedzenia. Misiek uśmiechnął się, przyciągnął mnie do siebie i szepnął do ucha:

– Dobrze, że tu są.

– No, to pięknie! – Lila wróciła ze spiżarni, niosąc cudem ocalały kawałek placka z rabarbarem. – To oznacza, że was – wskazała na Tomka i Miśka – nie może tu być. A przecież tak czy siak musimy go złapać.

– Nie, kochanie. To oznacza, że nie może nas widzieć, a to dwie różne sprawy. Nie wyobrażasz sobie chyba, że będziemy odchodzić od zmysłów, zastanawiając się, co tu się dzieje. Schowamy się gdzieś z Miśkiem, ale musimy znaleźć takie miejsce, z którego będziemy was widzieć i słyszeć.

– Albo góra schodów, albo gabinet. Zresztą o to pomartwimy się jutro. Tomek, śpisz u nas. Rano ktoś cię odwiezie do pracy. I tak musimy jechać, złożyć te cholerne zeznania. Sorki, ale na śniadanie mamy tylko płatki. Nawet złamanego jajka nie ma w domu. Lila, na twojej głowie zakupy, tylko kup coś oprócz wina.

Policjant

Policjant, który mnie przesłuchiwał, był (nie obrażając nikogo) typowym przedstawicielem swojej profesji. Daleko mu było do takiego Tomka, na przykład. Oficjalny, sztywny i zezujący na prawe oko. Na dokładkę pocił się niemiłosiernie, a nie był typem faceta zaprzyjaźnionego z antyperspirantami. Bolała mnie głowa, było duszno, a buty, które włożyłam w biegu, obcierały mi pięty. Ból głowy wywołuje u mnie nadwrażliwość na wszelkiego rodzaju zapachy. Siedząc w domu, wiem, co gotuje gospodyni w obejściu oddalonym o kilometr. Mogłabym dorabiać na lotnisku jako pies tropiący narkotyki pochowane w bagażach przemytników. Perfumy i dezodoranty odpadają, bo powodują odruch wymiotny. Żyć nie umierać. Jestem migrenowcem, dlatego nauczyłam się z tym jako tako funkcjonować. Siedziałam więc, skupiając się przede wszystkim na tym, by nie zwymiotować policjantowi na biurko. Na zadawane pytania odpowiadałam jak automat, bo przećwiczyłam to rano z Tomkiem. Mówiłam prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, nie rozwodząc się nad szczegółami. Tak, nie i nie wiem – to były moje typowe odpowiedzi. Ożywiłam się na koniec, gdy pan policjant pokazał mi zdjęcie narzędzia zbrodni, pytając się, czy widziałam to już kiedyś.

– Tak.

– Kiedy?

– Wczoraj.

– Gdzie? U kogo?

– Nad jeziorem, Harnaś przyniósł?

– Ach, tak? – Policjant chytrze zmrużył lewe zezujące oko. – No, to proszę mi opowiedzieć o tym Harnasiu. Kto to jest? Z tego, co wiem, harnaś to herszt.

– On nie nadawałby się na herszta bandy – pogrążałam się – jest zbyt łagodny, miły i kochany.

– Czyli łączą panią z nim prywatne, że tak powiem, stosunki?

– Oczywiście, przecież jest mój!

– Hm… W takim razie nazwisko.

– Czyje?

– Harnasia.

– Ale on nie ma nazwiska. – Zdumienie moje nie miało granic. – Harnaś to Harnaś.

– To niech pani o nim coś mi opowie. Jak wygląda, skąd się znacie.

– Znam go od szczeniaka, a jak wygląda? Jest wyjątkowo duży, jak na przedstawiciela swojej rasy. Długowłosy, ma śliczne kochające oczy, ma też głupi zwyczaj lizania każdego przy powitaniu. Tylko nieraz jest humorzasty. Jak się obrazi, to koniec, nie je przez dwa dni, ostatnio tak było, jak zmusiliśmy go do kąpieli. – Gdy mówiłam, oczy policjanta rozszerzały się, szczęka opadała na dół, a ja zaczynałam się nieźle bawić. – A poza tym, to taki zwykły, brązowo-biało-czarny.

– Jaaaki? – Jeżeli istnieje granica ludzkiego zdziwienia, to policjant właśnie ją przekroczył.

– No, taki jak każdy owczarek niemiecki.

Dobrze, że to był policjant. Policjantom nie wolno mordować świadków w komendzie, przy biurku. Ale miałam wrażenie, że gdyby mnie dorwał teraz gdzieś na odludziu, to na bank by mnie udusił. Widziałam tę żądzę mordu w jego lewym oku. Musiała upłynąć dobra chwila, nim doszedł do siebie. Ograniczył się do tego, że machnął jedną ręką w kierunku drzwi, drugą podsuwając mi protokół do podpisu.

– Bardzo proszę, niech pani już idzie.

Czekam teraz na Miśka i Lilę. Mam nadzieję, że trafią na innego policjanta, bo ten po moim występie może nie być zbyt przyjazny. Przeprosiłam się z tabletką przeciw migrenie i czuję się znacznie lepiej. Nie jest to szczyt formy, ale nie muszę leżeć z kompresem na głowie w przyciemnionym pokoju. Czekam też na zakupy, bo w lodówce hula wiatr, a z placka nie pozostały nawet okruszki. Danka o to zadbała. Właśnie zeszła na dół. O ich udziale w aferze nikt nic nie wie, więc na razie nie będą ciągani na przesłuchania.

– Danka, a co jeżeli Antoni przyjedzie, przywiezie list i pojedzie sobie? Bo chyba jednak jest w posiadaniu listu albo doskonale zna jego treść.

– A co ma być? To jest przestępca, zlecił zabicie Grochowskiego. Nawet jeżeli nam teraz żadnej krzywdy nie zrobi, to nie możemy go sobie ot tak puścić. Poza tym, było nie było, dowodzi szajką przestępczą.

– Ha, ha, jak Harnaś – roześmiałam się i opowiedziałam Dance przebieg swojego przesłuchania.

– No tak – uspokajała się długo, w końcu jakoś doszła do stanu względnej powagi – są policjanci i policjanci, ale ty też błyskotliwością się nie popisałaś.

– Bolała mnie głowa, a w momencie kiedy się zorientowałam, że go wkręcam, to nie umiałam sobie odmówić tej przyjemności. Powiedz mi, Danka, czy bandyci sami robią sobie te wszystkie „narzędzia” czy gdzieś kupują? Bo ten ktoś, kto robił sobie tę zgrabną pałkę, to stolarski mistrz świata. Mówię ci, wytoczona idealnie, taki kręgiel, ze skórzanym paskiem na rękę jak przy kijkach narciarskich. W środku metalowy rdzeń, chyba po to, by była cięższa. Mówię ci, cudeńko. Mogłabym taką nosić w torebce, jak ty swój pistolet.

– Czy ty normalna jesteś? Po co ci pałka w torebce?

– Do tej pory myślałam, że po nic, ale też nikt wcześniej nie dybał na moje życie.

Pojawił się rozczochrany Łysy. Zajrzał odruchowo do lodówki, przeszedł się do spiżarni i nie znalazłszy nic do jedzenia, westchnął bardzo nieszczęśliwie.

– Macie chociaż kawę?

– Mamy i płatki z mlekiem, zrób sobie w mikrofali, jeśli lubisz ciepłe.

– Ty słyszysz? – Danka naprawdę się przejęła. – Ona chce w torebce nosić pałkę do samoobrony!

– Głupi pomysł. Pogadaj z Tomkiem, jak załatwić gaz albo paralizator. Do takiej pałki to trzeba mieć siłę, a ty chuchro jesteś. Gdzie te płatki?

Danka z dezaprobatą pokiwała głową, nie tego oczekiwała. Podała Łysemu płatki, poczekała na puste opakowanie i skrupulatnie zaczęła wyjadać pozostawione kukurydziane okruchy.

– Cały czas zastanawiam się, gdzie tych chłopaków schować. Schody i gabinet odpadają, musi to być miejsce, z którego będą mogły szybko wylecieć i zareagować w razie czego.

– Otworzymy drugie skrzydło drzwi do ogrodu i zasuniemy rolety. Chłopaki będą mogły stać za nimi na tarasie.

– Muszę tylko uprzejmie zaprosić Antoniego, by usiadł razem z nami w salonie – dodałam z goryczą. – Danka? Dlaczego ty zawsze wyżerasz wszystkie resztki?

Popatrzyła na mnie i wzruszyła ramionami.

– Lubię.

Na pewno w poprzednim wcieleniu była, jeżeli nie Spartanką, to na pewno mieszkanką jakiegoś miejsca w Lakonii, bo zwięzłość jej wypowiedzi budzi nieraz mój niekłamany podziw. Darek tylko leciutko się uśmiechnął nad miską płatków, ale to mi wystarczyło, żeby zrezygnować z drążenia tematu.

– Jak tam nasi więźniowie? Nie powyjadali mi z głodu wszystkich słoików z ogórkami?

– Są związani, więc nie mogą. Dopominają się tylko o fajki. Ten z orlim nosem prawie umiera, taki ma syndrom odstawienia nikotyny. I po co jakieś tam tortury? Założę się, że za fajkę powiedzieliby wszystko. Co ty mówiłaś wcześniej? Racja, ogórki!

Hurra! Nie umrzemy z głodu, bo na szczęście właśnie zajechała Lila z Miśkiem leżącym na tylnym siedzeniu. Ostrożności nigdy za wiele, kto wie, czy Antoni nie czai się gdzieś w krzakach. Wysiadł dopiero w garażu. Zaczął rozmasowywać swoje nogi i kark, zrobił parę przysiadów i usiłował złapać się ręką za rękę na plecach. Ten kawał porządnego mężczyzny musiał się nieźle sprecelkować w tym małym samochodziku. Hm… chyba nie ma słowa „sprecelkować”. W każdym razie żal mi go było, gdy wyszedł wymiętoszony i połamany z żuczka Lili. Przytargaliśmy trzy duże torby z zakupami. Łysy właśnie kończył ostatni ogórek.

– Psiakrew! Mogłem poczekać.

Lila popatrzyła na pusty słoik.

– Po płatkach z mlekiem i takiej ilości ogórków sraczka jak w banku.

– Coś ty tam nagadała? – Misiek wszedł z kolejną torbą, z której dochodził dźwięk obijających się butelek. – Już w progu usłyszałem, żebym czasami nie mówił o Harnasiu.

– Ja trafiłam na innego – powiedziała Lila, wysłuchawszy mojej opowieści. – Mój był miły, miał ładne oczy i nie pachniał. Ponoć był wtedy z Tomkiem nad jeziorem, więc o Harnasiu nie musiałam nic mówić.

– No! Jak był, to wie, że jesteś laską Tomka. Nic dziwnego, że był miły – zarechotał Łysy.

– Nie jestem niczyją laską! A już na pewno… Co ci jest?

Łysemu tak zaczęło burczeć w brzuchu, że usłyszałam to, stojąc po drugiej stronie dość szerokiego blatu. Poczerwieniał, złapał się rękoma za brzuch, śmiesznie przy tym przykucając, ściskając uda i czerwieniejąc jak piwonia. Widzę, że biedak boi się ruszyć, ale nie umiem się powstrzymać od chichotania. Misiek walczy ze sobą, najpierw jedno parsknięcie, za chwilę drugie, i już po chwili też ryczy. Lilka z Danką dołączają do nas. Im bardziej Łysy się wścieka, tym większy śmiech nas ogarnia. W końcu bojąc się, że to może się skończyć totalną katastrofą, pokazałam na migi drzwi i wybiegliśmy do ogrodu.

– Moglibyśmy tak nakarmić tych w piwnicy – śmiała się ciągle Danka.

Dziwne, ale mi momentalnie przeszło, gdy tylko wyszliśmy. Lila z Miśkiem też wyglądają na uspokojonych. Już od czasów szkoły podstawowej zastanawiało mnie, dlaczego tak jest. Pani nauczycielka nie raz wywalała nas za chichoty podczas lekcji. Człowiek dostawał głupawki i nie mógł się uspokoić, ale tylko do chwili wyjścia na korytarz. Na korytarzu wszystko natychmiast mijało, do momentu ponownego wejścia do klasy. Można było w ten sposób wylecieć z lekcji kilka razy z rzędu.

Gdy wróciłam do domu, bojąc się kolejnego napadu śmiechu, Łysego już nie zastałam w salonie. Udało mu się jednak ruszyć i na pewno przez długi czas będzie okupował łazienkę. Poukładałam na tacy owoce, ciastka, zaparzyłam dzbanek kawy. Pofolgujemy sobie za te godziny przymusowej głodówki. Pomyślałam nawet, żeby do piwnicy też zanieść trochę jedzenia, ale przecież są związani, a karmić ich nie będę. Wytrzymają do wieczora. Cały czas mam nadzieję, że dzisiaj się wszystko wyjaśni, że Antoni okaże się trochę bardziej

przyzwoity, niż myślimy. Szkoda mi Miśka, tak bardzo się cieszył z odnalezienia krewnych. Przełknął fakt, że Max okazał się draniem, ale uważał go za ofiarę manipulacji Grochowskiego. Potem najwyraźniej polubił pana Stanisława i ciągle miał nadzieję, że to nieporozumienie, które jakoś da się wyjaśnić. Po jego śmierci utwierdził się w przekonaniu, że to ktoś obcy kieruje tym wszystkim. Prawda musi być dla niego bardzo ciężka.

W drodze do ogrodu minęłam się z Danką.

– Jak tam łysa pała, żyje?

– Jest w łazience, ale nie radziłabym zaglądać. A ty dokąd się wybierasz i po co ci drugi kask?

– Jadę po Tomka. Nie będzie przecież przemykał krzakami. – Spojrzała na mnie, mrużąc oczy, i spytała nieco ciszej: – Zadowolona jesteś z tego romansu Lili? Tomek to bardzo fajny chłopak, nie chciałabym, żeby go ktokolwiek krzywdził. Nie twierdzę, że mogłaby to zrobić celowo, ale wiesz, jak jest. Na brak zainteresowania to ona nie narzeka.

Ostrożnie odstawiłam tacę na stolik. Wzruszająca jest ta troska o przyjaciela, ale to jest właśnie cała Danusia. Wyciągnęłam w jej stronę paczkę papierosów, ale pokręciła przecząco głową. Zapalę sama.

– Danuśka, przypomnij sobie Lilkę sprzed tygodnia. Apodyktyczna, zarozumiała plastikowa lalunia, bez krzty poczucia humoru. A teraz? Teraz to fajna, wesoła siostra. Złośliwa, ale w zabawny sposób. Wredna to ona jest od urodzenia i chyba nic już tego nie zmieni, ale taką wredność to ja nawet lubię. Jak myślisz, czyja to zasługa? Moja na pewno nie. Pierwszy raz ją taką widzę. A najważniejsze jest to, że ona też siebie taką lubi. Przed Tomkiem nie musi udawać, bo wie, że Tomek zakochał się w prawdziwej Lili, nie tej na pokaz. Ja tam życzę im szczęścia.

– Ja też. Sorki, że pytam, przecież też to widzę, ale musiałam się upewnić.

– Chyba byłabym zawiedziona, gdybyś nie pytała – zaśmiałam się. – Jedź po niego szybko, bo i on, i Lila dołączą do Łysego w łazience. Ciągle gapi się na zegarek, ale pewnie nie o obiad jej chodzi.

Chwyciła z powrotem odłożone na podłogę kaski i pobiegła. Po chwili usłyszałam odjeżdżający motor. Podnosiłam tacę, gdy rozległ się dzwonek telefonu. No nie! Doniosę ją w końcu?

– Misieeek! Telefon! Odbierzesz?

W ogrodzie dzisiaj jakoś jesiennie, niby słońce świeci, jest gorąco, ale jakoś inaczej. No cóż, za parę dni koniec wakacji. Westchnęłam sobie ciężko i nalałam kawę do filiżanek. Dzisiaj pijemy kulturalnie. Muszę się mentalnie przygotować do udawania przed Antonim damy.

– Dobrze, że Antoni mówi po polsku. Nie wyobrażam sobie, że musiałabym dukać po angielsku, dopiero byłaby siara.

– Dałybyśmy radę. Wmówiłybyśmy facetowi, że mówimy slangiem brytyjskim. Dla Amerykanów to dosłownie język obcy, dla wielu Anglików również. Tak byśmy go zakręciły, że założę się, że by uwierzył.

Misiek wrócił do nas z taką miną, jaką przez ostatnie dni widzę u niego najczęściej, zmartwioną i złą zarazem.

– Dzwonił Antoni. Wyobraźcie sobie, że właśnie przyleciał do kraju i byłby szczęśliwy, gdyby mógł nas odwiedzić, więc upewnia się, czy będziemy w domu – zaśmiał się cierpko.

– Coś taki skwaszony?! – huknęła na niego Lila. – Trzeba się zmobilizować, a nie rozczulać nad sobą. Pomyśl tak: za parę godzin może się wszystko wyjaśnić i znowu będzie spokojnie i normalnie.

– I trochę nudno – dodał niespodziewanie i uśmiechnął się jakby z niedowierzaniem, że coś takiego powiedział. – Gdzie ta kawa?

Chyba jednak się położę. Wprawdzie głowa już zupełnie mnie nie boli, ale jakoś dziwnie się czuję. Może to sprawka obżarstwa? Przygotowaliśmy wspólnie dwudaniowy obiad. Obiad z podziałem na grupy. Grupa pierwsza: Tomek z Lilą, druga: ja i Misiek. Oni zupa, my drugie danie. Danka powiedziała, że nie po to przychodzi w gości, żeby stać przy garach i razem z Łysym oglądali *Pustkowie Smauga*.

Położyłam się na łóżku w sypialni, może uda mi się zdrzemnąć z pół godzinki?

Drzwi otworzyły się z hukiem.

– Czyś ty zwariowała? – Lila z rękami pod boki przyjrzała mi się groźnie, marszcząc brwi. – Leżysz sobie, a wszystko niby samo się przygotuje?

– Co niby ma się przygotować? Mam upiec tort na cześć drogiego gościa? Czy zmienić pościel w pokoju gościnnym? – zadrwiłam.

– Z pościelą przeginasz, ale tort to niegłupi pomysł. Pomyśl! Udajemy, że nie wiemy o niczym! Co się robi, kiedy ma przyjechać kochany, cudem odnaleziony krewny z Ameryki? Przyjmujesz go w krótkich portkach, bluzce na ramiączkach i częstujesz kawą?

– Jezu, masz rację. – Wstałam z pośpiechem. – Idziemy. Mów, co robić, bo ja zamulona jestem. Niestety, chyba stres nie działa na mnie mobilizująco.

– Ciotka? – Danka patrzyła z zadartą głową, jak schodzimy na dół. – Mogę ci powycinać z ogrodu trochę kwiatków? Te od Tomka już zdechły.

– Jasne, dziękuję, dziewczyny… i chłopcy – dodałam, bo Darek właśnie wycierał kieliszki do wina. Lśniły jak w reklamach preparatów do zmywarek. – A gdzie reszta? – Rozejrzałam się.

– W ogrodzie, opracowują taktykę. Jak tylko skończę wycierać, to zaniosę im po piwku. Masz jakiś lniany woreczek?

– Coś się znajdzie, a po co ci woreczek?

– Nakopię ziemi w ogródku i damy Antoniemu, żeby zabrał sobie do Ameryki. No co? Przecież tak się robi.

– Chyba w filmach o Kargulu i Pawlaku, zakuta pało! – Danka z niedowierzaniem pokręciła głową. – W życiu bym na coś takiego nie wpadła.

– Wyluzuj. – Lila krytycznym wzrokiem dokładnie zlustrowała pokój, sprawdzając, co należy jeszcze uprzątnąć i poprawić. – Im śmieszniej, tym lepiej. Chyba jest już okej, żarcie i napitki przygotowane stoją w spiżarce. Jeszcze my się musimy ogarnąć, bo wyglądamy jak obsada *Nędzników*.

– Zaglądał ktoś do piwnicy, sprawdził, czy żyją? Może trzeba ich jakoś wysikać, siedzą tam od wczoraj.

– Chłopacy już się chyba tym zajęli. – Lila podeszła do bukietu skomponowanego z najróżniejszego ogrodowego kwiecia, wysunęła milimetr wyżej gałązkę asparagusa, odeszła parę kroków, by lepiej mu się przyjrzeć, i kiwnęła głową, zadowolona. – Dobra! – Klasnęła w dłonie. – Na górę, robić się na bóstwa! A ty, Łysy, póki pamiętamy, spuść rolety na drzwiach do ogrodu.

Capo di tutti capi

– *Capo di tutti capi* zajechał! – ogłosiła Lilka, która od godziny wyglądała przez okno.

Podbiegłam do niej i wyjrzałam zza firanki. O cholerka! Gdybym musiała znaleźć obsadę do filmu *Wielki Gatsby – czterdzieści lat później*, to miałby główną rolę zapewnioną. Szkoda, że to drań, bo fajnie byłoby mieć takiego kuzyna. Wszystkie ciotki, stryjenki i babcie zakochałyby się od pierwszego wejrzenia. Szpakowaty, wysoki, szedł sprężystym krokiem dwudziestolatka, niosąc w jednej ręce ogromny bukiet czerwonych róż, w drugiej skórzaną aktówkę. Stanął na schodach przed drzwiami, odstawił teczkę, przeczesał palcami włosy i obciągnął jedwabną marynarkę. Chce zrobić jak najlepsze wrażenie albo po prostu jest typem dandysa. Zadzwonił.

– Otwórz mu. – Lilka pchnęła mnie w stronę przedpokoju. – I zetrzyj to przerażenie z twarzy.

Odetchnęłam głęboko i ruszyłam na sztywnych nogach. Danuśka i Darek siedzieli na kanapie, dziwnie milczący, i uspokajającym kiwnięciem głów zachęcali mnie do działania. Trudno, przecież muszę w końcu otworzyć te pieprzone drzwi.

– Witam. – Zmusiłam się do serdecznego uśmiechu, podając rękę na powitanie. – Długo czekaliśmy na ciebie.

Popatrzył na mnie orzechowymi jak u Miśka oczami, zignorował moją wyciągniętą dłoń i przytulił mocno. Z minutę trwałam w jego uścisku, w końcu delikatnie się uwolniłam.

– Och, sorry! – Oślepił mnie bielą uśmiechu. – Ja bardzo, bardzo, bardzo przepraszam, ale takie spotkanie! Ja tak długo czekałem na rodzina z Polski. – Podał mi bukiet i bez ceregieli wszedł do salonu. Podszedł do Danki i Darka. – Rodzina? Przyjacieli?

– Tak, to moi przyjaciele – przedstawiłam ich, gdy tylko wstawiłam bukiet do wazonu. – A to moja siostra Lila.

Przywitał się z nimi uściskiem dłoni, a na Lilę popatrzył z uwagą, podnosząc do góry brwi.

– To Lila to też rodzina! – roześmiał się i powtórzył numer z przytulaniem.

Lilka wzniosła oczy ku niebu, ale powstrzymała się od złośliwego komentarza lub innej, typowej dla niej w takiej sytuacji reakcji. On tymczasem rozsiadł się wygodnie na kanapie, tak by mieć nas naprzeciw siebie, rozejrzał się z ciekawością po pokoju, a teczkę położył obok stóp na podłodze.

– A gdzie reszta? Nie ma? Mąż, córka? Ja tak bardzo, bardzo liczyć, że oni tu wszyscy razem, z nami.

– Niestety, Maja nad morzem, ma jeszcze wakacje, a Misiek musiał pojechać na ważne spotkanie, nie udało mu się go odwołać. Gdybyś nas zawiadomił wcześniej o swoim przyjeździe, to inaczej byśmy to zorganizowali, a tak jest, jak jest.

– Maja to wiem, ale co to jest Misiek?

– To jej mąż, a twój kuzyn – wtrąciła się Lilka – tak wszyscy na niego mówimy. Czego się, Antek, napijesz? Kawa, wino?

– Antek? – Pokiwał głową ze smutkiem. – Mówił tak do mnie Staszek. To był mój przyjaciel prawdziwy z Polska, jedyny przyjaciel.

Wbrew temu, co mówił Tomek, jego polszczyzna była bardzo poprawna. Problemem był tylko sposób mówienia. Miał tak mocny akcent, że polskie słowo przez niego wymówione brzmiało zupełnie obco. Myślę, że to kwestia przyzwyczajenia i po jakimś czasie rozumielibyśmy go doskonale. Mam jednak nadzieję, że okazji ku temu nie będzie.

Lila nie czekała jednak, na co zdecyduje się Antoni. Przyniosła kawę, wino i nalewkę w kryształowej prostokątnej karafce.

– Ogromnie mi przykro, że spotykamy się w tak smutnych okolicznościach. To musi być dla ciebie bardzo ciężki okres. Najpierw Max, teraz pan Stanisław. Jak ty to znosisz? – Mam nadzieję, że nie zauważył udawanej troski w moim głosie i tego, jak wszyscy wpatrują się w niego z napięciem, czekając, co odpowie.

– Czy to te schody? – Wskazał je ręką.

– T… tak. – Zaskoczył mnie skubaniec i na chwilę straciłam rezon, ale zaraz dodałam: – Ciekawi mnie, dlaczego wybrał taki oryginalny sposób zawarcia z nami znajomości?

– Ach, to Staszek. Nie wiedziałem, że to zły człowiek był. Dla Maxa i dla mnie to przyjaciel. Max bardzo chciał odnaleźć rodzina i dziwny jestem, że tak się stało.

– Chciałeś powiedzieć chyba „zdziwiony” – roześmiała się Lila, podając mu szklankę z nalewką, lecz on podniósł dłoń w geście protestu. – Ale to głupstwo. Najważniejsze, że w końcu spotkaliśmy się i możemy sobie wszystko wyjaśnić.

Jedno skrzydło drzwi na taras poruszyło się, spojrzałam zaniepokojona, czy z naszego miejsca na pewno nie widać ukrytych chłopaków.

– Antoni, proszę cię, powiedz, co wiesz o tej sprawie. Wyjaśnij nam to, bo wokół nas dzieją się rzeczy, w których nie widzimy najmniejszego sensu. – Trudno, nie będę tego przeciągać, niech się dzieje wola nieba, jak to pisał mąż wrednej Zośki.

Zrobiło się cicho, czekaliśmy prawie w bezruchu. Prawie, bo Danuśka przysunęła nogą bliżej siebie swoją torbę.

– Sprawa jest bardzo *very simple*. Macie bardzo, bardzo dużo schowane pieniądze. Gdzie schowane było w liście.

– Wiedziałam! – wyrwała się Lilka. Spojrzała przepraszająco i golnęła jedną trzecią szklanki nalewki.

Jestem nienormalna. Nie zrobiła na mnie najmniejszego wrażenia wzmianka o pieniądzach. Pomyślałam za to, że jeżeli jeszcze raz powtórzy „bardzo, bardzo”, to chyba zrobię użytek z pistoletu Danki i zastrzelę go tutaj, na mojej kochanej kanapie.

– Zaraz, zaraz, coś mi się nie zgadza. Po pierwsze twierdziłeś, że nie wiesz, co w nim było, a po drugie skoro miejsce schowania było wskazane w liście, to dlaczego po prostu sobie tego nie ukradli, tylko prześladowali nas. Mieli przecież tyle okazji. Nie niszczyliby mebli, mam rację?

– Masz – odezwał się niespodziewanie Łysy, który do tej pory był milczącym świadkiem wydarzeń. – Coś tu mi śmierdzi na kilometr.

– Śmierdzi? Mi nic nie śmierdzi. – Antoni pociągnął nosem.

Nie wiem, czy się zgrywał, czy mówił poważnie. Wszystko jedno, zaczyna mnie najnormalniej wkurzać. Wygląda tak, jakby ta cała sytuacja była dla niego bardzo zabawna.

Antoni schylił się po swoją teczkę, położył ją sobie na kolanach i powolutku otworzył. Górna jej część zasłaniała mi zawartość, więc wyciągnęłam szyję, licząc na to, że jednak coś zobaczę.

– Tak naprawdę to w liście jest, kto wie, gdzie pieniądze. – Wyjął z teczki dużą kopertę. Przymknął teczkę z powrotem, a kopertę położył na niej. Prawą rękę włożył z powrotem do środka.

– Staszek mi powiedział, że wy nic nie wiecie, ale w liście jest inaczej. Wy pewnie wiedzieć, ale sprytni nie mówicie nikomu. Ja też jestem sprytny, mocno sprytny, nie taki jak Staszek. – Jego głos stał się nagle zimny i beznamiętny.

Niewiarygodne, jak ludzie umieją się zmieniać. Antoni sprzed paru sekund w niczym nie przypominał tego zimnego, antypatycznego drania. Jego oczy stały się chłodne, twarz kamienna i bezduszna jak maska.

– Ja nawet wiem, gdzie Misiek, gdzieś tu, prawda? – Rozejrzał się i wyjął rękę z niedomkniętej teczki. W ręku trzymał pistolet. Matko! Dwa razy większy od pistoletu Danusi. – Misiu! Misiu, gdzie jesteś? Chodź ze swoim kolega, bo twoja żona może być bardzo, bardzo smutna kobieta. – Skierował lufę w moją stronę, uśmiechając się paskudnie.

Drzwi tarasowe drgnęły i pojawili się Misiek z Tomkiem.

– Okej, jesteśmy. Przestań, draniu, celować w moją żonę!

– Siadać! Tam obok tej dziwnej rudej kobiety. Co, lubisz swoją torbę? Kopnij ją do mnie. – Danka z nienawiścią w oczach wykonała polecenie. – Staszek mówił, ty policjantka. Myślałem, że wy też policja. – Wskazał lufą Tomka i Miśka. – Ale poszłem za wami.

– Poszedłem… – nie wytrzymałam.

– Wasz pies jest bardzo, bardzo miły, tylko cieszył się, jak weszłem do ogród i zajrzałem do piwnica.

– Wszedłem.

– Potem dodałem dwa i dwa. – Zignorował mnie zupełnie. – Ty, Misiek, świetnie mówisz po angielski. Tak jak prawdziwy dżentelmen. Ja mam dobra pamięć do angielski akcent.

– I co z tego? – Misiek wzruszył ramionami.

– Ty w angielski jesteś jak ryba w rzece, nawet nie widziałeś, jak ja do ciebie po angielski mówię na korytarzu i odpowiadasz mi po angielski. A ja już słyszałem przez telefon taki akcent.

Z Miśka uszło powietrze jak z przekutego balonu. Jak do tej pory nic nie szło po naszej myśli. Myśleliśmy, o naiwni, że panujemy nad sytuacją, a teraz siedzimy sterroryzowani przez jednego palanta.

– Teraz grzecznie mi opowiedziecie, gdzie te monety są.

– Jakie monety? – Nie rozumiałam nic, kompletnie nic.

– Ty, głupia, czy chcesz, żebym ja myślał, że ty głupia? List mówi, że wiecie!

Widziałam, jak ze złości zacisnął szczęki. Lepiej go nie drażnić. Ale co ja mam zrobić, skoro naprawdę nie wiem nic o żadnych monetach?

– Słuchaj, Antoni, może byłoby nam dużo łatwiej, gdybyś przeczytał nam ten list. My nie wiemy, o czym ty mówisz – próbował ostudzić emocje Misiek. – Może jak poznamy jego treść, to razem znajdziemy rozwiązanie zagadki.

Antoni zastanawiał się przez chwilę, a Lila patrzyła na nas po kolei, robiąc miny, które można by zinterpretować: „Zróbmy coś, do diabła!”.

– Masz, czytaj. – Podał jej kopertę.

– Dlaczego ja? Okej, już czytam.

Kochana Maju,

wiem, że wyrosłaś na piękną i mądrą kobietę. Kiedy czytasz ten list, mnie już nie ma. Ale to wcale nie znaczy, że nie ma mnie przy Tobie. Wierzę, że po śmierci, gdzieś tam, w niebie, będę miała miękki fotel, w którym siedząc wygodnie, będę mogła patrzeć na Ciebie i czuwać, żeby nic złego Ci się nie przytrafiło. Jestem prostą kobietą i nie umiem napisać tego, co czuję. Chcę, Maju, abyś wiedziała, że jesteś mi najdroższa na świecie. Jesteś promieniem słońca, który Pan Bóg zesłał mi, kiedy już

myślałam, że pozostała mi tylko smutna starość. Twoja radość życia, Twój śmiech, Twoja fantazja i wiara w magiczny baśniowy świat sprawiły, że i moje życie stało się kolorowe. Zadbałam o Twoją przyszłość, tę przyziemną, do której na pewno nie miałabyś głowy, bo zaprzątasz ją sobie innymi sprawami. Umrę spokojniejsza, wiedząc, że chociaż w ten sposób mogę ułatwić Ci start w dorosłym życiu. Pamiętaj. Pewien mądry człowiek, Novalis, powiedział, że „najwyższe dobro zawiera się w sile wyobraźni". Ty masz tę siłę, widziałam ją w Tobie już wtedy, gdy byłaś malutka. Twojej przyszłości strzegą ci, którzy od dziecka patrzą, jak dorastasz. Oni Ci powiedzą w odpowiedniej chwili. Kocham Cię, Wnusiu – prababcia Zofia

PS Ten list odda Ci pewien młody człowiek, to Twój kuzyn, którego odnalazłam po wielu latach. Przyjmij go jak brata i pokochaj. Pamiętaj, że rodzina to najlepsze, co człowiek ma w swoim życiu. Noś w swoim sercu obraz rodziny.

Lila czytała, a mi łzy płynęły ciurkiem po policzkach.

– Przyjmij go jak brata i pokochaj – głos Miśka przerwał ciszę, która nastała. – Jakim ty człowiekiem jesteś, Antoni? Czy rodzina nic dla ciebie nie znaczy? Czy warto było poświęcić syna i przyjaciela dla wyimaginowanego majątku? Rozczarujemy cię, kuzynie. Nikt z nas nie ma zielonego pojęcia o żadnych monetach. Ubzdurałeś to sobie, masz chorą, spaczoną wyobraźnię.

– Dupek, i tyle. – Lila złożyła starannie list i podała go Miśkowi. Antoni chciał zaprotestować, lecz Lila uprzedziła go. – Adresatem tego bardzo osobistego listu jest córka jego i mojej siostry, nie waż się im go zabrać. – Wstała, podeszła do stolika i nalała wino do stojących na tacy lampek.

– Siadaj na miejsce. – Antoni skierował w jej stronę lufę pistoletu.

– A jak nie usiądę, to co? Zastrzelisz mnie, dupku?

– Lilu, proszę cię, usiądź – powiedział łagodnie Tomek. – To nic nie da.

Usiadła obok mnie i złapała za moją rękę. Miała wilgotną dłoń, wiedziałam, jak bardzo się denerwuje.

– Wiem, że to macie. Staszek mówił, że jego tata wiedział o monety waszej babci. Bardzo, bardzo dużo. Jak nie wiecie, to poszukacie w liście. Ta stara jędza na pewno napisała coś, gdzie to jest.

– Powiedz tak o mojej babci jeszcze raz, a nie ręczę za siebie – syknął Misiek przez zaciśnięte zęby.

– Właśnie, Staszek. Mówiłeś, że to twój przyjaciel. Dlaczego kazałeś go zabić? Tak traktujesz przyjaciół? Musisz być bardzo samotnym człowiekiem – zagadałam szybko, dając Miśkowi czas na ochłonięcie. Nie wiem dlaczego, za wszelką cenę chciałam przeciągnąć rozmowę. Mamy list, to najważniejsze. Trzeba grać na zwłokę, może wydarzy się cud i nagle wpadnie jakaś brygada antyterrorystyczna, może Antoni dostanie ataku serca, a może spłynie na niego Duch Święty i zamieni go w przyzwoitego człowieka? Nie wiem, na co liczę, ale czuję, że to nasze jedyne wyjście.

– Staszek to stary, głupi człowiek. Już unsuitable w interesy, już bardzo, bardzo przestraszony. On łatwo uwierzyć, że wy tacy dobrzy ludzie jesteście.

Poczułam, jak Lila ściska mnie za rękę. Podążyłam za jej wzrokiem i spojrzałam na Tomka. Siedział skupiony, ale nie słuchał tego, co mówimy. Nasłuchiwał czegoś innego i porozumiewał się wzrokiem z Danuśką. Wymieniali się spojrzeniem, najwyraźniej dając sobie jakieś znaki, których, niestety, nie rozumiałam, ale napawały mnie nową nadzieją.

– W pierwszej rozmowie wspominałeś, że babcia zrzekła się na waszą korzyść niezłego majątku. Czy tak okazujesz wdzięczność?

– Wdzięczność? – Roześmiał się głośno. – Dała to, co nasze było zawsze. Za późno. Moja matka była bardzo, bardzo biedna, długo. Moje studia zapłacił Staszek. On był młodszy od mojej matki, ale on chyba zakochany był.

– Słuchaj, Antoni. – Misiek w odróżnieniu ode mnie uderzył w bardziej pojednawczy ton. – Może spróbujemy rozwiązać to jakoś wspólnie, bez pistoletów i gróźb, w końcu jesteśmy rodziną.

– Jak to się u was mówi? Rodzina to dobra jest z tobą na obrazku.

– Ach! – nie zdążyłam się powstrzymać.

Antoni zareagował błyskawicznie, wymierzył we mnie, zmrużył oczy i spytał:

– Dlaczego „ach”?

– Siostra jest chora. O dwudziestej pierwszej musiała wziąć antybiotyk i właśnie to przegapiła. – Lila podniosła się z kanapy. – Jeżeli pozwolisz, podam jej.

Nie wiem, czy w to uwierzył, ale skinął głową na znak zgody.

– Ale będę widzieć cię?

– Oczywiście. – Podeszła do szafki kuchennej i otworzyła szufladę, w której trzymam najróżniejsze suplementy diety, skrzypy i widłaki. Po chwili podała mi szklankę wody i jakąś dużą brązową tabletkę, podejrzewam, że na wzmocnienie włosów i paznokci. Antoni jeszcze jakąś chwilę przyglądał mi się badawczo, ale najwyraźniej dobrze udawałam zupełny spokój, bo na moment przestał się mną zajmować.

– Rodziny nie było tyle lat, że wy to nie rodzina dla mnie. Jak miałem list, to powiedziałam Staszkowi. On mówił mi o tym, jak wszystkie monety były mojego ojca i należą do mnie. Wy to złodzieje, wasza babka to złodziej.

No nie, zaraz wstanę i przyłożę mu czymś ciężkim. Dlaczego Misiek pozwala mu tak mówić? Gdyby nie ten zafajdany pistolet! Nigdy nie zgadłabym, jaki ogromny strach wzbudza w człowieku broń skierowana w jego stronę. Misiek jednak wie, co robi, nie chcąc go prowokować. Wystarczy moment, by doszło do tragedii. Poza tym znam go dobrze i widzę, że też jest rozkojarzony, jakby na coś czekał. Co chwila ukradkiem patrzy w kuchenne okna i charakterystycznie podnosi głowę, jak ktoś nasłuchujący czegoś.

– To trochę dziwne – powiedziałam, starając się odwrócić jego uwagę od innych. Jeżeli ja widzę ich podejrzane zachowanie, to równie dobrze i on może to zobaczyć. – Czytałam listy Alberta pisane do Zosi już po jej przyjeździe do Polski. Były pełne miłości i tęsknoty, a nie posądzeń o kradzież. Czy nie przyszło ci do głowy, że Grochowski to wszystko wymyślił, żeby namówić cię do pomocy w zagarnięciu tych hipotetycznych monet? To nie był dobry i uczciwy człowiek. Zosia szukała was długo, to prawda, ale to Grochowski opóźnił poszukiwania, twierdząc, że nic nie wie o Albercie i jego dziecku. Nie przyznał się do kontaktu z wami. To jego powinieneś winić za tę zwłokę, a nie naszą babcię. – Zerknęłam na Miśka. Przymknął powieki i leciutko kiwnął głową na znak, że dobrze mi idzie.

– Już nieważne jest. Teraz koniec, ja mam krótki czas.

– Przecież nas nie pozabijasz wszystkich, nic ci to nie da, przez to nie dowiesz się, gdzie to jest.

– Wszystkich nie, ale jak ciebie, to mąż powie. Możemy przekonać się. A ty, chudy – wskazał Darka – pójdziesz po moich *colleagues*. Ja za trzy godziny wracam. Ja mam krótki czas i wy macie krótki. Szybko, szybko – ponaglił Darka, który ociągając się, wstał z kanapy.

Boże, co tu robić? Przecież jak te dwa draby tu przyjdą, to już po nas. Myśl, kobieto, myśl!

– Harnaś! – zawołałam i po trzech sekundach Harnaś wbiegł przez otwarte drzwi ogrodowe. Usiadł trochę zdezorientowany, bo w salonie było naprawdę dużo ludzi. Wstał

podbiegł do każdego po kolei, zamerdał ogonem i znowu usiadł, czekając na jakiekolwiek polecenie.

– Ha, ha. Twój pies jest bardzo, bardzo miły. Ja wiem, ja go już znałem i Staszek mi mówił – powiedział z politowaniem, wykrzywiając złośliwie swoją przystojną twarz.

Jak go zmusić do wstania? Co tu wymyślić, żeby podniósł swój pieprzony tyłek? Zerwałam się z kanapy na równe nogi.

– Mam to głęboko gdzieś! Idę sobie stąd, a wy róbcie, co chcecie! – krzyknęłam trochę bez sensu.

– Siadaj! – wrzasnął zaskoczony Antoni, podnosząc się i wyciągając pistolet w moją stronę.

– Aport! – zawołaliśmy z Miśkiem na trzy cztery. Harnaś skoczył w kierunku jedynego przedmiotu nadającego się do pełnienia funkcji patyczka i uciekł do ogrodu z nadzieją, że ktoś będzie chciał mu go zabrać.

Zbaraniały Antoni patrzył najpierw na swoją pustą rękę, w której przed sekundą dzierżył śmiercionośną broń, potem na nas, jakby z pretensją, jak mogliśmy mu coś takiego zrobić. Danuśka z Tomkiem po chwili konsternacji rzucili się na Antoniego w tym samym czasie co Misiek, ja stałam jak głupek, nie wierząc, że udało mi się to zrobić, a Lila poleciała za Łysym, który zdążył zejść do piwnicy.

Tomek wyszedł na taras i krzyknął do ciemności w ogrodzie:

– Zabierzcie psu pistolet, tylko ostrożnie, nie wiem, czy jest zabezpieczony!

– Tak jest! – Usłyszeliśmy w odpowiedzi i nagle cały ogród rozbłysnął kilkunastoma światłami latarek. Lila wróciła z Łysym, który powinien znaleźć się w księdze rekordów jako człowiek najwolniej schodzący po schodach. Podbiegła do Tomka i głośno ucałowała go w obydwa policzki.

Danka skuwała Antoniego czarodziejskimi kajdankami z czarodziejskiej torby, a Misiek trzymał go za poły marynarki i przez chwilkę miałam wrażenie, że zaraz da mu „z dyńki". Zrezygnował jednak, a jego mina świadczyła o tym, że zrobił to bardzo, bardzo, bardzo niechętnie.

W domu zaroiło się od obcych ludzi, a każdy z nich pytał o wszystko Tomka: „To ten, panie inspektorze?", „Gdzie, panie inspektorze?", „Co z nimi, panie inspektorze?". Tomek komenderował, a Lila pękała z dumy. Po chwili pojawił się policjant z pistoletem zamkniętym w przezroczystym woreczku.

– Muszę jechać – powiedział Tomek przepraszającym tonem, bardziej do Lili niż do nas. – Wpadnę jutro, najszybciej, jak będę mógł. – I pocałował ją, nie bacząc na obecność połowy składu osobowego komendy policji.

– No, robaczki, my też spadamy, rano przyjedziemy. – Danka z Darkiem uściskali nas wszystkich po kolei.

Nagle zrobiło się cicho i pusto. Lila podała nam lampki z winem, usiadła po turecku naprzeciw nas i zapytała:

– Wytłumaczysz nam teraz, co to było za „ach"?

Panna Marple

Panna Marple, z książek Agaty Christie, byłaby ze mnie dumna. Piję powoli wino i napawam się tą chwilą. Ale super! Misiek z Lilą milczą, czekając, aż zechcę łaskawie podzielić się z nimi swoją wiedzą.

– No, nie wytrzymam i zaraz cię kopnę! Długo masz zamiar tak siedzieć i nic nie mówić? Misiek, zrób coś, niech się odwiesi, bo ja tu zaraz dostanę zapalenia osierdzia!

– Nie kopniesz, bo wiesz, że wtedy nic bym ci, małpo, nie powiedziała – parsknęłam. – Uzbrój się w cierpliwość. Najpierw chciałabym wiedzieć, jak, Misiu, wpadłeś na to, że mam zamiar posłużyć się naszym Harnasiem.

– To akurat było proste. Widziałem, że bez powodu go nie wołasz. Komendy „bierz go" to on chyba w życiu nie słyszał, a jedyne, co potrafi dobrze zrobić, to aportować w swój oryginalny sposób. Dodałem dwa i dwa, jak to powiedział Antoni, no i tyle. – Wzruszył ramionami.

– No właśnie. – Uśmiechnęłam się. – W zasadzie to dzięki niemu już wiem.

– Wiesz? Co wiesz? – Cierpliwość Lili zbliżała się do granicy, po której przekroczeniu mogła stać się niebezpieczna dla otoczenia, a w szczególności dla mnie. – Mówże, kobieto. Wiesz, gdzie „to" jest?!

Wzięłam głęboki oddech.

– Tak, wiem.

– Ale jaja! – Moja siostra erudytka nie potrafiła nic innego powiedzieć. – Ale jaja, naprawdę? Misiek, słyszałeś? Ale jaja!

Misiek głośno wypuścił powietrze, zamknął oczy, potarł je dłońmi i popatrzył na mnie z nieukrywaną ciekawością,

– W domu? – zapytał tylko. Przytaknęłam.

– No, mów! Co wy jacyś nienormalni jesteście? Będziecie tak siedzieć i gapić się na siebie?

– Liluś, daj nam się spokojnie napić wina, mamy co uczcić. A „to" nam nie ucieknie. Jestem wypompowana.

– No dobrze, ale ciekawość mnie zżera. Powiesz gdzie?

– Nie, ale pokażę – zaśmiałam się – zresztą, jak wam powiem, dlaczego wydaje mi się, że wiem, to sami na to wpadniecie.

– Aha, czyli wydaje ci się tylko – powiedziała z przekąsem – a było tak pięknie.

– Mów, kotku. – Misiek przysunął bliżej mnie papierosy. – A ja zrobię kawę.

– Już jak czytałaś list, miałam wrażenie, że wiem. Gdzieś tam w środku czułam to, tylko za cholerę nie umiałam tego sprecyzować. Zosia znała mnie, nawet nie zdawałam sobie sprawy, że tak dobrze. Wiedziała, na jakich nutkach ma zagrać, bym umiała to usłyszeć. List był do Majki, ale to ja miałam go przeczytać. Kiedy to do mnie dotarło, rozwiązanie było oczywiste. Przynajmniej tak mi się wydaje. A gdy Antoni swoim śmiesznym polskim wypowiedział to stare powiedzenie, że z rodziną wychodzi się dobrze tylko na zdjęciach, to jakby mnie piorun strzelił, byłam już prawie pewna. Prawie, bo pewni będziemy, gdy to sprawdzimy.

– Też znam treść listu, wiem, co tam jest, i słyszałam, co ten dupek mówił, ale za diabła nie wiem, co masz na myśli. Ja tam nie widzę żadnych wskazówek.

– Cały pic właśnie na tym polega. Nikt ich nie widzi oprócz mnie. No, może Majka by na to wpadła, ale to też wątpliwe. Co ci się kojarzy z wyobraźnią, magią, fantazją?

– Twoja jazda na temat elfów, wróżek i druidów – machnęła ręką lekceważąco – i pranie mózgu biednemu dziecku.

Misiek podał nam kawę i w skupieniu przysłuchiwał się temu, co mówimy.

– Dobrze! – pochwaliłam ją. – A teraz przypomnij sobie ostatnie zdanie z listu i to, co powiedział Antoni.

– Noś w sercu obraz rodziny – powiedział Misiek powoli – i rodzina jest dobra na obrazku. – Gdy wypowiadał te słowa, jego oczy robiły się szersze, a na twarzy malowało się coraz większe zdumienie. – Jasne! – wykrzyknął.

– Macie jakieś wyjątkowe zdjęcie rodzinne? – Lila z desperacją próbowała zrozumieć, o czym mówimy.

– Zdjęcia nie, ale obraz mamy. – Uśmiechnęłam się tryumfalnie. – Dobra, chodźmy, bo ja też umieram z ciekawości.

– Gdzie?

– Do pokoju Majki.

*

– Piękny obraz rodzinny, nie ma co – zadrwiła – to macie być wy? Nie widzę krzty podobieństwa. A ten kwiat? To już dziecko namalowałoby lepiej. – Zmrużyła oczy, jak to krótkowidz. – Co niby ma być tu wskazówką? Ta babcia to jakiś templariusz była? Tam skarb, gdzie serce twoje – wyrecytowała – żarty jakieś.

– Kwiat malowało czteroletnie dziecko, uważam, że jest śliczny. Na samym obrazie nie ma żadnej wskazówki, sama go malowałam, więc wiem. Myślę, że on cały jest istotny. Misiek zdejmij go ze ściany.

– Ale ciężki skubaniec – sapnął – jak wyście go powiesiły?

– To ta rama. Myślałam, że sama w sobie jest taka ciężka, ale teraz mam inne podejrzenie. Odwróć go.

Misiek położył odwrócony obraz na łóżku Majki. Wyglądał normalnie. Gładkie od spodu ramy, żadnych śrubek, rowków, dziurek. Nic, co mogłoby wskazywać, że coś jest nie tak. Jak to możliwe? Przecież byłam niemal pewna. Wszystko mi się tak pięknie układało w logiczną całość. Zaskoczyło mnie to, jak bardzo czuję się rozczarowana. Lila zrezygnowała z kpin i złośliwości. Widziała mój ogromny zawód, podeszła i pogłaskała mnie po ramieniu.

– Nie martw się, jak nie tu, to gdzie indziej znajdziemy.

– Nie tak szybko, dziewczyny. – Misiek kucnął przy łóżku. Oglądał ramę, prawie dotykając ją nosem. – Ona nie może być taka ciężka bez powodu. To drewniana rama, nie ołowiana. Poczekajcie, skoczę po narzędzia.

Przysiadłam obok obrazu, położyłam płasko dłoń na ramie i bezwiednie zaczęłam ją głaskać. Gładziutka, nie czuję niczego pod palcami. Nacisnęłam mocniej. Czy mi się wydaje, czy wraz z moją dłonią przesunęła się środkowa część? Przypomniałam sobie dawne drewniane piórniki, które pamiętałam z dzieciństwa. Pudełko, które otwierało się, wysuwając deseczkę z małych rowków wyfrezowanych po bokach. Spróbowałam ponownie. Lila obserwowała mnie z wypiekami na twarzy.

– Dalej – zachęciła szeptem.

Powoli, z wysiłkiem zaczęłam przesuwać drewnianą listwę. Wysuwała się milimetr po milimetrze, ale jednak. Wrócił Misiek z kompletem narzędzi. Odłożył je na podłogę, podszedł i bez słowa zaczął się przyglądać temu, co robię.

– Daj, ja to zrobię.

Wysunął jedną listwę, odłożył ją na bok. Wysunął drugą. Pozostałe dwie dały się wyjąć już bez żadnego wysiłku. W środku niewątpliwie coś było, przykryte paskiem białej flizeliny. Słyszałam bicie swojego serca i przyspieszony oddech Lili. Misiek powoli uniósł białą otulinę.

– Co to jest?

– Czworaki, cztery dukaty austro-węgierskie – wydukałam, przypominając sobie, co mówił Grochowski. – Ile tego jest?

Monety były ułożone w stosy ciasno przylegające do siebie. Misiek sięgnął po śrubokręt i podważył jeden z nich.

– Policzmy. Na kupce jest pięć monet, dłuższe boki to… raz, dwa… po trzydzieści, krótsze piętnaście. To nam daje…

– Dziewięćdziesiąt razy pięć – policzyła szybko Lila. – Wie ktoś, ile jest warta taka jedna?

– Nie mam zielonego pojęcia, ale zaraz sprawdzę. – Wpisałam hasło w telefonie, palce mi drżały, więc chwilę musiało to potrwać. – Hm… piszą, że średnio dwa tysiące.

– Jedna? O cholera, to daje, czekaj… prawie milion złotych? Nie, coś pochrzaniłam. Daj ten telefon, gdzie masz kalkulator? – Jej też latały ręce. – Dziewięćset tysięcy, lekko licząc! A jak dobrze sprzedasz, to ponad milion. Jezu! Rozumiecie to? Dociera to do was?

Nie wiem, jak z Miśkiem, ale do mnie nie dociera. Siedzę na łóżku córki ogłupiała i zdezorientowana. Śni mi się to? A jeżeli nie śni, to co ja teraz zrobię? Przecież nie zasnę już nigdy ze świadomością, że mam w domu monety warte milion złotych. Jutro wyślę Miśka, musi kupić jakiś sejf. Ale do tego czasu trzeba je gdzieś schować. O matko! Nie miała baba kłopotu, to sobie monety znalazła.

Misiek tymczasem odłożył monety z powrotem, przykrył flizeliną i zaczął zasuwać ramy. Och, jak on mnie dobrze zna. Popatrzył na mnie znowu, jak ojciec na małe dziecko.

– Przeleżały tu bezpiecznie przez tyle lat, to jeszcze parę dni im nie zaszkodzi. – Odwiesił obraz, sprawdził, czy wisi prosto, poprawił i odetchnął z ulgą.

– Chodźmy na dół, nie będę piła w pokoju dziecka, a napić się muszę. – Lilka zagarnęła mnie ramieniem. – No, siostra! Spisałaś się! Chociaż, jak tak pomyślę, to chyba też bym na to wpadła. – Roześmiała się. – Żarcik – dodała.

– Co zrobicie z taką kupą forsy? – zapytała, gdy usadowiliśmy się z powrotem na kanapie.

– Nic. To są pieniądze Majki, sama zdecyduje, na co je przeznaczy, oczywiście w odpowiednim czasie. Teraz wydałaby wszystko na schroniska dla psów i kotów. Poczekamy, aż dorośnie – powiedział Misiek.

– E tam. Znam ją i wiem, że odpali wam działkę. Żałuję tylko, że nie ma tu Antoniego, oczywiście eskortowanego i zakutego w kajdanki. Ale byłby wściekły! Tyle się nakombinował, tak namataczył i pewnie wydał niezłą kasę, żeby się do tego dobrać, a tu figa z makiem. Ja też głupia jestem. Przecież opowiadałaś mi o awanturze z tym obrazem. Jak mogłam tego nie zajarzyć?

– Ja też się nie popisałem. Wieszałem go przecież, jak robiliśmy remont u Majki. Żaden normalny obraz tyle nie waży. Ale to twoja wina. – Obrzucił mnie oskarżycielskim spojrzeniem. – Pierwszy raz słyszę o jakiejś awanturze. Wiem, że nie miałaś lekko z moją mamą, ale dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Swoją drogą, nie ma co płakać nad rozlanym

mlekiem. Muszę przyznać Lili rację, spisałaś się świetnie. Od początku wizyty Antoniego dawałaś radę. Ty, Lilka, też… – Zerknął na nią z zaciekawieniem. – Zmieniłaś się ostatnio, wiesz? I mam nadzieję, że tak już zostanie.

– Dobra, dobra. – Zaczęła machać ręką, bagatelizując słowa Miśka, ale widziałam doskonale, że wzruszyła się leciutko. – Za to ty dałeś plamę wielkości Bałtyku. Jak mogłeś się dać tak podejść Antoniemu? Czy on mówił prawdę? Rozmawiałeś z nim po angielsku?

– Jak teraz sobie to przypominam, to chyba tak. Codziennie w pracy rozmawiam z tyloma ludźmi, i to w dziewięćdziesięciu procentach właśnie po angielsku, że pewnie zrobiłem to całkiem odruchowo. Antoni to cwaniak. Wie, czym się zajmuję, i wykorzystał to doskonale. Zadbał nawet o to, by nie było przy tym Tomka, który mógłby jakoś zareagować. Ale trudno, stało się. Jak tak stałem na tym pieprzonym tarasie, to zacząłem się zastanawiać, czy czasami nie palnąłem czegoś po angielsku, ale pomyślałem, że na pewno nie, bo Tomek by mi o tym powiedział. A tak nawiasem mówiąc, to ogromnie się cieszymy, że jesteście parą. – Uśmiechnął się do Lili.

– Bla, bla, bla, nie zmieniaj tematu, cwaniaczku. Czy ty też wiedziałeś o smerfach w ogrodzie?

– Tak. Czy ty myślisz, że Tomek zaryzykowałby, narażając swój skarb na niebezpieczeństwo? – Zaśmiał się głośno. – A tak poważnie, to on bardzo serio potraktował tę historię i chwała mu za to. My jakoś w swej głupiej naiwności nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jak groźny jest Antoni. Ja to już kompletny idiota jestem. Nawet jeszcze, gdy przyszedł, miałem nadzieję, że wszystko da się wytłumaczyć.

– Ale rzuciłeś się na niego, pierwsza klasa! Mój ty bohaterze! – Zarzuciłam mu ręce na szyję i ucałowałam siarczyście. – Muszę się przyznać, że ja byłam przerażona. Coś ty mi za tabletkę podała?

– Hi, hi, ale dobre to było. Zgłupiałam, jak się wyrwałaś z tym „ach”, palnęłam pierwsze, co mi do głowy przyszło. Szukałam relanium, ale znalazłam tylko jakieś witaminki. Żartuję, też byłam spanikowana, myślałam, że to koniec zabawy. Nieprawdopodobne, że dał się nabrać. Pewnie pomyślał, że nikt nie wymyśliłby czegoś tak głupiego, w związku z tym to musi być prawda.

– Jesteście świetne, jedna i druga. Jestem z was bardzo…

– Bardzo, bardzo – dodałyśmy chórem.

– …dumny – dokończył, przytulając nas. – Ale teraz czas położyć się spać. Wynocha na górę.

Tomek

Tomek, tak jak obiecał, pojawił się dosyć wcześnie rano. Wyglądał, jakby w nocy nie zmrużył oka, a już na pewno zapomniał o grzebieniu. Najwidoczniej irytowało to bardzo moją siostrę, która cały czas przeczesywała mu włosy palcami. Mnie na miejscu Tomka trafiłby szlag, ale jemu najwyraźniej się to podobało.

Jak się okazało, Antoni bardzo zręcznie wykorzystywał fakt, że jest obcokrajowcem, a do tego prawnikiem. Dwa bandziory, Zamaskowany i Orli Nos, nigdy nie widzieli go na oczy, bo wynajął ich i kontaktował się z nimi przez Grochowskiego lub jakiegoś pośrednika. Tomek zapewnił nas jednak, że z dotarciem do niego nie będzie problemu, bo ci dwaj sypią jak z nut. Zaniepokoiłam się, że Antoni zręcznie uniknie karzącej ręki sprawiedliwości, lecz uspokoił mnie, twierdząc, że mają wszystko nagrane, więc się nie wywinie. Osłupiałam, a on równie zaskoczony moim zdziwieniem szybko wyjaśnił, że przecież wszystko ustalił z Miśkiem.

– Misieeeek! Złaź tu natychmiast – wrzasnęłam.

Już schodząc po schodach, domyślił się, o co chodzi. Tomek siedział z miną wyrażającą ogromną skruchę, a ja i Lila miałyśmy na twarzach wypisaną ogromną chęć mordu.

– Dlaczego nam nie powiedziałeś? Przecież czułybyśmy się o wiele bezpieczniej. Kto jeszcze oprócz nas, dwóch naiwnych idiotek, wiedział o kamerze?

– O kamerach – poprawił mnie Misiek i zrobił oczy kota ze *Shreka*. – Danuśka i Darek też wiedzieli. – Zasłonił się ręką przed moim ciosem. – Przypomnij sobie, jak zachowywaliśmy się w ogrodzie, gdy padło hasło, że mamy być naturalni. – Cały czas chronił głowę przed moimi kuksańcami. – Łysi obiecali, że będą siedzieli cicho i grzecznie, więc im powiedziałem.

– Zostaw go – ujęła się za nim Lila. – Ma świętą rację. Świadomość obecności kamer tylko by nas usztywniła i facet od razu skapnąłby się, że coś jest nie tak.

– No, to wszystko okej? – zapytał Tomek z głupim uśmiechem. – Aha, tu macie adres kancelarii, w której wasza babcia załatwiała wszystko i zdeponowała list. – Podał nam kartkę z ręcznie wypisanym adresem. Kancelaria na szczęście miała swoją siedzibę w Krakowie, a nie w jakimś Nowym Jorku.

– Boję się dzwonić do jakiejkolwiek kancelarii. Mam dosyć testamentów, prawników i mecenasów różnej maści. Chyba na razie sobie darujemy, ale dziękujemy. – Włożyłam karteczkę pod wazon z różami od Antoniego. Mam nadzieję, że o niej nie zapomnę.

– Ten adres był w papierach Kamińskiego. Bardzo się zaniepokoił, gdy o niego zapytałem, więc pogadałem z naszym prawnikiem. Powiedziałem mu pokrótce, o co chodzi, a on wtedy wypalił z bombą.

– Jaką bombą? O czym ty do nas, człowieku, mówisz? – Lila wyjęła mi z ręki papierosa i mocno się zaciągnęła. – Co tak na mnie patrzycie? O Boże! Przecież ja już nie palę! – Wrzuciła papierosa do popielniczki. – Cholera, to przez te wszystkie bomby, trupy i tajemnice! Mów, chociaż nic mnie już nie zaskoczy. Rodzina Addamsów to przedszkole w porównaniu z rodziną mojej siostry.

– Mnie się podoba. – Tomek się uśmiechnął. – Ale wróćmy do tematu. Otóż ten prawnik powiedział, że jeżeli testament babci, sorry, waszej babci – zamotał się – no, jeżeli testament był obwarowany warunkiem, o którym Antoni wspomniał przez telefon, to możliwe jest, że to wam przypadnie cały spadek. To tak w skrócie.

– Co?! – Tym razem Misiek dał się zaskoczyć nie mniej niż ja. – A nie w skrócie, mógłbyś wyjaśnić?

– Chodzi o to, że nie spełniono warunków, otrzymania spadku. Max nie przyjechał do was, tak jak o to prosiła babcia. Nie przekazał wam listu. Nie poznał się z wami i Majką. Swoją drogą chciałbym ją w końcu poznać. Wprawdzie macie list, ale zdobyczny, że tak powiem.

Jestem w szoku, że nie jestem w szoku. To znaczy, w normalnych okolicznościach pewnie bym w nim była, ale teraz nic. Nic kompletnie. Spadek? Jasne, dlaczego nie? Latający spodek w ogrodzie, pełen Marsjan? Witam, witam, zapraszam na herbatkę. Wybuch wulkanu, plaga szarańczy? O co chodzi, to przecież normalka. Wkroczenie wojsk rosyjskich? O nie, nie przesadzajmy, to już byłoby przegięcie.

Misiek też sprawiał wrażenie bardziej zmartwionego niż szczęśliwego. Lila przerzucała wzrok to na mnie, to na Miśka. Nie bardzo rozumiała, dlaczego nie podskakujemy z radości. Tomek spoglądał wystraszony, jakby bał się, że powiedział coś złego. Hmm, ale czym ja się przejmuję? Przecież poradzimy sobie ze wszystkim. A spadek? Jak będzie, to fajnie, jak nie, to przecież i bez niego jesteśmy szczęśliwi.

– Jutro przyjeżdża Majka. Jeszcze dzisiaj mamy wolną chatę. Dzwońcie po Łysych, robimy imprezę!

*

– Jednego nie rozumiem. Wyjaśnijcie mi to, jeżeli wiecie. Kto był tym najczarniejszym charakterkiem. Grochowski czy Antoni? – zapytał Łysy.

Ulokowaliśmy się w ogrodzie, by łapać jeszcze ostatnie promienie słońca. Nadchodził wieczór, a po wczorajszym skwarze nie było śladu. Siedzieliśmy w bluzach i swetrach. Poprzesuwaliśmy wszystko bliżej grilla; grilla się nie dało, bo jest murowany. Chcieliśmy być blisko siebie. Darek nasmażył stertę placków ziemniaczanych. Planował ugotować w kociołku gulasz, ale zrezygnował, gdy zobaczył, jak rzucamy się na zimne placki. Co tam tłuste paluchy. Danuśka ma miskę ze słonecznikiem, jest szansa, że nie będzie wyjadać resztek i okruchów.

Misiek jak zwykle pełnił dyżur przy stekach i szaszłykach. Chyba mu zafunduję wysoką czapkę kucharską, będzie się ślicznie komponował z ceglanym grillem na tle zieleni czeremchy amerykańskiej. Lila z Tomkiem siedzieli przytuleni na huśtawce – i chyba zaraz im strzelę fotkę, tak ładnie wyglądają.

– Jeden wart drugiego – powiedział Misiek. – Postaram się zebrać to wszystko do kupy. Pomysłodawcą na pewno był Grochowski. Wiedział o tym prawdopodobnie od swego ojca, że babcia przywiozła do Polski monety. Dawniej to był bardzo popularny sposób na lokowanie niestabilnego pieniądza. Jako numizmatyk i historyk amator, a może i paser, doskonale orientował się, że takie monety nie wypłynęły, więc miał pewność, że nikt ich nie spieniężył. Antoni nienawiść do nas wyssał z mlekiem matki. Grochowski podsycał ją jeszcze, utwierdzając go w przekonaniu, że babcia wyparła się ich, zerwała wszelki kontakt i nie ma zamiaru nikogo szukać. Nie wiem dlaczego, ale to wyglądało tak, jakby chciał mieć ich tylko dla siebie. Dziwny, samotny człowiek. – Podszedł do grilla i polał wodą zbyt wysoki płomień. – Myślę, że Antoni mówił prawdę o tym, jak skontaktował się z Grochowskim w sprawie

listu, ale nie powiedział nam, że zdradził mu jego treść. Grochowski zobaczył szansę zdobycia w łatwy sposób niezłych pieniędzy. Aby przekonać Antoniego do swojego planu, wymyślił bajeczkę o tym, jakoby monety należały do Alberta, a babcia je po prostu ukradła. Zresztą Antoniego nie trzeba było zbyt mocno przekonywać. Otworzył przecież list i nie mamy pewności, czy to nie on pierwszy wpadł na pomysł zagarnięcia ich. W każdym razie dopiero śmierć Maxa uświadomiła Grochowskiemu, że wymyka mu się to spod kontroli. Kochał tego chłopaka jak własnego wnuka i po prostu przeraził się tym, co zrobili. Naciskał na Antoniego, by zrezygnowali ze swojego planu, jednak trafił na zdecydowaną odmowę. Antoni zdeterminowany był odebrać to, co jak sądził po rewelacjach Grochowskiego, powinno należeć do niego. Grochowski pomagał mu więc dalej, ale już bez poprzedniego zapału. Potem poznał nas, przyjechał tu i chyba niespodziewanie dla siebie samego najzwyczajniej w świecie nas polubił. Mimo ogromnych starań mojej szanownej małżonki, by tak się nie stało. – Roześmiał się.

– Szanowna małżonka od razu czuła, że śmierdzi nieuczciwością na kilometr – burknęłam. – Być może nas polubił, nawet miałam wrażenie, że chce nas w jakiś sposób chronić, ale to nie zmienia faktów. Był draniem.

– Racja. – Łysy podszedł do huśtawki i zaczął ją bujać. – Siedźcie sobie, dzieciaczki, wujek Darek was pobuja – zażartował. – Ja od razu, jak go zobaczyłem, to wiedziałem, że to drań. Mówiłem wam o tym, pamiętacie?

– Pamiętamy. – Danka wsypała do ognia łupinki po ziarnach słonecznika. – Dla nas też był podejrzaną personą od samego początku, ale… szkoda mi go jakoś.

– A mnie najbardziej szkoda Maxa. Z tego, co opowiadała Horpyna, to był fajny, wrażliwy i szczery chłopak. Na pewno było mu ciężko wybierać pomiędzy lojalnością wobec ojca i Grochowskiego a chęcią poznania swojej rodziny. Nawet Grochowski wygadał się niechcący, że Max zaczął zadawać głupie pytania na nasz temat. Lila, Danuśka, pamiętacie?

– Pamiętamy – roześmiała się Lila. – Ciekawe, jak długo będziemy się spotykać, opowiadać sobie o tym i pytać: „pamiętasz?”, „pamiętacie?”.

– Jedno jest pewne. – Misiek podszedł do stołu, nalał nalewkę do kieliszków i podał każdemu trunek. – Bez waszej pomocy ta historia na pewno nie skończyłaby się tak, jak się skończyła. Lila jesteś cudowną szwagierką. Łysy i Danusia, kochamy was. – Zerknął na Tomka i mrugnął do niego. – Ciebie też pokochamy. Wasze zdrowie!

– I Harnasia – dodałam.

– Jeszcze jedna ważna rzecz. – Darunia wyraźnie nie wiedział, jak ma nam to powiedzieć. – Bo potem po nalewce zapomnę. Tak sobie z Daną wymyśliliśmy, tylko nic sobie tam nie wyobrażajcie, ale byłoby nam miło, no i fajnie byłoby mieć taką pamiątkę…

– Darek! – ostrzegłam.

– Czy moglibyście… – Nabrał powietrza, spoglądając na Danuśkę, która ponaglała go robiąc miny. – Czy moglibyście sprzedać nam takiego jednego dukata? – Szczęśliwy, że przebrnął przez to zdanie, klapnął na leżak i patrzył wyczekująco.

– To nie są nasze monety, tylko Majki – powiedziałam chłodno, głosem zołzy. Ha, ha, całkiem niedawno właśnie tak mówiła Lila. – Ale myślę – uśmiechnęłam się – że Majka będzie szczęśliwa, mogąc się wam odwdzięczyć w ten właśnie sposób i z rozkoszą da wam wszystkim po jednej w prezencie. A teraz może w końcu wypijmy to zdrowie i zjedzmy coś. Misiu, jak tam szaszłyki, gotowe?

Majka

Majka będzie w domu już za pół godziny. Upiekłam jej ulubioną szarlotkę i czekam. Ale gdzie tam, nie usiedzę w domu. Misiek pojechał po nią na dworzec kolejowy. Wezmę Harnasia i wyjdę im naprzeciw. Lila wyjechała wcześnie rano, zrobiło się trochę smutno i ogarnął mnie jakiś dziwny melancholijny nastrój. Może to dlatego, że dzisiaj jest ostatni dzień wakacji i czuć zbliżającą się jesień? A może dlatego, że jeszcze wczoraj było z nami tyle ludzi? Nie wiem. Właśnie usłyszałam w radiu, że za parę dni będzie można obserwować w nocy „superksiężyc". Na pewno będziemy z Mają spały w śpiworach na huśtawce, w ogrodzie, a Misiek zabiega się, przynosząc nam gorącą herbatę i strasząc, że to się skończy zapaleniem płuc.

Harnaś jak szalony biega wokół mnie, trzymając w pysku polano wielkości mojej nogi. Bądź tu mądry i wyrwij mu taki patyczek. Poszukałam na ścieżce czegoś innego, rzuciłam z rozmachem i trafiłam oczywiście w największe krzaki. Harnaś poleciał jak rakieta i zniknął w zaroślach. Mam nadzieję, że nie przyniesie mi kolejnego buta. Dzwoniłam do Horpyny. Tak jak przypuszczaliśmy, mają problem z wężem. Poradziłam jej, żeby po prostu zadzwoniła do najbliższego ogrodu zoologicznego, na pewno taki okaz przyjmą z otwartymi ramionami. Zaprosiłam ją na święta Bożego Narodzenia, obiecała przyjechać, pod warunkiem że ja odwiedzę ją w czasie kolejnych wakacji. Już się na nie cieszę. Rano skontaktowaliśmy się też z kancelarią w Krakowie, obiecali przysłać jakiegoś prawnika. Dobrze byłoby już mieć to wszystko za sobą.

Harnaś nie wiadomo kiedy znalazł się obok mnie, dumnie dzierżąc w pysku znaleziony patyk. Nagle wyrwał do przodu, zostawiając mnie i tuman kurzu.

Jadą! Stanęłam, machając im ręką na powitanie. Odeszłam od domu spory kawałek drogi, więc mam nadzieję, że zabiorą nas do samochodu. Zatrzymali się, Maja wyskoczyła i z okrzykiem „mamciś!" rzuciła się w moje ramiona. Boże, jak ona wyrosła! Opalona, ale rozsądnie, bo już wie, że w nadmiarze nie jest to dobry nawyk. Długie blond włosy z naturalnie rozświetlonymi słońcem pasemkami, ogromny uśmiech i wesołe oczy z przekornym błyskiem. Jaka ona śliczna!

– Tato, jedź, ja przyjdę z mamą. Pogadamy sobie po drodze. Harnaś! – Przewróciła się z nim na trawę. Musiałam poczekać kilka minut. Niech tam, w końcu nie widzieli się tak długo. Jakoś to wszystko dopiorę.

– Mamo! Muszę ci tyle opowiedzieć. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile rzeczy może się wydarzyć podczas jednych, krótkich wakacji – trajkotała, podskakując i biegając wokół mnie, wzorem Harnasia. – Zakochałam się, ale po tygodniu wyszło na jaw, że to palant, no to się odkochałam. A przedtem poznałam chłopaka, który na pierwszy rzut oka był nieciekawy, ale potem…

Patrzyłam na nią, niby słuchałam tego, co do mnie mówi, ale myślami byłam bardzo daleko. Ciekawe, co powiedziałaby babcia Zosia siedząca w swoim niebiańskim, wygodnym fotelu? Czy jest ze mnie dumna, że tak wychowałam tę młodą kobietę? Bo to już nie jest dziecko, to prawie dorosła dziewczyna, która rozmawia ze mną o tym, że jest zakochana. Nie

zamyka się w sobie, broniąc wstępu do swoich przeżyć, smutków i tajemnic. Opowiada mi o swojej pierwszej wakacyjnej miłości! Oj, babciu kochana, wiem, że jesteś.

Złapałam Majkę za rękę, przerywając jej kolejne okrążenie, i mocno, bardzo, bardzo mocno przytuliłam. Szłyśmy tak objęte, a Harnaś dzielnie zastępował ją w zaliczaniu kolejnych kółek.

– Mamo, było tak cudownie, że często żałowałam, że cię tam ze mną nie ma. Musiałaś się, biedulko, nieźle tu beze mnie wynudzić. Co, Harnaś? Mam rację?

Głupia książka
Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-296-1

© Marzena Bieniek i Wydawnictwo Novae Res 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Ewelina Ambroziak
KOREKTA: Alicja Januszkiewicz
OKŁADKA: Wiola Pierzgalska
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES
al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, http://novaeres.pl

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.